

12-STRONICOWY KALENDARZ W PREZENCIE

NAUKOWA MISTYFIKACJA POD SZYLDEM „POLIN"

SZEREMIETIEW BRONI BANASIA



DODATEK SUKCESY XX-LECIA MIĘDZYWOJENNEGO

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 47 (365) 2019
25 listopada–1 grudnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

PIERWSZY WYWIAD PO EXPOSÉ Z PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM

MAMY PLAN, JAK DALEJ WYGRYWAĆ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 47
9 772544 269908

ORLEN

OSTATNIA PROSTA LOTERII ORLEN

Jeden z 88 samochodów może być Twój!



Okres sprzedaży promocyjnej uprawniający do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Organizator: Unique One Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl

eprasa.pl 1bb409c74f

„Totalność" umiera. Nareszcie

Bywa czasem tak, że drobne zdarzenie, z pozoru bez większego znaczenia, podsumowuje coś lepiej niż skomplikowane analizy. I coś takiego zdarzyło się w zeszłym tygodniu, w dniu, w którym premier Morawiecki wygłaszał swoje exposé. Oto młoda posłanka Lewicy Razem Paulina Matysiak wysłała w mediach społecznościowych krótką wiadomość następującej treści: „Mam wątpliwą przyjemność siedzieć w okolicy posłów Platformy Obywatelskiej, którzy co chwila buczą, krzyczą, dogadują. Oczekiwałabym jednak od parlamentarzystów zdecydowanie większej kultury osobistej". Po paru godzinach spędzonych w ławach sejmowych przedstawicielka lewicowej partii tę właśnie sprawę uznała za najbardziej szokującą. „Niesłychanie niski poziom polityków PO widzą wszyscy na sali. Ich prostactwo uderza zwłaszcza nowych posłów, którzy nie widzieli jeszcze takich zachowań (w TVN ani w »Wyborczej« nic o tym nigdy nie było)" – skomentowała sprawę posłanka PiS Joanna Lichocka, od lat wskazująca na ten konkretny problem.



Sprawa jest drobna, ale nie bez znaczenia. Bo na jej podstawie, ale nie tylko, można postawić tezę, że największym problemem polskiej demokracji nie są podziały na PiS i antypis, na lewicę i prawicę, na wierzących i ateistów, na post-komunę i post-Solidarność czy na tych z wielkich miast i tych z prowincji, lecz sprawa znacznie mniej abstrakcyjna, bardzo konkretna i namacalna: szczególna toksyczność jednej z partii. Partii, która odpowiada za rozpętanie tzw. wojny polsko-polskiej w latach 2005–2007 i jej późniejszą kontynuację, ze szczególnym nasileniem po Smoleńsku. Partii, która w istocie zawsze jak ognia unikała merytorycznego sporu, szukając przewagi na innych polach: prestiżu, estetyki, wykluczania, zawstydzania, ośmieszania, zaszczuwania.

To przez lata było skuteczne, ale na szczęście dochodzi chyba do swojego dziejowego kresu. Po pierwsze, dlatego że koniec marzenia o szybkim zniszczeniu Prawa i Sprawiedliwości kończy okres wręcz militarnej mobilizacji po stronie szeroko pojętej opozycji i uruchamia inne, bardziej pluralistyczne procesy. Po drugie, pojawienie się w Sejmie lewicy, tym razem mówiącej już własnym językiem, ukazuje jasno dramatyczną słabość programową Platformy. Wystarczy porównać dwa przemówienia: to Schetyny i to Zandberga. Pierwszy wykrzykiwał swoje stare rytuały, dziś brzmiące wyjątkowo pusto, a drugi próbował jednak odnosić się do rzeczywistości, czasem idąc na mocne skróty, ale takie już prawo polityki.

Zarówno prezes PiS Jarosław Kaczyński, jak i premier Mateusz Morawiecki złożyli opozycji propozycję otwarcia nowego etapu w relacjach między siłami politycznymi. Etapu, który nie będzie oznaczał końca sporów i który nie będzie fikcyjną jednością, ale który może przynieść koniec tej toksycznej „totalności", którą Platforma praktykowała od ponad dekady, często wciągając w to innych. Szanse na tę jakościową zmianę są duże, większe niż kiedykolwiek od 2005 r.

Jacek Karnowski

83/1019/F

SIECI spis treści



28 *Sztukmistrz ze Szczecina* ***Stanisław Janecki***



44 Katedra nie dla tego arcybiskupa ***Maja Narbutt***



53-64 *Sukcesy XX-lecia międzywojennego* ***dodatek historyczny***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **GRA W PRAWYBORY**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **NIEOKIEŁZNANI DONOSICIELE**
Jan Pietrzak

13 **ZATRUTE OWOCE #METOO**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **KONSEKWENCJA I SKUTECZNOŚĆ**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z PREMIEREM MATEUSZEM MORAWIECKIM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

28 **SZTUKMISTRZ ZE SZCZECINA**
Stanisław Janecki

32 **ARMIA NA GORSZE CZASY**
Konrad Kołodziejski

36 **EFEKT KULESZOWA NA BEACIE SZYDŁO**
Jakub Maciejewski

38 **Z MACIEJEM GDULĄ**
rozmawia Marcin Fijołek

41 **DO TEJ NASZEJ DZIURY PREZYDENT PRZYJEŻDŻA?**
Marcin Wikło

44 **KATEDRA NIE DLA TEGO ARCYBISKUPA**
Maja Narbutt

48 **Z JAK ZASTĘPCY TUSKA**
Hanna Karp

50 **BÓJ O MŁODE POKOLENIE**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

65 **NA OSTRZU INTRYGI**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **POLAŃSKI: JESTEM JAK DREYFUS**
Łukasz Adamski

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

71 **NA POCZĄTKU BYŁ PSALM**
Adam Ciesielski

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **BO BĘDZIE WSTYD**
Romuald Szeremietiew

78 **NAUKOWA MISTYFIKACJA POD SZYLDEM „POLIN”**
Piotr Gontarczyk

ŚWIAT

82 **ŚMIERĆ NATO I PRZEPAŚĆ EUROPY**
Jan Rokita

84 **KRWAWY HISTORYK**
Marek Budzisz

87 **MORALES: IKONA LEWICY. ZE SKAZĄ**
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

90 **PKP BP, CZYLI BANK PRZYSZŁOŚCI**
Dariusz Styczek

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: DAGMARA BĄK**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **COSMODZIEWCZYNY W KLECHOSTANIE**
Maciej Pawlicki

105 **Z WARSZAWĄ W TLE**
Alina Czerniakowska

106 **ZASTANÓW SIĘ PAN…**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **ELEKTRYCZNE SAMOCHODY**
Aleksander Nalaskowski

109 **PODRĘCZNIK NIENAWIŚCI**
Wiktor Świetlik

110 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **NAGONKA W RUCH**
Ryszard Makowski

113 **Z PRZYPOMNIENIA…**
Leszek Długosz

114 **KONSERWATYZM = OSTROŻNOŚĆ?**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

34/1019/F

eprasa.pl 1bb409c74f

TOTALIZATOR
SPORTOWY



#GramyDlaKultury

TOTALIZATOR SPORTOWY MECENASEM KULTURY NARODOWEJ

eprasa.pl 1bb409c74f



Sygnalista nadaje

Prawda zawsze wyjdzie na jaw. Świeżo upieczona posłanka lewicy Paulina Matysiak nie ukrywa, że oglądane z bliska zachowanie posłów Platformy na sali sejmowej zrobiło na niej duże wrażenie: „Mam wątpliwą przyjemność siedzieć w okolicy posłów Platformy Obywatelskiej, którzy co chwila buczą, krzyczą, dogadują. Oczekiwałabym jednak od parlamentarzystów zdecydowanie większej kultury osobistej". Czekanie na poprawę nie ma sensu, pewien typ zachowań jest po prostu wdrukowany w DNA Platformy.

Lewica w Sejmie, zwłaszcza ta spod znaku partii Razem, budzi spore zaciekawienie. „***Zandberg*** zadeklarował zgłoszenie projektów ustaw, obiecał wsparcie dla PiS tam, gdzie projekty będą zgodne z linią ideową lewicy, punktował te obszary polityki publicznej, które kuleją. Na tym tle Schetyna odmieniający PiS przez wszystkie przypadki wypadł kompletnie niemrawo, blado i wtórnie" – ocenił komentator portalu wPolityce.pl Marcin Fijołek. Krótko mówiąc: mamy w Sejmie skazane na wymarcie dinozaury, choć nie po tej stronie, po której widział je dawno temu Tusk.

Do zmian w PO wzywa m.in. Borys Budka. „To nie jest tylko kwestia lidera. Platforma musi przejść gruntowną zmianę – nie tylko katharsis – jeśli chce zwyciężać w wyborach. To nie może być lifting. To musi być mocny remont – począwszy od kwestii organizacyjnych, a skończywszy na nowej tożsamości PO" – podkreślił polityk. Łatwo powiedzieć: remont. Czasem lepiej zburzyć i budować od nowa, niż naprawiać zagrzybiony, przegniły budynek.

Jak poinformował portal wPolityce.pl, ambasada RP w Bukareszcie zorganizowała pokaz filmu „Wałęsa. Człowiek z nadziei" w reżyserii Andrzeja Wajdy. Jak rzecz ujęto w rozesłanym zaproszeniu, chodziło o „uczczenie kluczowej roli Polski w obaleniu komunizmu w Europie Centralnej i Wschodniej". Intencja piękna, ale czy trzeba czcić, puszczając w istocie propagandowe dzieło III RP, którego celem było zamazanie prawdy o współpracy pierwszego przewodniczącego Solidarności z SB?

Drugi z sejmowych debiutantów, czyli Konfederacja, także zdejmuje maski. ***Grzegorz Braun*** tak podsumowywał exposé premiera: „Mówili o bezpieczeństwie narodowym ludzie, którzy jego gwarancji upatrują w sprowadzaniu wojsk obcych na terytorium Rzeczypospolitej. I to jest zdrada, ale wysoka izba oswoiła się z tą fałszywą doktryną bezpieczeństwa narodowego do tego stopnia, że nikt nie reaguje". Te słowa cieszą, bo nikt nie powinien udawać kogoś, kim nie jest.

Były rzecznik PiS Adam Hofman tak oto wspomina czas spędzony przy prezesie Kaczyńskim: „Gdy mieliśmy w partii kryzys i wszystko płonęło, Jarosław siedział i czytał sobie gazetę. Zastanawiałem się: jak on może być taki spokojny? A on sobie odkładał sprawę w miejsce, którego nie ma. Od tego momentu to było poza nim. To jest niezbędne w sytuacji, gdy jesteś tak często atakowany. Zamykasz to w takim pudełku i to dla ciebie nie istnieje". Ciekawa recepta, ale chyba jednak nie dla każdego. Jej nieostrożne stosowanie może się skończyć bardzo źle.

Hofman nie żałuje, że został wyrzucony z PiS i musiał odejść z polityki. „Jestem bardzo zadowolony, bo bym nie poznał życia, które dziś prowadzę i które mnie cieszy. Nie pomyślałbym nigdy, że mogę mieć swoją firmę i czas dla dzieci. Zacząłem studia za granicą, które zawsze wydawały mi się nieosiągalne. Poznałem amatorski, ale uprawiany profesjonalnie sport, w któ-

eprasa.pl 1bb409c74f

rym się realizuję i mam adrenalinę". Piękna historia.

Nowy minister nowego ministerstwa ds. klimatu pochwalił się, że to on zaprosił do Katowic na COP24 Gretę Thunberg i to tam „zaczęła ona swoją podróż i przygodę z klimatem". „Mówiła mniej więcej to, co potem było przedmiotem już takiego bardziej medialnego z jej strony przekazu, że niezbędne jest podjęcie natychmiastowych działań" – relacjonował Michał Kurtyka. Historia to jednak dowcipna i przewrotna materia.



Urszula Zielińska z partii Zieloni przestrzega tymczasem przed tragicznymi skutkami przekopu Mierzei Wiślanej. Jak stwierdziła, „przekop pomoże w odprowadzeniu wody rzek do morza", czyli w Polsce nastanie jeszcze większa susza. Dodała, że ta inwestycja „próbuje traktować nasze rzeki jako kanały transportowe". Jaki jest sens całej teorii, trudno dociec. Na pewno Zielonym przydałyby się korepetycje z geografii, bo wygląda to kiepsko.



Nowy marszałek Senatu ***Tomasz Grodzki*** co prawda jeździ jaguarem i ma spore oszczędności, ale próbuje jednocześnie eksponować swoją skromność. Zaprosił więc reporterów „Super Expressu" do swojego malutkiego pokoju w sejmowym hotelu i zapewnił, że „nie przeprowadzi się do willi" (powodzenia, sprawdzimy). Grodzki pokazał także, że sam sobie ścieli łóżko, co na zdjęciu w tabloidzie wybrzmiało groteskowo. Coraz bardziej szkoda, że marszałek Senatu nie będzie kandydował na prezydenta.



Nie będzie także kandydował ***Donald Tusk***. Sławomir Nowak ujawnił, że ma w tym swój udział. „Osobiście mu odradzałem startowanie w tych wyborach. Uważam, że jego autorytet, dorobek życiowy i polityczny nie zasługuje na to, żeby wchodzić z powrotem do polskiego piekiełka i być tutaj ściąganym w dół" – jasno stwierdził. Innymi słowy, Polska wciąż nie zasługuje na Donalda Tuska. Nieszczęsny kraj.



Wicemarszałek Senatu z ramienia PSL-UED Michał Kamiński zaprezentował swoją wizję roli Senatu w nowym układzie politycznym. „To przede wszystkim spełnianie roli parlamentu, która w polskim systemie zostaje ograniczona właśnie do Senatu, ponieważ Sejm tak jak w poprzedniej kadencji i w tej wydaje się, że będzie ograniczany w swojej normalnej roli parlamentarnej" – mówił Kamiński. Ciekawe, który polityki opozycji pierwszy ogłosi, że ustawa, której nie zaakceptuje Senat, jest nieważna?



Fot. Andrzej Wiktor x4, Andrzej Skwarczyński

Sławomir Broniarz przyznał, że opozycja i większość samorządów oszukały nauczycieli. „Tak, czułem się zawiedziony. I to wcale nie najbardziej postawą partii – bardziej samorządowców, którzy w czasie strajku pozytywnie odnosili się do postulatów nauczycieli, a gdy przyszło co do czego, zmieniali zdanie. Słyszeliśmy: »Przepraszamy, nie ma pieniędzy«" – mówił szef ZNP. Panie Sławomirze, właśnie dlatego Polacy odebrali władzę PO. Warto słuchać narodu. To żaden wstyd przyznać się do błędu i wyciągnąć dobre wnioski.

Rafał Trzaskowski skrytykował odbudowę Pałacu Saskiego. „Stolicy bardziej są potrzebne fundusze na Sinfonię Varsovię czy obwodnicę śródmiejską, a nie na mocarstwowe projekty, które mogą zaburzyć miejską przestrzeń i zagrozić funkcjonowaniu w obecnym miejscu Grobu Nieznanego Żołnierza" – mówił prezydent Warszawy. Odpowiedział mu poseł Zjednoczonej Prawicy Sebastian Kaleta, zadając pytanie: „Czyli Niemcy słusznie go zburzyli?". Znając Platformę, nie ma pewności, czy to pytanie tylko retoryczne.

Warszawski ratusz złożył także zawiadomienie do prokuratury w sprawie „symboli, znaków i haseł", które pojawiły się na Marszu Niepodległości. Chodzi m.in. o hasła: „USA imperium zła", „Czarny blok – biała siła", „A na drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści", „Raz sierpem raz młotem czerwoną hołotę", „Tu jest Polska, nie Izrael". Mają one „wyczerpywać znamiona nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych i etnicznych". To są jednak prawdziwi totalitaryści.

Ks. Jerzy Szymik ocenił w „Gościu Niedzielnym" twórczość Olgi Tokarczuk. „Opowiadania i powieści noblistki to ciekawa, wciągająca proza. Olga Tokarczuk to wielki literacki talent: warsztat, wyobraźnia, inteligencja, celność i świeżość frazy. A jednak jest w tych książkach coś, co każe mi – chrześcijaninowi, księdzu katolickiemu, teologowi – napisać: nie ma zgody – pisze ks. Szymik. Na co nie ma zgody? „Na powrót do pogaństwa. Na cofnięcie się do czasów przed-Chrystusowych, na wymazanie 1053 lat ochrzczonego życia mojej ojczyzny" – dodaje, podkreślając, że twórczość Tokarczuk to w warstwie ideowej „apoteoza neopogaństwa – fascynacja mitami, astrologią, ezoteryką, zdolnościami parapsychologicznymi, wizją politeistyczną, przedchrześcijańską właśnie, poddaną rytmom księżyca i krwi, magii, wizją »naturalnie« pogańską". No cóż, Nobla nie dają za darmo.

eprasa.pl 1bb409c74f

Gra w prawybory



KRZYSZTOF FEUSETTE

Akt 1. Rok 2019 – przed prawyborami prezydenckimi w Koalicji Obywatelskiej

Radosław Sikorski: „Ja się zastanawiam po pierwsze, czy to będzie proces fair. Bo w ustawionych prawyborach już brałem udział. Aparat partyjny miał swojego faworyta. I ten faworyt miał wygrać".

Akt 2. Rok 2010 – przed prawyborami prezydenckimi w Platformie Obywatelskiej (Bronisław Komorowski vs. Radosław Sikorski)

Hanna Gronkiewicz-Waltz: „Proszę państwa, na podstawie zarządzenia mojego, a ja zostałam pełnomocnikiem zarządu krajowego do spraw prawyborów na kandydata na prezydenta, został powołany zespół zwany komisją wyborczą [...]. Prawybory legły u podstaw utworzenia Platformy Obywatelskiej i prawybory były, powiedziałabym, takim naszym korzeniem. Więc wracamy do czegoś, co już było. A, no, jak gdyby pozostawiam członkom PiS dywagacje, że u nich prawybory w ogóle, nawet byłyby... byłby strach wszystkich... padłby blady, gdyby na przykład było dwóch kandydatów: Lech Kaczyński na przykład i Zbigniew Ziobro".

Sławomir Nowak: „Platforma jest rzeczywiście pierwszą partią, która decyduje się w tak demokratyczny wewnętrznie sposób wybierać własnego kandydata na najwyższy urząd w państwie. I będziemy to konsekwentnie podkreślali. Będziemy też konsekwentnie zachęcali naszych konkurentów politycznych, lewicę, PiS, do tego, żeby nie bali się wewnętrznej demokracji we własnych formacjach. Aby również chcieli słuchać dołów swoich partyjnych. My nie mówimy, że to jest łatwe zadanie, logistycznie potężne przedsięwzięcie, 46 tys. członków Platformy musi otrzymać w odpowiednim czasie, do domu, korespondencję z gazetą, gdzie są dwie koperty".

Hanna Gronkiewicz-Waltz: „Mamy sygnały pozytywne, że część osób, która nie sprawuje funkcji w kołach czy powiatach, będzie miała realny wpływ. Bo ich głos tak samo się będzie liczył jak głos przewodniczącego PO".

Radosław Sikorski: „To, że członkowie PO mają wybór, mamy prawybory, pokazujemy, jak inni jesteśmy od innych partii. To nasz wielki sukces i opozycja nam tego zazdrości".

Radosław Sikorski (kilka tygodni później): „Prezydentura Bronisława Komorowskiego będzie swojska, zachowawcza, z gawędami kombatanckimi i z wąsem [...]. Nasza debata powinna być na ubitej ziemi, ale ta ziemia powinna być płaska, równa, a nie przechylona w jedną stronę".

Bronisław Komorowski: „Generalnie mam taką prośbę: wyluzuj, Radku, wyluzuj. Uwierz, że to są tylko prawybory na razie. Nie wolno się tak spinać i zadawać na oślep ciosy tam, gdzie ma się przyjaciół i kolegów".

„Gazeta Wyborcza": „Od dziś członkowie PO mogą głosować za pomocą internetu. Ma już to za sobą Radosław Sikorski, który oddał głos na Bronisława Komorowskiego. – Umówiliśmy się, że tak będzie elegancko. On na mnie, ja na niego – mówił Sikorski".

Akt 3. Ogłoszenie wyniku prawyborów w 2010 r.

Donald Tusk: „Będę zwracał się do pani Gronkiewicz-Waltz, by zakomunikowała publicznie jeszcze dzisiaj, jaka była frekwencja, natomiast wyniki wolałbym, byśmy poznali jutro [...]. Będę rekomendował partii przeprowadzanie prawyborów także w przypadku kandydatów na prezydentów miast, szefów PO, szefów regionów".

Hanna Gronkiewicz-Waltz: „Nie ulega wątpliwości, że mieliśmy odwagę podjąć to wyzwanie, którego nikt w Polsce przed nami nie podejmował. Nie wątpię, że ten fakt przejdzie do historii jako szczególne wydarzenie polityczne [...]. Podjęliśmy ryzyko pokazania partii od środka w rywalizacji prawyborczej, bez pudru i makijażu. Dzięki prawyborom poznaliśmy się bliżej z kandydatami i między sobą. Pragnę podziękować 20 tys. naszych członków, którzy oddali głosy na kandydatów, a szczególnie tym, którzy brali udział w spotkaniach z kandydatami. Bez was prawybory nie byłyby sukcesem [...]. A teraz ogłaszam wynik, otwieram kopertę, tak – to jest ta koperta...".

Bronisław Komorowski (zwycięzca prawyborów): „W tym pierwszym etapie, który był etapem konkurencji wewnętrznej, były różne chwile, różne momenty. Niewątpliwie to, co zostanie w pamięci nas wszystkich, to taka ciekawa wojna koszulkowa. W związku z tym chciałbym jako puentę wszystkich naszych wspólnych działań i tego dzisiejszego dnia podsumować tę wojnę koszulką w taki oto sposób: kocham cię, Radku, wygrała Platforma. Lubię cię, Radku, i cenię, wygrała Platforma i niech tak już zostanie".

Radosław Sikorski: „Bronku, jestem do twojej dyspozycji. Swoich zwolenników proszę o przerzucenie poparcia na mego szlachetnego rywala".

Donald Tusk: „Ogłoszenie wyników w prawyborach Platformy Obywatelskiej to bardzo ważny dzień, bo wielu było takich, którzy wątpili w sens i możliwość przeprowadzenia prawyborów przed wyborami prezydenckimi [...]. To pierwszy krok, który zmieni już na zawsze polską politykę".

Jerzy Szmajdziński (kandydat lewicy na prezydenta): „O tym, że wygra Bronisław Komorowski, wiedzieli wszyscy – oprócz jego przeciwnika, Radosława Sikorskiego".

Akt 4. Rok 2019, przed prawyborami prezydenckimi w Koalicji Obywatelskiej

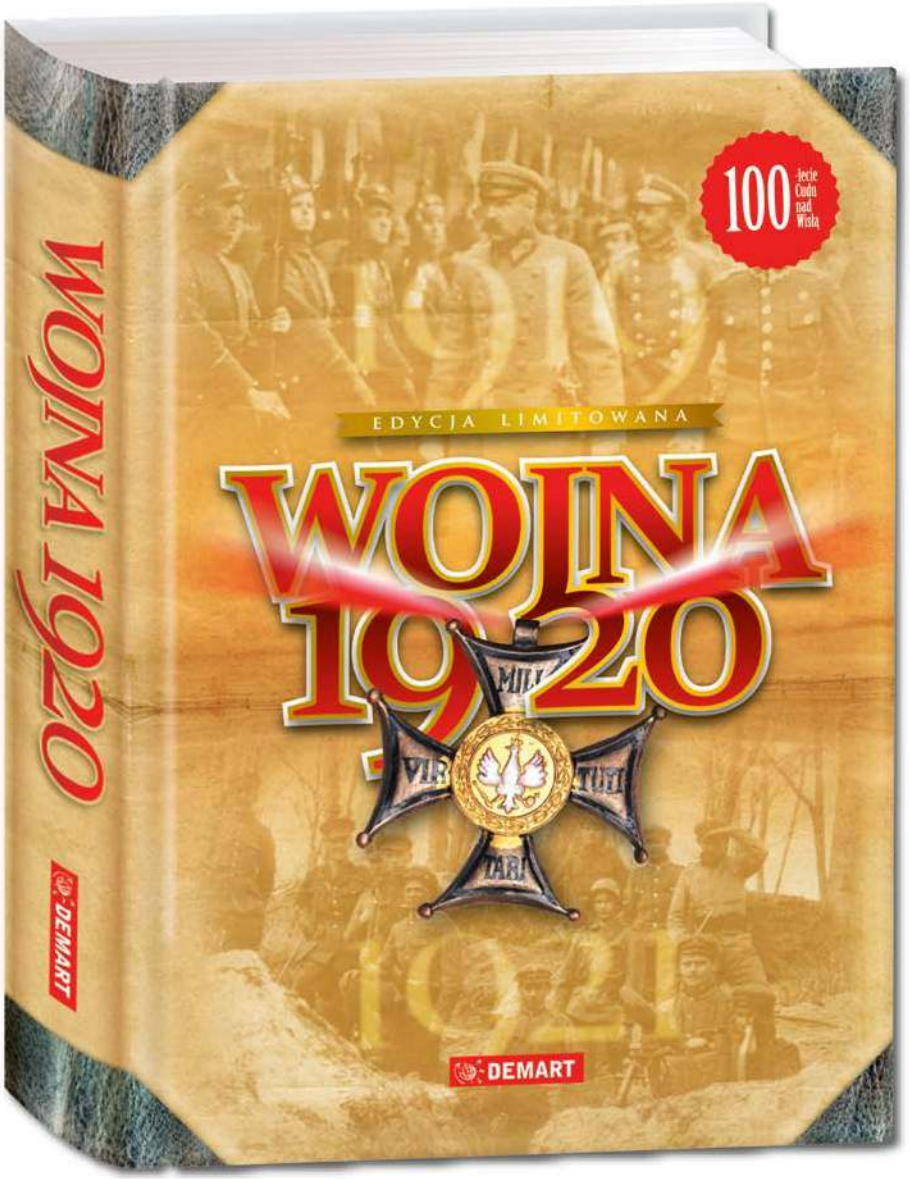
Grzegorz Schetyna (14 listopada): „Małgorzata Kidawa-Błońska na pewno jest faworytem prawyborów".

(Wszystkie cytaty są autentyczne, wszelkie podobieństwo – nieprzypadkowe)

47/1019/F

eprasa.pl 1bb409c74f

PREMIERA 28.11.2019
XXVIII Targi Książki Historycznej



Wojna polsko–bolszewicka i 100-lecie Cudu nad Wisłą

www.demart.com.pl

DEMART

Oligarcha stawia ultimatum

Ukraina

Żaden prezydent Ukrainy nie miał dotąd tak silnej władzy jak Wołodymyr Zełenski. Mimo to dobrowolnie zrzekł się on części swoich kompetencji, np. zrezygnował z prawa do wysuwania kandydatur na ambasadorów, cedując te uprawnienia na MSZ. W tym samym czasie to nie on, lecz ktoś inny zachowuje się jak faktyczny przywódca kraju, a niekiedy wręcz jako właściciel państwa. To oligarcha Ihor Kołomojski, właściciel imperium medialnego, które wykreowało utalentowanego celebrytę na polityka i otworzyło mu drogę do urzędu prezydenta.

Przykładem takiej postawy może być niedawny wywiad udzielony przez miliardera dziennikowi „New York Times". Kołomojski jawi się w tej rozmowie niczym kreator ukraińskiej polityki zagranicznej. Przyznaje, że „pracuje" obecnie nad zakończeniem wojny w Donbasie, ale celowo nie ujawnia szczegółów tej operacji, ponieważ obawia się, że Amerykanie „zepsują to i staną mu na drodze". Jego zdaniem USA chcą prowadzić konflikt zbrojny „do ostatniego Ukraińca" i „nawet nie dają nam za to pieniędzy", a tymczasem „ludzie chcą pokoju, dobrego życia, nie chcą być na wojnie". Według niego nie jest wykluczony zwrot Kijowa w kierunku Moskwy. „Rosjanie i tak są silniejsi" – mówi i dodaje, że należy naprawić relacje z Kremlem.

Ten wywiad to poważna wolta w wykonaniu Kołomojskiego. W 2014 r. zdecydowanie przeciwstawiał się on bowiem rosyjskiej agresji. Finansował batalion Azow, a jako gubernator Dniepropietrowska zdusił w zarodku tendencje separatystyczne. W rosyjskich mediach stał się wręcz ucieleśnieniem zła i doczekał się nawet miana „żydobanderowca". Teraz się żali, że Zachód zawiódł Ukrainę, nie dostarczył jej odpowiednich środków ani nie otworzył dla niej rynków. Według niego pomocy finansowej można natomiast oczekiwać od Moskwy.


Ihor Kołomojski

Fot. Slavko Sereda/Shutterstock.com

Nie wiadomo, na ile to ultimatum jest sposobem wywarcia presji na Zachód, by zwiększył pomoc dla Ukrainy, a zwłaszcza przestał naciskać na Kijów w sprawie deoligarchizacji państwa, a na ile zapowiedzią realnych zmian. Jedno jest pewne: w trójkącie Rosja–Zachód–Ukraina zaczęła się nowa gra.

Grzegorz Górny

W ogniu protestów

Iran

Demonstracje i protesty uliczne, które wybuchły w Iranie po tym, jak władze zdecydowały się podnieść ceny na subsydiowaną benzynę, są z pewnością największe od 2017 r. Według niepotwierdzonych informacji w zamieszkach, które ogarnęły praktycznie cały kraj, zginęło od 10 do 40 osób, a co najmniej 1 tys. zostało aresztowanych przez siły specjalne.

Władze utrzymują, że po pierwszej fali protestów, kiedy demonstrujący zablokowali drogi, podpalili kilkaset banków, stacji benzynowych i sklepów, ich intensywność osłabła, jednak doniesienia te trudno potwierdzić, ponieważ w całym kraju wyłączono internet.

Na pewno jednak sytuacja polityczna przed zaplanowanymi na luty przyszłego roku wyborami parlamentarnymi jest bardzo napięta. W jej rozładowaniu nie pomogło poparcie decyzji o podwyżce cen paliwa przez duchowego przywódcę Iranu ajatollaha Ali Khameneiego. Na Zachód przenikają informacje o rezygnacji przynajmniej dwóch parlamentarzystów oraz aresztowaniu przez służby specjalne Abdolreza Davariego, doradcy byłego prezydenta Mahmouda Ahmadinejada, który otwarcie krytykował decyzję o podwyżkach. Na pęknięcia w irańskim obozie władzy wskazuje również wystąpienie dowódcy paramilitarnych oddziałów milicji Basij generała Gholamreza Soleimaniego, który oprócz rutynowego oskarżenia Stanów Zjednoczonych o zorganizowanie spisku, zapowiedział interwencję, jeśli sytuacja się nie uspokoi. W tym samym czasie do zagranicznych mediów przeciekły tajne irańskie dokumenty ukazujące skalę zaangażowania Teheranu w sąsiednim Iraku, w którym od dwóch miesięcy trwają protesty. Tradycyjnie polityka w krajach bliskowschodnich należy do domeny Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej.

Bezpośrednim powodem wybuchu demonstracji była decyzja o podniesieniu cen subsydiowanej benzyny z 15 tys. rialów za litr (ok. 0,09 dol.) do 30 tys. rialów (0,2 dol.). Irańczycy prawo do kupowania ograniczonej ilości paliwa (60 l na samochód i 25 na motocykl) po cenach subsydiowanych przez rząd uznają za jedną ze swych głównych zdobyczy socjalnych. Jednak władze zdecydowały się na to niepopularne posunięcie w obliczu dramatycznej sytuacji ekonomicznej w kraju, którego PKB w tym roku, jak się szacuje, spadnie o 9,5 proc. W obliczu przywrócenia sankcji przez Stany Zjednoczone i spadku eksportu rząd zmuszony jest podejmować desperackie kroki celem zmniejszania deficytu budżetowego. Przy obecnym poziomie eksportu ropy naftowej, aby zrównoważyć irański budżet, cena baryłki musiałaby wynosić 195 dol. W takiej sytuacji, chcąc stabilizować sytuację, rząd zmuszony jest do wyboru jednej z dwóch dróg – podwyższania podatków albo ograniczania poziomu subsydiów. Oznacza to, zdaniem obserwatorów, że w dłuższej perspektywie, w obliczu trudnej sytuacji gospodarczej i polityki zaciskania pasa, nastroje społeczne mogą się jeszcze pogorszyć.

Marek Budzisz

eprasa.pl 1bb409c74f



USA

Obama kontra radykałowie

Większość analityków amerykańskiej polityki wątpi w skuteczność impeachmentu prezydenta Donalda Trumpa. Nie tylko nie uda się go przeprowadzić przez większość republikanów w Senacie, ale też coraz ciemniejsze chmury zbierają się nad Joe Bidenem, którego syn był zaangażowany w dziwne interesy na Ukrainie. W tej sytuacji mający teoretycznie największe szanse na nominację demokratów Biden jest coraz mocniej atakowany przez konkurentów przedstawiających go jako członka establishmentu, który nie zdoła wyrwać Białego Domu z rąk Trumpa.

W obronę Bidena wziął (pośrednio) Barack Obama, który podczas przemówienia dla liberalnych darczyńców w Waszyngtonie zwrócił uwagę, jakim problemem może być zbyt mocne przechylenie się na lewo przez Partię Demokratyczną. Zdaniem Obamy radykalnie lewicowe postulaty mogą spowodować, że centrowi wyborcy w ogóle nie pójdą na wybory. „Nawet jeżeli chcemy być nowatorscy i podążać za naszymi wizjami, to musimy być zakorzenieni w rzeczywistości" – mówił Obama. Były prezydent USA trzeźwo dodał, że „przeciętny Amerykanin nie uważa, że należy całkiem niszczyć system". Obama nie odnosił się bezpośrednio do żadnego z kandydatów, ale jest raczej pewne, że miał na myśli socjalistycznego weterana, senatora Berniego Sandersa albo nową gwiazdę lewicy senator Elizabeth Warren. Oboje coraz wyraźniej dystansują się od Bidena i mainstreamu demokratów.

Obama powiedział też, że twitterowe sympatie są złudne i nie zawsze mają odzwierciedlenie w rzeczywistości. Bez wątpienia odnosił się do tzw. Squadu skrajnie lewackich kongresmenek Alexandrii Ocasio-Cortez, Ilhan Omar, Rashidy Tlaib oraz Ayanny Pressley. To one są królowymi skrajnie lewicowego Twittera, gdzie wojują nie tylko z prezydentem Trumpem, lecz również z demokratami. Muzułmanka Ilhan Omar pozwoliła sobie niedawno na dwuznaczne przytyki w stronę byłego burmistrza Nowego Jorku Michaela Bloomberga, po tym jak dostał poparcie od miliardera Leona Coopermana. Część komentatorów uznała je za antysemityzm.

Obama dobrze diagnozuje problem radykalizujących się demokratów. Zresztą w sierpniu tego roku sam został zaatakowany prze lewe skrzydło swojej partii. Podczas jednej z debat burmistrz Nowego Jorku Bill de Blasio skrytykował Bidena za politykę administracji Obamy w sprawie nielegalnych imigrantów, których deportowano w nie mniejszym stopniu niż teraz. Jeżeli najbardziej lewicowy prezydent USA w historii tego kraju upomina demokratów za zbyt lewicowy przechył, to znaczy, że partia ma poważny problem. Bez wątpienia wykorzysta go Donald Trump.

Łukasz Adamski

Czechy

Przechytrzyli Gorbaczowa

Od początku listopada w Pradze trwają obchody 30. rocznicy aksamitnej rewolucji. Miasto jest udekorowane okolicznościowymi plakatami, flagami, odbywają się wystawy przypominające o tym, jak Czechom udało się pokojowo odsunąć reżim komunistyczny od władzy. Obraz ten jest od dawna zakłócony informacjami wskazującymi, że obalenie komunizmu w byłej Czechosłowacji nie było jedynie spontanicznym odruchem społeczeństwa, lecz zostało zainspirowane lub wręcz przygotowane w Moskwie. Tyle że potem wszystko wymknęło się spod kontroli.

Potwierdzają to rosyjskie archiwa, do których udało się dotrzeć czeskiemu historykowi młodego pokolenia Michalowi Macháčkowi, zajmującemu się transformacją ustrojową w Czechosłowacji. Archiwa, głównie stenogramy rozmów przeprowadzanych przez Michaiła Gorbaczowa z kierownictwem czechosłowackiej partii komunistycznej (KPCz), są kolejnym dowodem, że ostatni sowiecki przywódca dążył do utrzymania spoistości Bloku Wschodniego za cenę wprowadzenia w państwach obozu reform rynkowych i ograniczonego pluralizmu. Modelem, na którym do pewnego stopnia się wzorowano, były Chiny, gdzie odrzucenie dogmatu o gospodarce planowej pozwoliło komunistom utrzymać monopol władzy.

Oczywiście powodzenie planu Gorbaczowa zależało od tego, czy znajdzie on zaufanych stronników wśród komunistycznych przywódców państw Bloku Wschodniego. O ile np. Jaruzelski w Polsce nie sprawiał kłopotów, o tyle stare kierownictwo KPCz, wyłonione jeszcze po stłumieniu praskiej wiosny w 1968 r., obawiało się poluźnienia reżimu. Gorbaczow sięgnął więc po Zdenka Mlynaře – swojego starego znajomego, jeszcze z czasów wspólnych studiów w Moskwie. Mlynař, sekretarz partii komunistycznej z okresu Praskiej Wiosny, związał się w latach 70. z ruchem demokratycznym, co skończyło się dla niego aresztowaniem i wymuszoną emigracją do Austrii w 1977 r. Od tamtego czasu miał zakaz wjazdu do Czechosłowacji.

Nieoczekiwanie tuż po pierwszych protestach w Pradze Mlynař został wpuszczony do kraju, a nawet zaproszono go do telewizji. Zaraz potem były sekretarz wyjechał do Moskwy, gdzie konsultował się z Gorbaczowem. Gorbaczow naciskał przy tym na nowego szefa KPCz Karla Urbanka, aby Mlynařowi powierzyć wysokie stanowisko w partii i przekazać mu fotel prezydenta państwa.

Ostatecznie plan ten się nie powiódł. Kierownictwo KPCz zbyt długo się opierało i tym samym przegapiło jedyny moment na przedłużenie swoich rządów. Dynamika protestów wymknęła się spod kontroli i Mlynař ciągle nawołujący do „socjalizmu z ludzką twarzą" musiał w końcu ustąpić miejsca liderowi opozycyjnego Forum Obywatelskiego Vaclavowi Havlowi.

Ten splot wydarzeń: nieudolność komunistów i gwałtownie rozbudzone aspiracje społeczeństwa sprawiły, że Czesi uniknęli scenariusza kontraktowego przekazania władzy, jaki miał miejsce w Polsce. Niewykluczone, że tym samym bardzo przyspieszyli ostateczny rozpad bloku komunistycznego. Mają więc dziś powody do świętowania.

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl 1bb409c74f

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Nieokiełznani donosiciele



Jan Pietrzak

Jest taki gatunek osób publicznych: dziennikarzy, ludzi kultury, również polityków, któremu frajdę sprawia szkalowanie Polski. Donoszą na nas przy lada okazji, że jesteśmy paskudni, nic niewarci itp. Nowa noblistka dodaje, że Polacy to właściciele niewolników, kolonizatorzy mordujący Żydów.

Numerem jeden w donosicielskim rankingu jest niejaki Bolesław, którego nazwiska nie wymienię z powodów procesowych, a także z powodu obrzydzenia. Pojechał niedawno do Stanów Zjednoczonych poskarżyć się na upadek prawa w Polsce. W jakimś sensie ma rację, ponieważ w państwie praworządnym siedziałby w pudle za liczne oszustwa. Tak się mszczą zaniechania nazbyt miłosiernych rodaków wobec łobuzów.

Pewna szefowa od sądowej degrengolady ma zwyczaj jeździć do Niemiec, by obrzucać błotem ludzi naprawiających sądownictwo. Udowadnia, że zasługuje na swoje niemieckie nazwisko i kolejną premię. To efekt braku odwagi przy renowacji tzw. nadzwyczajnej kasty.

Europoseł z gatunku wesołych chłopaków szaleje z radości, ponieważ odniósł sukces. Pod jego presją Parlament Europejski przyjął rezolucję w sprawie projektu ustawy w parlamencie polskim. Chodzi o problematykę seksualną, która jakoby w zacofanej Polsce nie jest traktowana nowocześnie, czym zadręczają się brukselskie wesołe chłopaki.

Kolejny ciekawy przypadek to nowy marszałek Senatu. Otóż pierwszą wizytowaną stolicą pana marszałka ze Szczecina będzie Waszyngton. Niczego w kraju jeszcze nie zrobił, ale w Stanach chętnie zdemaskuje Polskę na dobry początek. Moja poselska faworytka, o ile mi wiadomo, nigdzie nie wyjeżdża, ale wyrusza na miejscową wojenkę. Owa młodociana chichotka wyraziła oburzenie z powodu otrzymania komunikatu o mszy świętej dla parlamentarzystów. Przy okazji oświadczyła, że będzie walczyć z krzyżem w sali obrad. Należy się spodziewać efektownej awantury á la pucz roku 2016.

W sumie możemy przypuszczać, że nie będzie to kadencja zadumy i refleksji, raczej zadymy i refluksu. Jak uważa hrabina Rózia, „Polska jest krajem, który Unię osłabia. (...) Tylko Polska jest tym problemem, który ciąży na całości".

Szanowni Czytelnicy, może macie jakiś pomysł, co robić z donosicielami, którzy nam „ciążą na całości"? Czekam na propozycje.

Czarna polewka dla księcia

*Z aktorem **Kacprem Gadułą-Zawratyńskim** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*

Jeśli opierać się na historycznych źródłach, gra pan w „Koronie królów" najbardziej niespełnioną postać.

Kacper Gaduła-Zawratyński: Można nawet powiedzieć, że tragiczną: niespełniona miłość, niespełniona przyjaźń. Wyproszony z Wawelu i kraju Wilhelm Habsburg pozostał wierny Jadwidze, z którą połączono go dynastycznym małżeństwem, gdy miał lat osiem, a Jadwiga cztery. Ożenił się dopiero po jej śmierci i zmarł kilka lat później.

W serialu taki wierny nie jest. A, jak pokazuje historia, czarna polewka sprawiła, że stał się mistrzem czarnego PR.

To prawda: nie był to do końca Romeo swojej epoki. Po tym, jak został odrzucony przez polskich panów – a do objęcia tronu przygotowywano go od dziecka – zaczął konfabulować. Rozsiewał plotki dotyczące dworu, Jagiełły, a przede wszystkim skonsumowania małżeństwa z Jadwigą. Tylko to pieczętowało ceremonię sprzed lat, sprawiając, że stawała się ona w pełni legalna i wiążąca. Przeciągnął na swoją stronę mnóstwo możnych i tęgich europejskich głów.

W „Koronie królów" – austriacki książę, a na scenicznych deskach...?

Miałem przyjemność na początku tego roku zrobić zastępstwo w łódzkim Teatrze Nowym i wcielić się w tytułowego bohatera spektaklu „Komeda" Leny Frankiewicz. Wspaniałe doświadczenie twórczości Krzysztofa Komedy Trzcińskiego i jego czasów. A niedługo potem wszedłem w zupełnie odmienną epokę. I bardzo się cieszę, że mogę w niej grać tak niejednoznaczną i pełną sprzecznych emocji postać.



Fot. Kurnikowski/AKPA

eprasa.pl 1bb409c74f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zatrute owoce #MeToo



#MeToo podsuwa wygodne uzasadnienie niepowodzeń. Teraz aktorki, recytatorki czy modelki uznać mogą, że ich porażka jest efektem niezgody na erotyczne awanse czy wręcz „molestowanie" bez względu na to, jak wyglądało to rzeczywiście

Pisałem już w tym miejscu o ponurych konsekwencjach akcji #MeToo. Kampania ta miała przeciwdziałać nadużywaniu przez mężczyzn dominującej pozycji w show-biznesie, a stała się seansem hipokryzji, ekshibicjonizmu i niszczenia adwersarzy. Oto kolejne przykłady. Francuska modelka i aktorka przypomniała sobie, że czterdzieści kilka lat temu zgwałcił ją Roman Polański. Sam opis tych wydarzeń ze strony domniemanej poszkodowanej budzi co najmniej wątpliwości. Miała nie znać reżysera i umówić się z nim wraz z przyjaciółmi w miejscu publicznym. W tym celu samotnie w nocy przyszła do willi Polańskiego, który miał otworzyć jej nagi, wciągnąć do wewnątrz i zgwałcić. Mniejsza o niekonsekwencje. Ważne, że potrzebowała ponad 40 lat, żeby przypomnieć sobie o sprawie. Ośmieliła ją, zgodnie z jej własnymi słowami, akcja #MeToo. Ośmieliła również inne „ofiary" Polańskiego, które przypominają sobie jeszcze starsze ekscesy.

Czy fakt, że zgłasza je kilka kobiet, ma potwierdzać prawdziwość ich zeznań, czy wskazywać klasyczny mechanizm uwalniania się stadnej agresji? Dlaczego nie zrobiły tego wcześniej? Czy rzeczywiście żyjemy w świecie, w którym oskarżenie o gwałt naraża kobietę na straszne szykany?

Zwolennicy #MeToo twierdzą, że to układy w show-biznesie utrudniały kobietom dochodzenie swoich praw. Bały się więc one, że zarzut wobec sławnego agresora może źle wpłynąć na ich karierę. Innymi słowy: akceptowały sprawę, dopóki liczyły na sukcesy, a zdecydowały się ją ujawnić, kiedy te okazały się nierealne. Postawa taka prowokować powinna raczej rezerwę wobec deklaracji tych, które ją reprezentują. Czy zachowanie takie nie sugeruje raczej, że kiedy nadzieje okazały się płonne, nadszedł czas, aby odegrać się na tych, których się za to obwinia?

Profesja aktorska to konkurencja wielkich ambicji i rozwibrowanych emocji. Niechęć, a nawet nienawiść do tych, którzy mieli stanąć na drodze do sukcesu, przybiera hiperboliczne wymiary wśród adeptów tej sztuki. Tak samo jak resentymentalna wrogość wobec tych, którym „niesłusznie" się udało. W sytuacji takiej uruchomienie kampanii spotwarzenia tych, których się racjonalnie czy nieracjonalnie nie znosi, nie jest trudne. Zwłaszcza kiedy wpływowe ośrodki wręcz zachęcają do tego i gwarantują nie tylko bezkarność, lecz i potencjalne korzyści. „Domaganie się dowodów jest działaniem przeciw ofiarom" – ogłosiła Agnieszka Holland. W tym wypadku chodziło o nieudaną recytatorkę, która nie wygrała konkursu, oskarżyła więc jurora o „seksistowskie" uwagi. #MeToo podsuwa wygodne uzasadnienie niepowodzeń. Teraz aktorki, recytatorki czy modelki uznać mogą, że ich porażka jest efektem niezgody na erotyczne awanse czy wręcz „molestowanie" bez względu na to, jak wyglądało to rzeczywiście.

Historia pokazuje, że przy sprzyjających warunkach szeroko ujawniają się delatorskie, jakże ludzkie skłonności. Pozwalają odegrać się na przeciwnikach czy choćby nielubianych, umożliwiają sięgnięcie tych na co dzień niedosiężnych i generalnie dają poczucie władzy. Zwłaszcza jeśli oferują ideowe uprawomocnienie. Tak było w Rzymie podczas politycznych przewrotów, potem w epoce polowania na heretyków czy czarownice, podobnie działo się w ustroju komunistycznym i nazistowskim. Kiedy odrażający proceder uzyskuje „moralną" sankcję, można spodziewać się najgorszego.

Wspomniana akcja pozwala kompensować własną słabość. Oto historia w teatrze Bagatela w Krakowie. Nagle duża grupa pracownic na wyprzódki donosić zaczyna o paskudnych postępkach dyrektora. Nie chcę wypowiadać się o meritum, bo zachowanie jego nie budzi szczególnego uznania. Wygląda jednak raczej żałośnie niż groźnie. A to opowiadał sprośne dowcipy, a to wsadził komuś język do ucha, a zdarzyło się mu, że klepnął w pośladek. Dlaczego kobiety te przez lata nie reagowały na tego typu postępowanie? Jeśli nie było ich stać, aby dać mu po łapie, czemu chociaż nie zwróciły uwagi? W żadnych relacjach nie pojawia się element przemocy czy szantażu. Nic nie wskazuje, aby przywołanie do porządku dyrektora wiązać się miało z jakąś groźbą. A jednak pracownice latami znosiły to, aby teraz stadnie domagać się usunięcia go z życia publicznego. Czy naprawdę powinniśmy wzruszać się długoletnim męczeństwem tych osób? I czy chodzi o przywrócenie godności, czy o coś innego?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1bb409c74f

OGNIEM NA WPROST

Inkaska bogini w Watykanie



Trwają protesty w Kościele w związku z jasełkami zorganizowanymi w Watykanie przez papieża Franciszka ku czci Pachamamy. Chodzi o obnoszenie się z bałwochwalczym kultem tej inkaskiej bogini ziemi wyobrażanej również pod postacią smoczycy. Hiszpańscy konkwistadorzy chrystianizujący tamte okolice kojarzyli ją czasami z Matką Boską, ponieważ tubylcy uznawali Pachamamę za małżonkę boga stwórcy Pacha Kamaqa, a w innej wersji boga słońca Inti. Tym razem odezwał się biskup pomocniczy 's-Hertogenbosch w Holandii Robert Mutsaerts, dołączając w ten sposób do listu protestacyjnego „przeciwko świętokradczym aktom papieża Franciszka", podpisanego przez 100 duchownych i świeckich. Biskup Mutsaerts w ostrych słowach wypowiedział się o niedawnym synodzie w Rzymie, nazywając go „najbardziej poprawnym politycznie spotkaniem wszech czasów", jednocześnie krytykując próbę zmiany paradygmatu. Pochodzący z Holandii hierarcha zauważa, że to właśnie w jego kraju poprzez wprowadzanie tzw. nowinek jak te proponowane przez część ojców synodu amazońskiego (włącznie z kapłaństwem kobiet), doprowadzono w ciągu 20 lat do wyludnienia się kościołów i powstania „najbardziej zsekularyzowanego kraju na świecie". I pyta: „Co u licha opętało ojców synodu, by naśladować ten przykład?".

Tymczasem w Boliwii społeczeństwo z armią obaliło socjalistycznego prezydenta Evo Moralesa, któremu udowodniono sfałszowanie ostatnich wyborów. 4 listopada jeden z liderów opozycji, Luis Fernando Camacho, ukląkł pod pomnikiem Chrystusa Zbawiciela w Santa Cruz de la Sierra i ogłosił, że zamierza się udać do pałacu prezydenckiego Quemado w La Paz, by stawić czoło Moralesowi. Przyrzekł wówczas głośno: „Nie idę z bronią, idę z moją wiarą i nadzieją, z Biblią w prawej ręce i pismem rezygnacyjnym w lewej". I poszedł. Sześć dni później wkroczył do pałacu, ukląkł w głównej sali, położył na podłodze boliwijską flagę, a na niej Biblię i zaczął się modlić. Morales zrezygnował z urzędu i dał nogę za granicę, ratując się z opresji. Jako prezydent zasłynął z antyklerykalizmu (m.in. likwidacji w konstytucji odniesień do chrześcijaństwa), choć sam uważał się za katolika. Mało tego. Ostentacyjnie afiszował się z przyjaźnią z Franciszkiem i był najczęściej przyjmowanym u papieża przywódcą państwowym na świecie. Raz wręczył biskupowi Rzymu nawet krucyfiks w kształcie sierpa i młota (sic!). Dopełnieniem absurdu jest to, że Morales w swoim katolicyzmie oddawał się kultowi słynnej już „amazońskiej Pocahontas", zwanej Pachamamą. Jego następczyni na urzędzie Jeanine Áñez powiedziała wprost, że kult Pachamamy wpisuje się wprost w rytuały satanistyczne i marzy o Boliwii wolnej od takich obrzędów. Pontyfikat Franciszka jest pełen ostrych zakrętów, tylko dlaczego kierowca ciągle ląduje w rowie?

Znana aktywistka Antify w Waszyngtonie Lacy MacAuley, uczestniczka i jedna z organizatorek m.in. akcji #DisruptJ20, mającej na celu w gwałtowny sposób zakłócić inaugurację prezydentury Donalda Trumpa, zakochała się w islamie i zaczęła obsesyjnie pomagać syryjskim „uchodźcom". Ponieważ panna jest kochliwa, to równolegle zapałała uczuciem do tureckiego muzułmanina. Obiekt westchnień jej zdaniem był „energiczny" oraz „charyzmatyczny", a w dodatku spełniał kryteria działacza, z którym można dyskutować nawet o szczycie G-20 w Antalyi. Po krótkiej sielance (przyjechała do niego do Turcji) twarda rzeczywistość związków islamsko-feministycznych dała o sobie znać. Zaczęło się bicie, gwałcenie, przypalanie papierosami etc. Próba ucieczki od tyrana zakończyła się na komisariacie. Jako amerykańska dziennikarka odsiedziała co swoje (dobrze, że jeszcze znani z szacunku dla przestrzegania praw człowieka tureccy funkcjonariusze nie wygarbowali jej skóry), by potem uciec z powrotem do USA. A tam znów to samo, że to nie kultura islamska była winna jej nieszczęściu, tylko kult macho. Ponieważ zauważanie związków przyczynowo-skutkowych nie było nigdy domeną lewicowych aktywistów, Lacy umocniona w swoich poglądach tureckimi doświadczeniami znów pojawiła się na ulicach Waszyngtonu, walcząc z „faszyzmem", trumpizmem, „populizmem" oraz o urzeczywistnienie ideałów feminizmu.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1bb409c74f

Konsekwencja i skuteczność



Marta Kaczyńska-Zielińska

5 listopada br. zarząd PGNiG przekazał rosyjskiemu Gazpromowi oświadczenie woli zakończenia obowiązywania kontraktu jamalskiego podpisanego w 1996 r. Wypowiedzenie będzie obowiązywać od 31 grudnia 2022 r. Podjęcie decyzji o zakończeniu importu rosyjskiego gazu było możliwe dzięki konsekwencji i skuteczności prowadzonej w ostatnich latach polityki zmierzającej do dywersyfikacji źródeł dostarczanych do Polski surowców energetycznych, a co za tym idzie – zapewnienia nam niezależności i bezpieczeństwa.

Wypowiedzenie wspomnianej umowy nastąpiło niemal dokładnie 10 lat po tym, jak ówczesny wicepremier Waldemar Pawlak przedstawił w Sejmie informację na temat przebiegu negocjacji w sprawie dostaw do Polski rosyjskiego gazu. W tamtym okresie 94 proc. gazu dostarczanego do naszego kraju pochodziło z Federacji Rosyjskiej. 13 listopada 2009 r. zaniepokojony stanem polsko-rosyjskich rozmów prezydent Lech Kaczyński skierował do premiera Donalda Tuska list w sprawie terminu obowiązywania kontraktu jamalskiego, wolumenu oraz cen gazu, a także statusu prawnego spółki EuRoPol Gaz odpowiadającej za infrastrukturę przesyłową. Prezydent chciał uzyskać informacje na temat polskiego stanowiska negocjacyjnego w ww. zagadnieniach, planów ówczesnego rządu w zakresie dywersyfikacji dostaw gazu do Polski. Wyraził też opinię, że przedłużenie obowiązywania kontraktu jamalskiego dodatkowo opóźni rozpoczęcie importu gazu przez mający powstać z inicjatywy rządu PiS gazoport w Świnoujściu. Termin zakończenia budowy tego portu z nieznanych w tamtym czasie przyczyn rząd PO przesunął z 2011 r. na koniec 2014 r.

W swoim piśmie Lech Kaczyński krytycznie odniósł się do zgody rządu na zmniejszenie udziałów skarbu państwa w spółce EuRoPol Gaz. Ponadto prezydent wyraził swój niepokój wypowiedzią prezesa PERN „Przyjaźń", który publicznie zakwestionował zasadność budowy korytarza do transportu ropy naftowej Odessa–Brody–Płock. List prezydenta pozostał bez odpowiedzi.

Przed zakończeniem rządowych negocjacji z Gazpromem członkowie prezydenckiego Zespołu ds. Bezpieczeństwa Energetycznego opracowali plan alternatywnej strategii, którego celem miało być zawarcie porozumienia „pomostowego" obowiązującego do chwili oddania do użytku gazoportu w Świnoujściu i uruchomienia dostaw gazu z innych państw. Prezydent Kaczyński ostatnie posiedzenie zespołu w sprawie negocjacji z Gazpromem zwołał na 26 marca 2010 r. W listopadzie 2010 r. wicepremier Pawlak podpisał porozumienie, na mocy którego kontrakt jamalski został przedłużony do 2022 r. Ceny wynegocjowane przez ekipę PO-PSL okazały się znacznie wyższe niż te, które obowiązywały państwa Europy Zachodniej.

Po zwycięskich wyborach w 2015 r. jednym z priorytetów rządu PiS stało się uruchomienie gazoportu w Świnoujściu, co nastąpiło w 2016 r., dwa lata później udało się uzyskać finansowanie z UE, które pokryje ponad połowę kosztów jego rozbudowy. Jesienią 2018 r. w obecności prezydenta Andrzeja Dudy i amerykańskiego sekretarza stanu ds. energii Ricka Perry'ego prezes PGNiG Piotr Woźniak i przedstawiciele amerykańskiej spółki Cheniere Marketing International podpisali 24-letni kontrakt na dostawy gazu skroplonego do Polski po cenach o 20–30 proc. niższych od rosyjskiego. W 2022 r. planowane jest uruchomienie gazociągu Baltic Pipe, służącego do transportu błękitnego paliwa z Norwegii przez Danię aż do Polski. Przygotowania do budowy gazociągu rozpoczęły się 20 lat temu za rządów AWS. W 2001 r. za rządów premiera Leszka Millera umowa z Norwegami została zerwana. Ponowne starania o umożliwienie stałych dostaw norweskiego gazu czynił w latach 2006–2007 rząd Jarosława Kaczyńskiego. Skuteczna polityka obecnej ekipy rządzącej doprowadziła do uzyskania unijnego dofinansowania budowy Baltic Pipe w wysokości 215 mln euro. W planach rządu jest również budowa pływającego gazoportu w Gdańsku.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ZBIGNIEWA DUDKA

działacza Solidarności Walczącej,
współpracownika Robotniczego Wydawnictwa „Feniks",
niestrudzonego bojownika o niepodległą i suwerenną Polskę
uhonorowanego Krzyżem Wolności i Solidarności.

Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy współczucia.

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

32/1119/F

eprasa.pl 1bb409c74f

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***


Sloophamer wenkt voor Sint-Amanduskerk in Kerkhove: "Amper nog diensten en vieringen"

Interes życia

W Europie Zachodniej kościoły coraz gorzej wpisują się w lokalny krajobraz. I tak np. władze gminy Avelgem w zachodniej Flandrii w Belgii postanowiły kupić od rady parafialnej neogotycki kościół z 1872 r. Po co? No żeby go zburzyć. W miejsce świątyni ma zostać wybudowane nowoczesne „neutralne dla klimatu centrum spotkań". Kościół jest w złym stanie i przydałby mu się porządny remont. Jednak władze gminy uznały, że taniej i praktyczniej będzie go wyburzyć. „Dzięki temu będzie można zlikwidować obecne centrum spotkań, również wymagające remontu. Zamiast dwóch starszych budynków, w tym jednego zabytkowego, jeden klimatycznie neutralny... Roześmiane twarze włodarzy gminy Avelgem, którzy sfotografowali się we wnętrzu kościoła dla potrzeb prasy, mówią wyraźnie, że zrobili świetny interes!" – czytamy na portalu Adoptuj Kościół w Holandii (adoptkhol.blogspot.com). Żeby było jeszcze zabawniej, burmistrz, która firmuje tę decyzję, rządząca w imieniu lokalnego ugrupowania, wywodzi się z formalnie chrześcijańskiej partii CD&V. Oficjalnie wniosek o kupienie kościoła św. Amanda w celu jego wyburzenia zostanie przedstawiony radzie gminy we wtorek 25 listopada. Kościół może chyba już tylko uratować modlitwa, a więc różańce w dłoń!



40 proc.
– taki jest średni poziom uczestnictwa w PPK pierwszej transzy pracodawców zatrudniających powyżej 250 pracowników.

1521 zł
– tyle średnio przeznaczy na święta polska rodzina. Tak wynika z badania firmy Deloitte.

7,8 proc.
– o tyle więcej wydadzą na świąteczne jedzenie Polacy w 2019 r. w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Aborcyjny rekord



Spośród 718 kobiet, które w 2018 r. poddały się swojej szóstej w życiu aborcji, pięć było nastolatkami – podaje Sky News, powołując się na dane zebrane przez Departament Zdrowia Anglii i Walii oraz Narodową Służbę Zdrowia (NHS) Szkocji. Mówicie, że permisywna edukacja chroni przed nieplanowaną ciążą? Z danych wynika coś zupełnie innego.

Skażone mięsem?



Amerykański weganin pozwał znaną sieć fast foodów. Do sądu w Miami wpłynął właśnie pozew przeciwko Burger Kingowi. Zdaniem weganina Phillipa Williamsa wegańskie burgery z tej sieci są „skażone mięsem zwierzęcym". O sprawie informuje m.in. Antyradio.pl. Wszystko przez to, że wegańskie burgery są przygotowywane na tych samych grillach, co kotlety z mięsa. Jak się chce być weganinem, to może trzeba po prostu ograniczyć się do jedzenia bułki z sałatą i pomidorem, zamiast skażać wszystkich swoim niezadowoleniem.

eprasa.pl 1bb409c74f



Ściągaj habit!

Francuskiej zakonnicy odmówiono miejsca w państwowym domu spokojnej starości, ponieważ nie chciała zrezygnować z noszenia habitu. O sprawie informuje rp.pl. Chodzi o 70-letnią siostrę, która większość życia spędziła w klasztorze w Drôme. Na starość postanowiła wrócić do rodzinnego departamentu Górna Saona, by tam spędzić jesień życia w jednej z placówek opiekuńczych. Zakonnica usłyszała, że otrzyma miejsce w domu spokojnej starości tylko wtedy, gdy zdejmie habit oraz zrezygnuje z noszenia nakrycia głowy swojego zakonu. Pozwolono jej wyłącznie na nieduży krzyżyk na szyi. Zakonnica odmówiła i zamieszkała w rodzinnej parafii. Jeszcze sekularyzm czy już totalitaryzm?

> Namawiałem go, aby nie startował. Nie zasługuje, aby wracać do polskiego piekiełka" – tak deklarację Donalda Tuska o niekandydowaniu na urząd prezydenta skomentował Sławomir Nowak. Dla nich wciąż polskość to nienormalność.

Ale świnie!



Dziki pokrzyżowały plany handlarzy narkotyków. Rzecz się zdarzyła we Włoszech, w lesie nieopodal doliny Valdichiana. „Grupa handlarzy narkotyków straciła kokainę wartą tysiące euro. Jak informują włoskie media, paczki zakopane przez dilerów w toskańskim lesie zostały przebite przez kły ryjących w ziemi dzików" – informuje tvp.info. Według lokalnej prasy wszystko wyszło na jaw dzięki policyjnym podsłuchom. Kokaina miała być schowana w wodoodpornych opakowaniach, umieszczonych dodatkowo w szklanych słoikach. Z podsłuchanej rozmowy handlarzy policja się dowiedziała, że jeden z dzików rozbił słoiki, a pozostałe zwierzęta zniszczyły opakowania, rozsypując znajdującą się w nich zawartość. Wartość zniszczonych paczek z kokainą jest szacowana na ok. 22 tys. euro. Policja zatrzymała czterech członków gangu: trzech Albańczyków i jednego Włocha. Wszyscy usłyszeli zarzut handlu narkotykami. Ale świnie z tych dzików! Żeby tak ludziom pokrzyżować plany.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Czy Pasikowski odkupi winy



Dominik Zdort

Nadchodzą „Psy 3. W imię zasad". Chyba każdy pamięta pierwszą część filmu Władysława Pasikowskiego z 1992 r. Obraz budził skrajne emocje, bo z jednej strony świetne tempo, amerykański styl realizacji, genialne dialogi, a z drugiej strony skrajnie zakłamana rzeczywistość, w której zarozumiali i głupi dawni działacze antykomunistycznej opozycji nie radzą sobie ze sprawowaniem władzy, a jednymi uczciwymi i godnymi zaufania ludźmi okazują się byli esbecy. I ta scena, w której niosą pijanego w sztok kolegę, śpiewając pieśń z grudnia 1970: „Na drzwiach ponieśli go Świętojańską...". To obrzydliwe, ale jakże zapadające w pamięć i pewnie bardzo prawdopodobne, bo obrazujące skrajny cynizm ludzi dawnej bezpieki.

Pozwolę tu sobie na ryzykowne porównanie. Ryzykowne, bo dotyczące dzieła o nieporównanie większej wadze. Być może najwspanialszego filmu w dziejach kinematografii. Myślę tu o „Ojcu chrzestnym". Odłóżmy na bok wszystko, co dotyczy strony artystycznej, a przyjrzyjmy się fabule i wizji świata. „Godfather", tak jak „Psy", pokazuje świat głęboko zakłamany. Mafijna rodzina Corleone zostaje zepchnięta do narożnika przez niemądre zasady wprowadzone przez złe państwo (skorumpowane i niezdolne do zrozumienia tradycyjnych zasad moralnych) oraz przez brutalną przestępczą konkurencję. Życie w takim świecie może nie usprawiedliwia, ale przynajmniej wyjaśnia, dlaczego w obronie rodziny używa się broni palnej. Jakże to amerykańskie...

Świętym prawem artysty jest naginać i naciągać, bo wiadomo – życie to nie film, ekranowa rzeczywistość musi być bardziej kolorowa od szarej codzienności. Jednocześnie twórca powinien być ostrożny, aby za daleko nie odejść od tego, co prawdopodobne, by uniknąć niezamierzonej śmieszności. Pasikowski radził sobie z tym i w „Krollu", i w kolejnych dwóch częściach „Psów", i w „Jacku Strongu" – wyszły świetne filmy akcji, w których naciąganie rzeczywistości nie przekraczało dopuszczalnych norm. Miał wszakże koszmarną wpadkę, gdy wziął się do tematu najwyraźniej dla siebie obcego, niezrozumiałego, a przy tym delikatnego i drażliwego – polskiego antysemityzmu. W „Pokłosiu" zakłamanie i zmyślenie osiągnęło poziom absurdu.

Mimo tej kompromitacji czekam na kolejne „Psy". Czekam na Lindę, Pazurę i Dorocińskiego, na świat zmyślony, ale nie przegięty. Na powrót Pasikowskiego do źródeł i odkupienie win z „Pokłosia".

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 1bb409c74f

RZECZY POSPOLITE

Ojczyzna i wolność



Tomasz ***Łysiak***

Rocznicę powstania listopadowego zawsze widzę przez pryzmat wydarzeń roku 1860. Obchody rocznicy listopadowej w tamtym roku miały bowiem wymiar szczególny. Pod kościołem karmelickim na Lesznie w Warszawie zebrał się modlący tłum. Płonęły świece postawione wprost na bruku ulicy – w taki sam sposób jak całkiem niedawno i my stawialiśmy znicze, gdy umarł papież czy też w dniach żałoby po tragedii smoleńskiej. Kiedy widzę takie świece na chodniku, na myśl mi właśnie przychodzi ów rok 1860, a wraz z nim i ten leżący na samym początku łańcucha zdarzeń, czyli 1830.

W rocznicę insurekcji pod figurą Matki Boskiej na Lesznie modlili się mieszkańcy Warszawy. Studenci rozdawali obrazki z wielkimi Polakami, zupełnie tak, jakby to były „święte obrazki". Bo dla nas świętymi stawali się – Kościuszko, książę Józef Poniatowski, Piotr Wysocki, Walerian Łukasiński... Wiedzieliśmy, iż oni całe swoje życie dawali za Polskę – poświęcali wszystko: myśli, pracę, walkę, poranne wstawanie, spiskowanie, lekturę polskich książek, modlitwy w kościołach i te z dziećmi przy ich łóżku. Za świętą sprawę polską oddawali siebie i tak stawali się naszymi świętymi.

Poza obrazkami młodzi ludzie z Karolem Nowakowskim na czele rozdawali także zgromadzonym teksty polskich pieśni. A to tę Legionów Polskich we Włoszech, która później stać się miała naszym hymnem, a to „Z dymem pożarów...". Była też wśród nich i ta, którą napisał biskup Feliński, a w której była strofa ku czci cara, pieśń „Boże, coś Polskę". Tyle że tym razem ludzie na kartkach zobaczyli zmieniony tekst, już nie cara wielbiły zdania. W ostatnim wersie były słowa: „Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!".

Cóż piękniej może opisać marzenie kolejnych pokoleń insurgentów niż te dwa słowa? Ojczyzna i wolność. Dwie wielkie polskie wartości. Gdzie ich należy szukać? Nim je „szablą weźmiemy", musimy poprosić o nie Boga. Ojczyzna i wolność w ujęciu tej pieśni-modlitwy to dar. Dzisiaj za ten dar dziękujemy. A prosić możemy jedynie o to, byśmy go nie zmarnowali.

Ogórek wam w oko



Piotr ***Cywiński***

Szkoda, że państwo tego nie widzą! Ale mogą zobaczyć – nie powiem gdzie, byłaby to reklama jednego z portali, na co pewnie liczy, ale powiem co: „bezkarną Magdalenę Ogórek", która „w markowej stylizacji PO RAZ KOLEJNY łamie przepisy drogowe (ZDJĘCIA)", cytuję tytuł z zachowaniem oryginalnej pisowni. A w tekście, że „próbowała naprawdę wszystkiego, aby zaistnieć", że „kiepskie seriale i konkursy miss", że z ramienia SLD w wyborach próbowała i też „nie udało jej się", aż wreszcie ta „ambitna 40-latka" znalazła „przystań w TVP, gdzie spełnia się w roli prowadzącej" i „dalej podbija ukochane ścianki". Aliści „wątpliwa sława na tyle uderzyła niedoszłej pani prezydent do głowy, iż wydaje jej się, że jest teraz ponad prawem". Co zrobiła? „Celebrytka" Ogórek „perfidnie zaparkowała swoje BMW na środku ulicy", poszła coś kupić, a przy tym „wykorzystała okazję, by pochwalić się przed paparazzi torebką Louis Vuitton wartą 5 700 zł i butami Chanel, po czym jakby nigdy nic wsiadła do swojego auta i odjechała przed siebie".

A wszystko to pokazane na kilku zdjęciach, jeszcze się ta „przyłapana" uśmiecha! Skandal! Taką to by na stos, na co jej durny los, dajcie, chłopcy, ten kagańczyk... Że jakiś internauta zauważył: „Kto tu widzi, że na środku ulicy, samochód stał przy słupkach", i wykroczenia jakby nie było, ale mniejsza z tym, na pohybel tej „larwie jak kuleczka (gra półsłówek)" – dopisał pod tekstem jakiś zaangażowany...

W tym samym czasie na innym portalu zdjęcie, chapeau bas, „znanego dziennikarza Piotra Najsztuba", który siedzi spokojnie na kanapie, z założonymi rękami, na zakupy autem nie jeździ, bo musiał, niestety, odczekać na uniewinniający go wyrok sądu. Co prawda ze dwa lata temu jechał bez prawa jazdy odebranego mu za punkty karne, samochodem niedopuszczonym do ruchu, bez ważnego badania technicznego, i „potrącił starszą kobietę", ale – jak zawyrokowała ślepa Temida – jest bez winy. Jechał 20 km/h, więc „nie miał szans zahamować", gdy nagle, z jeszcze większą prędkością wtargnęła mu na pasy ta starsza, i tak walnęła w auto Najsztuba, że połamała sobie żebra, kość pokrywy czaszki itd. Jak „zaznaczył sędzia", a portal opisał bez komentarza, to ona „powinna zachować większą ostrożność".

Najsztub odsiedział więc spokojnie na kanapie, wkrótce też będzie mógł pojechać na zakupy. Może po drodze natknie się na tą bezkarną Ogórek i będzie mógł ją tak walnąć, aż wyleci w powietrze razem z tą jej torebką Vuitton i butami Chanel... – niech się głupio nie śmieje!

Resztę załatwi sędzia. I ogórek wam w oko...

eprasa.pl 1bb409c74f

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

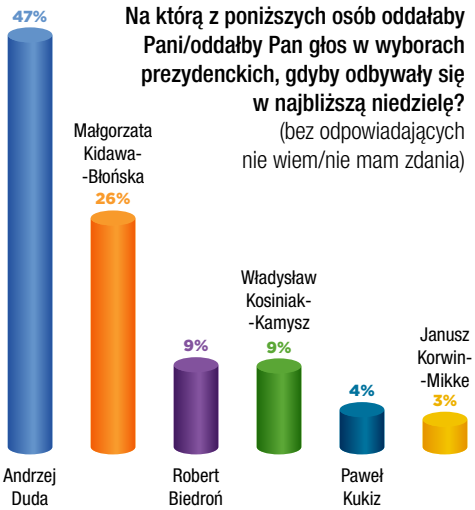
REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR

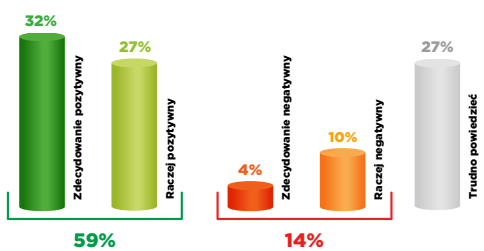
nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

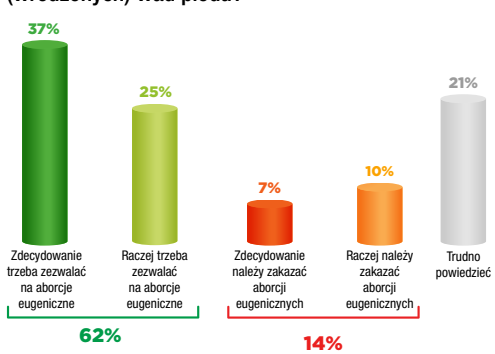
Na którą z poniższych osób oddałaby Pani/oddałby Pan głos w wyborach prezydenckich, gdyby odbywały się w najbliższą niedzielę?
(bez odpowiadających nie wiem/nie mam zdania)



Jaki jest Pani/Pana stosunek do żołnierzy wyklętych walczących z komunistami po II wojnie światowej?



Jakie jest Pani/Pana stanowisko w sprawie aborcji eugenicznych, czyli aborcji w przypadku stwierdzenia rozwojowych czy genetycznych (wrodzonych) wad płodu?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1028.

Zakres czasowy badania 8–12 listopada 2019 r.

eprasa.pl 1bb409c74f



Mamy plan, jak dalej wygrywać

Zjednoczona Prawica jest rzeczywiście zjednoczonym obozem. Oczywiście nie wszyscy mamy identyczne zdanie w każdej sprawie, bo to jednak koalicja, która szanuje wolność słowa i poglądów. Dla Porozumienia najważniejsze są kwestie związane z przedsiębiorcami, dla Solidarnej Polski usprawnienie wymiaru sprawiedliwości. Dla Prawa i Sprawiedliwości ważne jest... wszystko. Razem uda nam się naprawić jeszcze wiele, wiele polskich spraw

eprasa.pl 1bb409c74f



Zdjęcia Andrzej Wiktor

Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z premierem Mateuszem Morawieckim

Rozczarowanie w obozie Zjednoczonej Prawicy, że uzyskany 13 października mandat do dalszego rządzenia nie jest silniejszy, już minęło?

Mateusz Morawiecki: Rozczarowanie? Najwyższym wynikiem w Polsce w całym ostatnim 30-leciu? I jednym z najwyższych wyników w ostatnich latach w Europie? Na pewno nasz obóz nie był rozczarowany. Bardzo się cieszę i doceniam, że mamy bezwzględną większość parlamentarną. Dziękuję za to wyborcom z całego serca. Oczywiście chciałbym, żebyśmy mieli jak najwięcej głosów w Sejmie, ale polityka jest sumą gry o tylu wektorach sprzecznie działających, że konia z rzędem temu, kto ostatecznie rozpozna, jakie czynniki wpłynęły na to, że ostatecznie 1–2 czy 3 proc. wyborców poparło jednak tamtą, a nie tę partię.

W Senacie jednak porażka.

Panowie, wybory do Senatu wygrało Prawo i Sprawiedliwość, nasza partia ma największy klub senacki.

Ale za mały, by wybrać marszałka.

To jest niemal pół na pół – 51 senatorów do 49. Różnie może to się dalej potoczyć. Trzeba myśleć do przodu. Warto o tym pamiętać, wziąć głęboki oddech i rzeczywiście uczynić z tej izby miejsce dobrych obrad, refleksji, a nie walki politycznej. Nie dramatyzuję, zachowuję spokój.

Przeanalizowano już przyczyny tej porażki?

Nie nazwałbym tego porażką, to stan równowagi. A przyczyny? Obóz III RP broni z całych sił swoich pozycji, a w wyborach do Senatu zintegrował się i dzięki ordynacji większościowej osiągnął taki wynik. Mam nadzieję, że nie po to, by stosować obstrukcję.

eprasa.pl 1bb409c74f

Czy marszałek Senatu Tomasz Grodzki może zostać nowym liderem opozycji? Kto według pana premiera dziś nim jest?

Jeśli sama opozycja tego nie wie, to nie oczekujcie, panowie, ode mnie, że będę to wiedział. Tym bardziej że to zmartwienie innych. Prawo i Sprawiedliwość nie ma problemu z przywództwem.

Wyciągał pan w Sejmie rękę do opozycji, również prezes Jarosław Kaczyński o tym mówił, odwołując się nawet do mocnego przykładu Irlandii, gdzie pojednały się partie wcześniej do siebie strzelające.

Nie tylko teraz, ale i przez poprzednie cztery lata mieliśmy szczerą intencję normalności, współpracy w ramach parlamentu z opozycją na takich zasadach, jak to funkcjonuje w cywilizowanych krajach. Ale po drugiej stronie zamiast na program, postawiono na totalną opozycję. Polityka budowania muru między obozem rządzącym a opozycją zawsze prowadzi do społecznego podziału. To wielka szkoda. My zawsze takie podejście odrzucaliśmy i zaproszenie do współpracy ponawiamy.

Ta totalność się skończyła?

Życzyłbym polskiej polityce totalnej merytoryki, a nie totalnych podziałów. Bardzo bym chciał, żebyśmy spierali się na pomysły, koncepcje rozwojowe, jaka ma być Polska za pięć–dziesięć lat. Naprawdę często zapominamy zanurzeni w naszych wewnętrznych – mniej czy bardziej poważnych – sporach, że przyszłość Polski w dużej mierze zależy od tego, co się dzieje na zewnątrz naszego kraju, np. w światowych trendach gospodarczych. Od tego, jak się w tym odnajdziemy, zależy przyszłość naszego społeczeństwa i polskiego rozwoju. A nie od tego, kto komu mocniej przyłoży słowem na Twitterze czy podczas debaty sejmowej.

Podtrzymuje pan prognozę, że PiS będzie rządziło do 2034 r.?

Panowie, już nie naciągajcie mnie na kolejne lata – mówiłem o 2031 r. zresztą też w wywiadzie dla tygodnika „Sieci", jeszcze jako wicepremier. Mocno mnie za to zaatakowano, ale nie żałuję. Trzeba umieć rysować dalekie, zwłaszcza gospodarcze i społeczne, perspektywy. Do wypełnienia tamtej mojej prognozy politycznej zostało jeszcze 12 lat. Wszystko jest możliwe, ale na pewno potrzebna jest pokorna, mądra i ciężka praca.

To dobry moment, by zapytać, na ile dzisiaj Zjednoczona Prawica jest inna niż po wyborach roku 2015? Jakie wnioski wyciągnięto z pozytywnych i negatywnych doświadczeń? Ile pozostało zapału i wiary w możliwość zmiany Polski?

Na pewno fundamentem naszej polityki pozostaje dbałość o podstawowe wartości założycielskie, takie jak miłość do rodziny, szacunek do naszego dziedzictwa historycznego, pragnienie silnego państwa. Z tego wchodzimy w całą przestrzeń realizacji tych celów w sposób polityczny. I to już oczywiście podlega stałej ewolucji, bo polityka jest sztuką realizacji celów w zmiennych warunkach. Gdybyśmy przestali sobie zadawać pytania: czego pragną Polacy, jakie cele oni sobie stawiają, zgrzeszylibyśmy pychą.

Stale trzeba się przeglądać w społecznym lustrze?

To absolutny fundament dobrych rządów. Trzeba też umieć wyjść poza partyjne schematy. Podam konkretny przykład – ochrona środowiska. Wszyscy kochamy przyrodę, nie jest to ani lewicowy, ani prawicowy temat. Zalanie świata plastikiem nie jest przecież czymś miłym dla konserwatystów, a przykrym tylko dla lewicowców.

Albo zaśmiecenie lasów, koszmarny i bolesny problem.

Sam uczestniczyłem kiedyś – jeszcze przed służbą państwową – w sprzątaniu lasów w okolicy Obornik Śląskich i nie czułem się wtedy ani prawicowy, ani lewicowy, tylko chciałem coś zrobić dla przyrody i ochrony środowiska. Dziś czyste powietrze i zielona przestrzeń wokół nas stają się globalnym wyzwaniem.

Tworząc nowy rząd, wyszedł pan premier jednak poza tradycyjnie pojmowaną ochronę przyrody – powstaje Ministerstwo Klimatu. Dlaczego?

Bo Polacy oczekują zdecydowanego zajęcia się sprawami jakości powietrza, walką ze smogiem, tematami klimatycznymi. I to wszyscy – zarówno nasi wyborcy, jak i zwolennicy opozycji. Panowie, jeśli dochodzi do takich sytuacji, że dzieci w wielu przedszkolach, np. w Małopolsce, nie mogą wyjść na spacer z powodu wielokrotnie przekroczonych norm zanieczyszczenia powietrza, to mamy problem czy nie? Zdecydowanie mamy. Dlatego trzeba działać, a nie pozorować działania, jak to robili nasi poprzednicy.

Dlaczego takie ministerstwo nie pojawiło się cztery lata temu?

Bo wtedy świadomość wagi tego problemu nie była jeszcze tak powszechna. Także mój rząd, nasz obóz polityczny, przykłada do tego coraz większą wagę. Ale to nie zaczęło się od powołania ministerstwa. Trzy lata temu koalicja różnych organizacji społecznych występująca pod nazwą Polski Alarm Smogowy sformułowała bardzo konkretne postulaty, które wdrażamy. To jest m.in. podniesienie jakości paliw, wymiana kopcących kotłów, zmiana norm jakości powietrza. Tu ciekawostka: rząd PO-PSL, żeby ukryć problem, po prostu podwyższył normy alarmowe dla smogu. Zamiast coś zrobić, stłukł termometr. My poszliśmy w odwrotnym kierunku – normy zaostrzyliśmy. Odrzucamy kłamstwo, wybieramy wiedzę, nawet przykrą. I realną walkę ze smogiem.

Nowy minister klimatu Michał Kurtyka przywołał z dumą postać Grety Thunberg, dziewczynki, która stała się ikoną bardzo ideologicznego, wręcz religijnego podejścia do sprawy zmian klimatycznych. To wiele osób zadziwiło.

Nie przykładałbym do tego większego znaczenia. Znam poglądy pana ministra Kurtyki i wiem, że w swoich działaniach kieruje się on przede wszystkim racjonalnym, wyważonym podejściem. To polityk, który świetnie przeprowadził szczyt klimatyczny w Katowicach w 2018 r. i który

eprasa.pl 1bb409c74f

doskonale wie, w jak trudnej sytuacji Polska się znalazła, jak rośnie presja w sprawach klimatycznych i energetycznych. To właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Pan premier podziela obawy, że świat czeka katastrofa klimatyczna w perspektywie dekady? Powodzie, tsunami, pożary – to wedle radykalnych ekologów ma czekać świat, jeżeli nie zaczniemy „walczyć ze zmianami klimatycznymi".

Nie przyjmuję oczywiście podejścia religijnego do tej sprawy, co zdarza się na Zachodzie, gdzie coś musi zastąpić pustkę aksjologiczną. Stoję na stanowisku, że do polityki klimatycznej musimy podchodzić bez skrajnych emocji i ideologicznego zacietrzewienia. Pewne zmiany klimatyczne są z pewnością faktem. W wielu regionach świata występuje np. stepowienie i inne katastrofy, których 20–30 lat temu nie było. Ale nawet jeśli ktoś nie wierzy w zmiany klimatyczne w przyrodzie, to przecież funkcjonujemy w warunkach polityki klimatycznej Unii Europejskiej i musimy się odnaleźć w tych realiach. A są one brutalne, rosną ceny zezwoleń na emisje CO_2, to już bardzo mocno może wpływać na ceny prądu i całą gospodarkę. Różne pistolety są w związku z tym wymierzone w naszym kierunku, a my musimy umiejętnie wykorzystać tę sytuację – z jednej strony do skoku technologicznego w energetyce, a z drugiej do ochrony własnej konkurencyjności i dobrych cen dla odbiorców energii w Polsce. Walczymy o swoje.

Ciemną stroną ostrej walki z emisją CO_2 jest ubóstwo energetyczne. Czy na dłuższą metę da się utrzymać obecne ceny prądu w Polsce? Podwyżki dało się uniknąć dzięki ustawie o cenach prądu z lipca 2019 r. Na jak długo?

W Polsce ceny prądu wciąż należą do najniższych w Europie i – co ważne – spadły w ubiegłym roku. Mimo że wszędzie dookoła wzrosły. Coraz większą część ceny każdej kilowatogodziny w naszym rachunku za energię stanowią koszty emisji CO_2, związane z jej wyprodukowaniem. Kilka lat temu wynosiły one 5 euro, dzisiaj ponad 23 euro, a potrafiły sięgać 30. To pokazuje, z czym się teraz mierzymy.

Jak wspomnieliśmy, ustawa z lipca wzrost cen prądu powstrzymuje dla gospodarstw domowych i małych firm. Czy jest ona do utrzymania na dłuższą metę?

Pamiętajmy, że nie jesteśmy jako rząd jedynym podmiotem na tym rynku. Z jednej strony jest niezależny – zgodnie z prawem unijnym – regulator, czyli Urząd Regulacji Energetyki, a z drugiej spółki energetyczne, które muszą działać, przestrzegając zasad rynku. Naszym celem jest więc wypracowanie jak najlepszej ich efektywności – tak, by cena prądu dla konsumentów była jak najniższa. I na razie nam się to udaje.

> Nasz rozwój próbują dziś zakłócić skrajności. Z jednej strony są to apologeci jakiejś rewolucji ideologicznej, z drugiej ruchy szowinistyczno-nacjonalistyczne

W exposé przedstawił pan premier założenia modernizacji kraju w każdym właściwie obszarze rzeczywistości. Ale ważnym elementem było też podkreślenie fundamentów ideowych, konserwatywnych, prorodzinnych. Jak by pan nazwał ten kurs? Czy te dwa elementy da się połączyć?

Łączymy to przecież skutecznie od czterech lat. Ale tu trzeba kilka spraw wyjaśnić i cofnąć się na chwilę o 25 lat, do momentu, w którym swoją ofertę dla Polski przedstawili po raz pierwszy Lech i Jarosław Kaczyńscy. Była to propozycja budowania normalnej Polski, zwalczającej korupcję, zrywającej z totalitarnym i niewydolnym komunizmem. Przypięcie temu programowi łatki „oszołomstwa" było zręczną taktyką obrońców PRL i pierwszej fazy transformacji w III RP, ale nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. To, co udało nam się zrobić w ostatnich czterech latach i co zamierzamy robić przez kolejną kadencję, wyrasta z tego właśnie nurtu i jest normalne, logiczne, potrzebne.

Mocno zabrzmiały też słowa, że „polskie państwo dobrobytu [...] szanuje wartości Polaków, nie przyjmuje skrajności – ani rewolucji światopoglądowych, ani szowinizmów". To jednak nowy ton, podkreślający kurs środkiem chodnika, choć może nieco bliżej prawej krawędzi.

Panowie, musimy wszyscy zdawać sobie sprawę, że nasz normalny rozwój, tę wielką, historyczną wręcz szansę dogonienia Zachodu, próbują dziś zakłócić skrajności. Z jednej strony są to apologeci jakiejś rewolucji ideologicznej, którzy chcą uderzyć w rodzinę – czyli fundament polskiego życia społecznego – która najlepiej przechowuje i przekazuje najważniejsze wartości i zasady. Z drugiej strony mamy skrajności szowinistyczno-nacjonalistyczne, zaskakująco w wielu wymiarach bliskie celom polityki rosyjskiej. My obie te skrajności odrzucamy. Odwołujemy się do solidaryzmu społecznego, do chrześcijańskiej myśli społecznej. To tam są źródła troski o godność człowieka, o to, by nikt nie był wykorzystywany, lekceważony, zdany jedynie na siebie. Lekturę encykliki papieża Leona XIII „Rerum novarum" do dziś warto zalecać wszystkim politykom.

Zgoda, ale nie możemy też zapomnieć, że były czasy, gdy PiS stawiało sobie bardzo ambitne cele także w wymiarze zmiany pewnych hierarchii, zmiany sposobu dystrybucji prestiżu społecznego, nawet wymiany części elit.

To się dzieje, samo sprawowanie rządów przez naszą formację to wszystko z sobą niesie. Obecna Polska nie jest

eprasa.pl 1bb409c74f



Mamy narzędzia, by bronić rodzinę choćby przed tym, co proponuje opozycja oraz ideologiczni ekstremiści w odniesieniu do edukacji seksualnej dzieci. Jestem przekonany, że dla 90 proc. polskich rodzin to nie do przyjęcia

już krajem jednej gazety, ale dużo bardziej pluralistycznym. Nowe elity, normalne patriotyczne elity, też się tworzą, ale to przecież proces rozłożony na wiele lat. Nie można tego zadekretować.

Co pan rozumie przez patriotyczne elity?

Takie, które mogą mieć poglądy prawicowe lub lewicowe, ale nie abdykują z troski i dbałości o interesy polskie, które doceniają wagę naszego państwa, które chcą pracować dla ojczyzny i reprezentować polską rację stanu. Nie jest to oczywistością, część obecnych elit wykazuje cechy kompradorskie, czyli czuje się bardziej związana z interesami innych państw. Jeśli takie grupy przejmują władzę, to przynosi to gigantyczne straty dla kraju. Odpuszczenie walki o odpowiednie regulacje, choćby na forum unijnym, międzynarodowym, może nam przynieść wielkie straty, a naszym konkurentom dać wielkie przewagi. Dobrym przykładem jest podejście do emigracji. Przez dwie dekady cieszono się, że możemy wyjeżdżać do pracy, na stałe, za granicę. Oczywiście z indywidualnego punktu widzenia bywa to korzystne i ja to szanuję, każdy ma jedno życie i podejmuje decyzje najlepsze dla siebie i swojej rodziny. Ale z punktu widzenia dumnej Rzeczypospolitej był to ogromny upływ krwi. Można to nawet przeliczyć na utracony PKB – ja go oceniam na 100–200 mld dol. Dziś mamy PKB nieco poniżej 600 mld dol., gdyby nie emigracja, byłoby to 700–800 mld.

Czy ten kurs, zakreślony w tej rozmowie i wcześniej w exposé, będzie utrzymany przez całe cztery lata? To wystarczy, by w roku 2023 myśleć o reelekcji?

Wiemy, że zdecydowana większość Polaków oczekuje stabilnego rozwoju społeczno-gospodarczego. Polacy odrzucają ideologiczne wojny, skrajności – po latach, dekadach i stuleciach szarpanej historii rodacy chcą zdrowo rozumianej normalności. Za dużo było w naszej przeszłości sytuacji, gdy jak tylko zrobiliśmy trzy kroki do przodu, przychodziła zawierucha i cofała nas o pięć kroków. Nie mówiąc o tym, że II wojna światowa cofnęła nas o kroków 200. Wszystkie te nawarstwione zapóźnienia najwyższy czas nadrobić. To nie jest małe wyzwanie, to jest wielka narodowa ambicja: uczynić z Polski najlepszy kraj do życia w Europie. To nie jest cel polityczny, to coś więcej – to marzenie milionów rodaków.

Opozycja mówi: Polacy chcą 500+. I tylko na tym im zależy.

Na miejscu opozycji przemyślałbym, czy ciągłe obrażanie milionów Polaków to dobra strategia. Ale odkładając to na bok – na pewno Polacy chcą też, by wszystkie zdobycze ostatnich czterech lat zostały utrzymane i to właśnie PiS przez swoją wiarygodność jest tego gwarantem. Wszyscy już wiedzą, że mieliśmy rację, proponując w 2015 r. zmianę gospodarczej strategii. Wszyscy rozumieją, że zmiany po upadku komunizmu można było wprowadzić dużo lepiej i wcześniej. Zaledwie kilka osób, w tym Leszek Balcerowicz, broni tamtego neoliberalnego modelu, a precyzyjniej – własnych życiorysów. Polacy cenią stabilność finansów publicznych, chcą rozwoju gospodarczego, innowacyjnej gospodarki, nowoczesnych technologii. Dlatego powiedziałem w exposé: „Polska – tech nation". Chcemy tworzyć, przyciągać technologie, rozwijać je, robić skoki do przodu, przeskakując etapy rozwoju pewnych dziedzin na Zachodzie. To oznacza wyższe zarobki, lepsze miejsca pracy i wykorzystanie polskich zdolności i talentów.

Kiedy zatem ta obiecana „polska wersja państwa dobrobytu" stanie się rzeczywistością?

Jeśli jako kryterium przyjąć dogonienie Zachodu pod względem średniego dochodu na osobę, to ekonomiści prognozują, że za kilkanaście lat. O ile nie zmarnujemy obecnej szansy.

eprasa.pl 1bb409c74f

Podobno czeka nas kryzys zwany spowolnieniem?

Tak długo mówimy o tym nieuchronnym spowolnieniu, że doczekaliśmy się już pierwiosnków ożywienia w strefie euro. Gdyby tak było, to okazałoby się, że przeszliśmy to zawirowanie spokojnie suchą stopą. I świadczyłoby o dużej wewnętrznej energetyczności i sile polskiej gospodarki.

To jeszcze raz przywołajmy opozycję. Pan też słyszał wystąpienia po exposé i pytania: „A gdzie ten milion samochodów elektrycznych? A gdzie jakiś zrealizowany do końca projekt? Gdzie ten Centralny Port Komunikacyjny?”.

Zacznę od końca: nad budową Centralnego Portu Komunikacyjnego pracujemy intensywnie, wszystko idzie zgodnie z harmonogramem. Wchodzimy tam w etap, w którym – wiem z doświadczenia – zaczną się mnożyć rzucane pod nogi kłody, pojawiać różne naciski. Dlatego podjąłem decyzję, że pełnomocnikiem rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego zostanie Marcin Horała. Bardzo doceniam to, co zrobił wiceminister Mikołaj Wild, ale widzę konieczność tej zmiany, by te rysujące się na horyzoncie przeszkody nas nie zatrzymały. Teraz potrzebny jest tam polityk, który będzie miał siłę polityczną konieczną na tym etapie.

Programy elektromobilności rozwijają się świetnie. Najwięksi producenci baterii litowo-jonowych lokują się w Polsce. Ten rynek nie stoi w miejscu, staramy się więc wchodzić w nisze, które dają szanse na sukces. Mało kto wie, że Polska jest jednym z głównych eksporterów autobusów elektrycznych, jest ich też coraz więcej w polskich miastach – pięć lat temu było ich kilkanaście, dziś są już setki.

I dalej: opozycja z jednej strony atakuje nas za prace nad przekopem Mierzei Wiślanej, a z drugiej zarzuca, że tego nie robimy... Zapewniam: robimy i zrobimy, bo wiemy, że to ożywi, odblokuje rozwój całego regionu. Tak jak realizujemy projekt budowy dróg gminnych, lokalnych, na które wydajemy dziesięć razy więcej niż nasi poprzednicy.

Więcej: badania i rozwój – najwyższy wynik w czasach III RP, coraz bardziej zaawansowany eksport, najszybciej realnie rosnące wynagrodzenia Polaków od 1990 r. Życzyłbym każdemu rządowi takich owoców. Ale my nie chcemy się zatrzymywać, bo jest jeszcze mnóstwo do zrobienia.

A program mieszkaniowy?

Tu znowu apeluję o uczciwą ocenę. Uruchomiliśmy wiele narzędzi ułatwiających budowanie, zakup mieszkań. Efekt? Przez osiem lat kadencji PO-PSL średnio oddawano do użytku 148 tys. mieszkań, a w roku 2019, jak wskazują dane GUS, może to być ponad 200 tys. mieszkań. Widać, że nasza praca przynosi efekty. Chcemy zrobić wszystko, by to było jeszcze o co najmniej 50 tys. mieszkań rocznie więcej.

Może ten niedosyt u niektórych bierze się z poczucia, że państwo polskie nie ma wciąż zdolności wdrażania takich projektów?

Rzeczywiście, III RP charakteryzowała się bardzo wysokim stopniem imposybilizmu, bylejakości i dojutrkowości. Instytucje państwowe nastawione były na pracę w najwyżej dwuletnich okresach, nie tworzono kadr zdolnych pociągnąć duże projekty. Pierwszy raz przełamaliśmy to, sprawnie wdrażając projekt uszczelnienia systemu podatkowego, budując Krajową Administrację Skarbową, która ratuje dla budżetu kilkadziesiąt miliardów rocznie. I nie dajmy się zepchnąć do kąta zarzutami, że tam działali ludzie z mafii VAT-owskiej. To nieprawda. Jeden pan był zatrudniony przez cztery miesiące, a drugi nie w samym Ministerstwie Finansów, tylko gdzieś na obrzeżach. To przykra sprawa, ale niemająca nic wspólnego z całą operacją walki z mafiami VAT-owskimi.

Uważa pan premier, że obecny prezes NIK, a wcześniej współtwórca i szef KAS, Marian Banaś powinien się podać do dymisji?

Powstał już raport odpowiednich służb w tej sprawie. Po jego lekturze będę sobie mógł wyrobić zdanie, z czym naprawdę mamy do czynienia. Ale bez względu na wynik tej lektury muszę uczciwie powiedzieć, że reforma służb skarbowych w jego wykonaniu była dobrze pomyślana i przeprowadzona.

Przed nami, już w maju 2020 r., wybory prezydenckie. To dzisiaj wyznacza polityczną agendę. Jak pan premier ocenia szansę prezydenta Andrzeja Dudy na reelekcję?

Prezydent jest bardzo doświadczonym politykiem i wie, że nie można lekceważyć żadnego kontrkandydata. Nikt już w Polsce nie odważy się powiedzieć, że nie ma z kim przegrać. Trzeba walczyć. To polityk niezwykle skuteczny, przykładem jest sprawa wiz. Ważna praktycznie, ważna godnościowo, nierozwiązywalna przez dekady. Prezydent Andrzej Duda zaangażował się w sprawę i skutecznie doprowadził ją do sukcesu. Podobnie jak ogromnym jego sukcesem jest konsekwentne zwiększanie obecności wojsk NATO w Polsce, a co za tym idzie, bezpieczeństwa Polski. To jest prezydent, który nigdy nie zapomniał o wyborcach, miał czas dla każdej grupy społecznej – objechał, jak obiecał, cały kraj. Także na prace rządu patrzy uważnie i jeśli uzna za słuszne, interweniuje. Trzymam więc mocno kciuki za pana prezydenta.

Włączy się pan w kampanię?

Wartości, które pan prezydent prezentuje, są również moimi wartościami. Tyle dzisiaj mogę powiedzieć w tej sprawie.

Mówił pan w exposé dużo o zagrożeniach dla rodziny, o konieczności jej obrony, o tym, że eksperyment nie może być traktowany jako norma. Czy to na pewno będzie konsekwentnie, wytrwale realizowane? Atak na te wartości jest ogromny.

Raz jeszcze podkreślę, jak powiedział prymas Stefan Wyszyński, rodzina to jest bastion całego narodu. Nie wiemy także, do czego ta atomizacja społeczna na Zachodzie, wynikająca ze słabnięcia rodziny, doprowadzi za 20 czy 30 lat. To bardzo wrażliwe kwestie, tu nie może być miejsca na eksperymenty. Dwa największe społeczne wynalazki człowieka – rodzina i państwo – wymagają troski i ochrony. Musimy to robić, choć nie uważam,

eprasa.pl 1bb409c74f

żeby był to jakiś spisek. Raczej niedobre, sekularyzacyjne trendy, którym można i trzeba przeciwdziałać. Nie są to trendy nieodwracalne, nie jesteśmy też sami w Europie w naszych odczuciach. Dostrzegamy wielu sojuszników i w Hiszpanii, i we Francji, i w państwach naszego regionu.

Powiedział pan w Sejmie: „Jeśli ktoś chce wywołać wojnę kulturową, to my tę wojnę wygramy". Co to znaczy?

To, że mamy narzędzia, by bronić rodzinę choćby przed tym, co proponują opozycja oraz ideologiczni ekstremiści w odniesieniu do edukacji seksualnej dzieci. Jestem przekonany, że dla 90 proc. polskich rodzin to nie do przyjęcia. Dzieci są nietykalne, ich wychowanie to domena rodziców, nie wolno na dzieciach przeprowadzać eksperymentów ideologicznych. Będziemy dbali o to, żeby regulacje prawne na to nie pozwalały. Ale także o to, by skutecznie i mocno uderzać we wszelkie środowiska o skłonnościach i inklinacjach pedofilskich.

Rząd jest rozrywany przez frakcje? Taki opis wyłania się z niektórych publikacji.

Na pewno chodzi o rząd w Polsce? Ja u nas tego ryzyka nie dostrzegam. Zjednoczona Prawica jest rzeczywiście zjednoczonym obozem. Ale oczywiście nie wszyscy mamy identyczne zdanie w każdej sprawie, bo to jednak koalicja, która szanuje wolność słowa i poglądów. Jestem przekonany, że wszyscy podzielamy podobne wartości, choć nieco inaczej niektórzy kładą akcenty. Dla Porozumienia najważniejsze są kwestie związane z przedsiębiorcami, dla Solidarnej Polski usprawnienie wymiaru sprawiedliwości. Dla Prawa i Sprawiedliwości ważne jest... wszystko. Razem uda się nam naprawić jeszcze wiele, wiele polskich spraw. Dużo już się udało w ciągu ostatnich czterech lat.

Wymiar sprawiedliwości, którego to reforma trafiła na tak potężny opór, też?

Też. Po pierwsze, sporo się udało zmienić. Po drugie, praktyka tych zmian odbiera argumenty krytykom. Nikt nie potrafi pokazać choćby jednego przykładu politycznych decyzji Izby Dyscyplinarnej czy Izby Spraw Nadzwyczajnych, choć funkcjonują już od półtora roku. Nasza reforma powoli, z oporami, ale przynosi rezultaty. Cieszy mnie też ostatni wyrok TSUE, który uwzględnił argumenty, że wymiar sprawiedliwości jest wyłączną kompetencją państw członkowskich, że poszczególne systemy polityczne różnie kształtują takie procesy jak powoływanie sędziów, ich dyscyplinowanie. Ale nikt chyba nie chce ani w Brukseli, ani w Warszawie, by sędziowie nie podlegali żadnej dyscyplinie, by sami siebie wybierali, oceniali, awansowali i dyscyplinowali. To prosta droga do powielania patologii, do demoralizacji.

Grupa wicepremiera Jarosława Gowina skutecznie jednak zablokowała ustawę o likwidacji limitu tzw. 30-krotności składek do ZUS w przypadku najlepiej zarabiających Polaków?

Są rzeczy najważniejsze, ważne i mniej ważne. Ta sprawa należy do tej ostatniej kategorii. Czasami nie warto o pewne rzeczy kruszyć kopii, czasami warto odstąpić i dać sobie czas. Mimo że nadal uważam, iż ta sytuacja z limitem 30-krotności nie jest dobra. Powoduje, że bogaci w mniejszym stopniu niż biedniejsi dokładają się do systemu emerytalnego. Ci, którzy zarabiają 3–4 tys., odprowadzają składki przez cały rok. Ci, którzy zarabiają miesięcznie 15–18 tys., odprowadzają je tylko do sierpnia–września. No, chyba zgodzimy się wszyscy, że coś tu jednak nie gra. Dlatego zdecydowaliśmy się to szeroko i na spokojnie jeszcze przekonsultować.

Jest energia w tym rządzie? Cztery lata nie zmęczyły niektórych?

Mam pewność, że Polskę ambitną i jednocześnie normalną buduje drużyna wciąż głodna sukcesów, mówiąc językiem sportowym. Mamy energię i gęsto zapełniony plan działań. W naszym rządzie nie można nie mieć energii, bo nadgodziny to u nas standard, a nie wyjątek. Każdy z nas ma świadomość celów, każdy z nas podlega też ocenie wyborców i ocenie politycznej. Mamy plan, jak dalej wygrywać.

Jedno w tej kadencji jest już wyraźnie inne – relacje z Unią Europejską. Podziela pan tę opinię?

Atmosfera rzeczywiście się zmienia, jest nowa Komisja Europejska, co zawsze daje szanse na wyczyszczenie animozji personalnych. Już wiedzą, że nie jesteśmy epizodem, efemerydą, że nie jesteśmy słabi. I mam nadzieję, że wiedzą, że oceniając nas na początku tak ostro, ulegli dezinformacji. Jesteśmy bowiem formacją także bardzo demokratyczną, włączającą obywateli do procesu demokratycznego, czego dowodem są ostatnie wybory: największa frekwencja, najmniej głosów nieważnych, każda duża siła reprezentowana w obecnym parlamencie. Do tego wszystkiego silna, trzymająca się lepiej niż kraje Beneluksu, Grupa Wyszehradzka. Ale najlepiej mówić o faktach: przyznanie Polsce teki komisarza ds. rolnictwa, trzeciej lub nawet drugiej co do ważności teki w Unii, to podsumowanie realnego znaczenia Polski w Unii.

To prawda, że jest pan w stałej relacji z szefową Komisji Europejskiej panią Ursulą von der Leyen?

Tak. Mamy regularny kontakt.

W Unii został też Donald Tusk. Jak pan to przyjął? Z jakimi emocjami?

Nie odczuwam żadnych emocji z tym związanych.

Za reelekcję prezydenta Trumpa polscy politycy trzymają kciuki?

Prezydent Trump pokazuje, że w bardzo konkretny sposób potrafi dbać o bezpieczeństwo. Upominanie przez niego partnerów z NATO, że nie wydają 2 proc. PKB na obronność, mocno ich denerwuje, ale jest słuszne, bo to obiecali i służy to bezpieczeństwu Europy. Jego apel, by nie płacić Rosjanom za gaz przesyłany przez Nord Stream, bo to będą pieniądze, które za chwilę wydadzą na zbrojenia, też ma głęboki sens. Nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi są dziś najlepsze w całym ostatnim 30-leciu. I to realnie wzmacnia nasz kraj, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i nasze polskie bezpieczeństwo jutra.

65/0819/F

eprasa.pl 1bb409c74f

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

PONAD 12 MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej

od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#RazemDlaSportu | **#RazemDlaKultury**

PONAD 2 MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury

od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl 1bb409c74f



Sztukmistrz ze Szczecina

Nowe-stare otwarcie. Tomasz Grodzki, obecny marszałek Senatu, jako lider Platformy Obywatelskiej to powrót do Unii Demokratycznej i Unii Wolności z jej etosowo-inteligencką narracją. Ale też zaprzeczenie bezideowego przywództwa Grzegorza Schetyny i polityki ciepłej wody w kranie Donalda Tuska



STANISŁAW JANECKI

Nie jest przypadkiem, że nowym liderem środowiska Platformy Obywatelskiej ma być prof. Tomasz Grodzki, marszałek Senatu. Tak jak nieprzypadkowo kandydatką na premiera tego obozu była Małgorzata Kidawa-Błońska, obecnie liderka opozycji w wyścigu o prezydenckie szlify. A nowym szefem Klubu Parlamentarnego Platformy Obywatelskiej-Koalicji Obywatelskiej został Borys Budka. Nieprzypadkowo także w stan spoczynku przeniósł się twórca i wieloletni przewodniczący tej partii Donald Tusk. O co chodzi? Już wyjaśniam.

Platforma Obywatelska weszła na kurs partii etosowo-inteligenckiej. I przyjęła ten kurs pod kierownictwem Grzegorza Schetyny (jeszcze), który przez większą część swej politycznej aktywności taki model uważał za anachroniczny i nieskuteczny, choć sam uczestniczył w różnych jego mutacjach.

Wrażenie déjà vu, czyli skojarzenie, że skądś to już znamy, nie powinno nikogo zaskakiwać. To przecież nawiązanie do Unii Demokratycznej (istniejącej w latach 1990–1994) oraz Unii Wolności (działającej w latach 1994–2005). A właściwie do pewnej wersji obu tych partii, czyli takiej, gdy największy wpływ na ich kształt mieli Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek i Jacek Kuroń, znacznie mniejszy Donald Tusk, a bardzo mały Grzegorz Schetyna. I nie ma w tej koncepcji miejsca dla Leszka Balcerowicza, wciąż aktywnego przecież przewodniczącego Unii Wolności w latach 1995–2000.

Właśnie dlatego jednym z liderów nowej wersji PO, czyli staro-nowej Unii Demokratycznej, postanowiono uczynić prof. Tomasza Grodzkiego. A on bardzo łatwo się w oczekiwania i wymiary nowego formatu wpisał. Trudno przesądzić, czy Grzegorz Schetyna utrzyma stanowisko przewodniczącego Platformy i pozostanie ojcem tej

eprasa.pl 1bb409c74f

trudnej dla niego (zarówno życiowo, jak i ideowo) ewolucji, czy zostanie w związku z kształtującym się nowym obliczem PO wyrzucony na brzeg. Komentując 19 listopada 2019 r. exposé premiera Mateusza Morawieckiego, Grzegorz Schetyna pokazał wszystkie swoje fobie, wady i zapiekłości, co by raczej przemawiało za wariantem wyrzucenia go z tej koncepcji. Głównie z powodu niedopasowania do staro-nowego kursu etosowo-inteligenckiego PO.

MAZOWIECKI, GEREMEK, KUROŃ

Nowa polityczna gwiazda Platformy Obywatelskiej Tomasz Grodzki to niemal kopia liderów Unii Demokratycznej i Unii Wolności sprzed około 25 lat. Decyzja o jego „wyniesieniu" oraz inne zmiany następujące w Platformie przesuwają ją w stronę etosowo-inteligencką o wyraźnym zabarwieniu lewicowym i ledwo już widocznych pozostałościach liberalnych (w stylu Kongresu Liberalno-Demokratycznego, z którego wywodzą się zarówno Donald Tusk, jak i Grzegorz Schetyna) oraz chadeckich. Gdy w 2001 r. powstawała PO, model politycznego przywództwa reprezentowany przez marszałka Tomasza Grodzkiego byłby przeszkodą, a nie zaletą. Po ćwierćwieczu okazuje się, że jest to zaleta w PO i wśród jej sympatyków oraz medialnych doradców tej partii.

Pierwsze publiczne wystąpienie Tomasza Grodzkiego (tzw. orędzie wygłoszone 14 listopada 2019 r.), poza pastiszowaniem Tadeusza Mazowieckiego, było pełne górnolotnych, inteligenckich deklaracji oraz moralizowania i empatii – tak jakby się słuchało Bronisława Geremka oraz Jacka Kuronia. Ktoś doradzający prof. Grodzkiemu, a wcześniej zapewne uświadamiający to przewodniczącemu Grzegorzowi Schetynie, najwyraźniej uznał, że w polskiej polityce wróciły czasy, gdy można działać i ewentualnie zwyciężać, będąc zmodyfikowaną wersją poetyki trzech panów sprzed lat. Trudno jeszcze powiedzieć, czy zastosowany w przypadku Tomasza Grodzkiego model uprawiania polityki ma szanse powodzenia w Polsce, ale może mieć spore szanse w PO i po stronie opozycji – jako przeciwieństwo technokratycznego i wypranego z idei przywództwa Grzegorza Schetyny.

W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" (15 listopada 2019 r.) prof. Tomasz Grodzki mówił o poświęceniu („To jest dla mnie poświęcenie, nie ma co udawać") i misji: „Cel, który sobie stawiamy tu, w Senacie, jest wielki. W orędziu telewizyjnym mówiłem, że musimy zacząć zasypywać rowy nienawiści, które nas podzieliły. Senat jak mało które ciało opisane w konstytucji jest do tego predysponowany. Bo Senat, według powiedzenia Frycza Modrzewskiego, jest tym, który „inne władze do szlachetnych uczynków pobudza, od niecnych odwodzi, a emocje studzi". Nowy marszałek Senatu ma być głosicielem dobrej nowiny (skojarzenia biblijne nie są przypadkowe), zwiastunem nowego początku i nowego porządku. Oraz nowej energii i entuzjazmu, jakiego w PO nie było od lat: „Widzę gigantyczny entuzjazm związany z naszym zwycięstwem w izbie wyższej. […] Mam w telefonie 7 tys. nieodebranych SMS-ów, a na 2 tys. już odpowiedziałem. […] Choć nie jesteśmy ani prezydentem, ani rządem czy Sejmem, tylko Senatem, to ludzie mówili o punkcie zwrotnym, że rządzący przeszli apogeum". Entuzjazm opozycyjnej elity ma zarazić polską ulicę: „Jak teraz wchodzę gdzieś na mieście do sklepu – bo staram się prowadzić normalne życie – to ludzie mnie witają – a przecież jeszcze nic nie zrobiliśmy – jak nadzieję na inną Polskę. Dlatego w pierwszym telewizyjnym orędziu mówiłem o odysei w poszukiwaniu szczęścia i spełnionych marzeń".

Nowy marszałek Senatu ma być głosicielem dobrej nowiny (skojarzenia biblijne nie są przypadkowe), zwiastunem nowego początku i nowego porządku. Oraz nowej energii i entuzjazmu, jakiego w PO nie było od lat

W takim stylu nigdy nie wypowiadał się Grzegorz Schetyna, nie był też on bliski Donaldowi Tuskowi. Ale był bardzo typowy dla Jacka Kuronia – społecznego „wrażliwca" Unii Demokratycznej i Unii Wolności. Nieprzypadkowo Tomasz Grodzki mówi: „Możemy pokazać, jaka może być polityka, że to może być polityka wartości, uczciwa, przejrzysta. […] Po to przyszliśmy do Senatu, dlatego zgodziłem się zostać marszałkiem, żeby pokazać, że Senat może być przylądkiem nowej nadziei".

NOWY DOKTOR JUDYM

Prof. Tomasz Grodzki nie tylko ma być politykiem inteligenckim, lecz także ma nawiązywać do etosu lekarza inteligenta ze specjalną misją społeczną. To odwołanie do ważnej postaci UD i UW, wicemarszałek Senatu I i III kadencji, prof. nauk medycznych Zofii Kuratowskiej. W jej przypadku tych elementów nie udało się w pełni wykorzystać, gdyż najważniejsze polityczne role w obu partiach przypadły inteligentom historykom lub ekonomistom, a nie lekarzom. Obecnie w PO (mimo że historykiem jest Grzegorz Schetyna) nie ma takich znaczących postaci, więc etos lekarza inteligenta z misją może być mocno eksploatowany. Z odniesieniami do zafiksowanego społecznie doktora Tomasza Judyma z powieści Stefana Żeromskiego „Ludzie bezdomni", ale bez jego radykalizmu. Tym bardziej że w ostatnich latach mit etosowego lekarza inteligenta został utrwalony w polskiej kulturze popularnej, szczególnie w telewizyjnych serialach.

W wypadku Tomasza Grodzkiego mamy połączenie wrażliwego społecznie profesora, oddanego lekarza i osoby o wysokim społecznym prestiżu, jednakowoż funkcjonującego także w roli celebryty. Nie dziwią takie „celebryckie" czy też „filmowe" wzloty profesora, jak słowa, że „zadaniem ordynatora jest

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1bb409c74f

honor, zaszczyt i obowiązek operować najtrudniejsze, najbardziej zagrożone powikłaniami przypadki". Tym bardziej że operowanie to „moja pasja, moje życie". W kwestiach misji lekarza inteligenta, a jednocześnie polityka prof. Grodzki nawiązuje całkiem świadomie do lubianego niezależnie od politycznych opcji, choć był ministrem w rządzie PiS, prof. Zbigniewa Religi, który miał mówić swojemu uczniowi: „Jak tak operujesz jednego po drugim, raz za razem, to uratujesz w trakcie kariery może parę tysięcy osób, a jak podejmiesz mądre decyzje jako polityk, np. w dziedzinie zdrowia, to jedną decyzją możesz uratować dziesiątki tysięcy osób". Skoro Tomasza Grodzkiego „ojczyzna wykształciła, dała osiągnąć pozycję, jak wykształcił uczniów, to może jest moment, żeby coś dać od siebie? Trzeba mieć ważny cel i być zdolnym do poświęcenia". Tym poświęceniem jest nie tylko kierowanie Senatem, lecz również odrodzenie PO i odzyskanie przez nią władzy, choć będzie to już zupełnie inna partia, znacznie bliższa UD i UW Mazowieckiego, Geremka, Kuronia i Kuratowskiej niż Platformie Tuska i Schetyny.

Dla przeciętnych ludzi przekaz prof. Tomasza Grodzkiego wydaje się zbyt inteligencki, a dla inteligentów trochę pretensjonalny. Ale w zamyśle taka koncepcja funkcjonowania w polityce, w roli lidera największej formacji opozycyjnej, ma imponować, nawiązując do tradycyjnego inteligenckiego posłannictwa, w którym jest i pewna wyniosłość, i misja, i liczenie na podziw oraz występowanie w roli autorytetu. Wiele wskazuje na to, że Tomasz Grodzki nie jest przypadkową postacią, lecz został wybrany właśnie ze względu na te cechy, które odnoszą się do zmodyfikowanej wersji lidera Unii Demokratycznej i Unii Wolności.

Tomasz Grodzki wydaje się długofalową inwestycją, dlatego trzeba się liczyć z tym, że zajmie się nim sztab doradców, kreatorów wizerunku i ludzi od PR. Po to, by wykreować kogoś, kto byłby połączeniem Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka, Jacka Kuronia i Zofii Kuratowskiej.

PO DRUGIEJ STRONIE LUSTRA

Dlaczego powrót do UD i UW w 2019 r. miałby być skutecznym planem na odzyskanie władzy? Unia Demokratyczna straciła witalność po zaledwie czterech latach funkcjonowania, Unia Wolności zaś nigdy nie stała się partią masową, zdolną kiedykolwiek samodzielnie rządzić. Obie były dla przeciętnych wyborców zbyt wyniosłe i przemądrzałe, zbytnio nastawione na wielkomiejską inteligencję, i to nawet tylko na jej część. Ale Platforma Obywatelska też doszła do ściany politycznej skuteczności. I nie wie, gdzie może pozyskać kolejnych wyborców. Wyrazem tego jest desperackie otwieranie się na lewo i wchłonięcie Nowoczesnej, Inicjatywy Polska czy Zielonych. Tyle że to niewiele poprawiło stan posiadania, a wzmocnienie i zjednoczenie lewicy czyni dalsze przesuwanie się w tym kierunku bezproduktywnym. Jedyną nadzieją wydają się w tej sytuacji wielkie miasta i szeroko rozumiana inteligencja. A w wielkich miastach inteligencja jest w większości liberalna i lewicowa. Ta starsza, zawiedziona przemądrzałością, besserwisserstwem, wyniosłością oraz pewną pychą liderów UD i UW (z wyjątkiem Jacka Kuronia), może nie być pozytywnie nastawiona do ewolucji PO w nową wersję tamtych partii, ale może ją uznać za mniejsze zło. Młodsi nie pamiętają, czym były UD i UW, jak zachowywali się ich liderzy, więc ta nowa wersja może być dla nich atrakcyjna. Tym bardziej jeśli będą ją utożsamiali z takimi postaciami jak profesor nauk medycznych Tomasz Grodzki. On sam raczej przesadza ze skalą entuzjazmu i wiary w lepszą polityczną koniunkturę opozycji, ale nie jest to całkiem oderwane od rzeczywistości.

> Tomasz Grodzki wydaje się długofalową inwestycją. Zapewne zajmie się nim teraz sztab doradców, kreatorów wizerunku i ludzi od PR. Po to, by wykreować kogoś, kto byłby połączeniem Tadeusza Mazowieckiego, Bronisława Geremka, Jacka Kuronia i Zofii Kuratowskiej

Problemem PO (KO) jest to, czy bycie przede wszystkim etosową partią inteligencką da większe poparcie niż eklektyczny, nie wiadomo jaki byt w postaci obecnej Koalicji Obywatelskiej. Gwarancji na to nie ma żadnych, ale oddolny nacisk w KO, a przede wszystkim w PO, sprawia, że ta formacja musi ewoluować. I tak się składa, że nowymi jej liderami stają się Tomasz Grodzki, Małgorzata Kidawa-Błońska i Borys Budka, którzy bardzo łatwo są w stanie wpisać się w partię będącą nową wersją Unii Demokratycznej i Unii Wolności. A wielu buntowników w PO przeciw Schetynie, w tym tzw. frakcja młodych czy frakcja wściekłych, też poprze ewolucję w takim kierunku. Choćby dlatego, że nic innego nie ma na horyzoncie.

Wiele też zależy od wykreowania prof. Tomasza Grodzkiego na powszechnie rozpoznawalnego i szeroko akceptowanego lidera tej przemiany PO w staro-nową wersję UD i UW. Zrobienie z Senatu twierdzy opozycji może w tym pomóc, gdyż marszałek tej izby jest jednak przedstawicielem władzy, co daje mu większe możliwości niż nawet najbardziej eksponowane stanowisko po stronie opozycji. Z tych wszystkich powodów rządzące PiS nie powinno lekceważyć Tomasza Grodzkiego i ewolucji PO w stronę UD i UW, gdyż oba te projekty mogą być bardzo użyteczne dla tych wszystkich grup interesów i wpływów, które zawodzi PO od czasu odejścia Donalda Tuska. Dlatego mogą dużo zainwestować w profesora ze Szczecina oraz pomóc w stworzeniu współczesnej wersji Unii Demokratycznej i Unii Wolności.

70/0919/F

eprasa.pl 1bb409c74f

POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna







Tworzymy Kolej Przyszłości

eprasa.pl 1bb4



Myśliwiec 5. generacji F-35A Lightning II

Fot. Shutterstock

Armia na gorsze czasy

Przyjęty w tym roku plan modernizacji technicznej wojska zakłada, że w ciągu najbliższych 15 lat trzeba będzie wydać 524 mld zł na nowe uzbrojenie. W przeciwnym razie armia utraci zdolności bojowe. Alternatywą jest zaoszczędzenie tych pieniędzy na inne ważne cele, ale to zwykle krótkoterminowy zysk: państwo, które jest niezdolne do obrony własnych interesów, może być kiedyś zmuszone do tego, aby realizować cudze



KONRAD KOŁODZIEJSKI

28 listopada zostanie podniesiona bandera na ORP „Ślązak" – najnowszym okręcie Marynarki Wojennej RP. „Ślązak" to – według słów prezesa PGZ Stoczni Wojenna Konrada Konefała – „największa i najbardziej skomplikowana technologicznie broń, jaka kiedykolwiek została wyprodukowana przez krajowy przemysł zbrojeniowy". Niewiele jednak brakowało, aby ta „najbardziej skomplikowana technologicznie broń" została pocięta palnikiem i trafiła na złomowisko.

Przez całe lata polski przemysł zbrojeniowy balansował bowiem na krawędzi upadku, a wydatki na obronność były dalekie od tych, które mogły zapewnić bezpieczeństwo państwu. Dlatego podniesienie bandery na „Ślązaku" można z pewną dozą ostrożności potraktować jako znak, że wreszcie coś drgnęło i rzeczy uznawane dotąd za niewykonalne dziś już takie nie są.

PERYPETIE „ŚLĄZAKA"

Mówienie o „Ślązaku" jako „najnowszym okręcie" wydaje się zresztą niezbyt trafne. Jego budowę – jeszcze jako korwety „Gawron" – rozpoczęto bowiem w 2001 r. Ówczesny rząd Leszka Millera zakładał, że w ciągu następnych lat powstanie aż siedem nowoczesnych jednostek tego typu. Jednak rzeczywistość brutalnie zweryfikowała te plany.

Trudności technologiczne (okręt powstawał na bazie niemieckiego projektu) oraz brak odpowiedniego finansowania sprawiły, że już w 2002 r. zrezygnowano z budowy serii okrętów, pozostając jedynie przy prototypowym „Gawronie". Ale nawet przy tak drastycznych ograniczeniach dalsze prace prowadzone były ślamazarnie. W 2006 r., w trakcie pierwszych rządów PiS, nastąpiło krótkotrwałe przyspieszenie, zamówiono m.in. silniki, agregaty prądotwórcze i urządzenia sterowe. Jednak w 2009 r. – już po rozstrzygnięciu przetargu na system uzbrojenia dla okrętu – ówczesny

cprasa.pl 1bb409c741

minister obrony Bogdan Klich (PO) podjął decyzję o obcięciu środków na „Gawrona". W rezultacie tego posunięcia dalsze prace nad okrętem, które pochłonęły już wiele milionów euro, niemal stanęły w miejscu, a budująca go gdyńska Stocznia Marynarki Wojennej wpadła w poważne tarapaty finansowe.

Ostatecznie w 2012 r. rząd Donalda Tuska – w ramach „racjonalizacji" wydatków – zdecydował o zamknięciu projektu „Gawrona" oraz o złomowaniu lub sprzedaży nieukończonego okrętu. Wizerunkowo wyglądało to fatalnie. Państwo polskie, które dokładnie w tym samym czasie organizowało Euro 2012, oddawało do użytku stadiony i autostrady, nie było w stanie poradzić sobie z budową jednego okrętu wojennego. Dlatego też szybko cofnięto poprzednią decyzję i postanowiono, że na podstawie nieukończonego „Gawrona" powstanie dużo słabiej wyposażony okręt patrolowy „Ślązak". Bez większości wyposażenia i uzbrojenia został w końcu zwodowany w 2015 r., ale nie uratowało to Stoczni Marynarki Wojennej przed upadkiem. Ratunkiem stała się dopiero decyzja o przejęciu majątku upadłej stoczni przez Polską Grupę Zbrojeniową w 2017 r. i o kontynuacji prac nad wyposażeniem okrętu. W rezultacie „Ślązak" mógł rok później rozpocząć próby na morzu, a jego załoga przejść pierwsze szkolenia.

I tak, dokładnie po 18 latach od położenia stępki, ORP „Ślązak" trafił wreszcie na uzbrojenie Marynarki Wojennej RP, pomimo że mało kto już wierzył, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Zakłada się, że w 2021 r. okręt osiągnie pełną gotowość bojową do działania na Bałtyku oraz innych morzach. I choć „Ślązak" daleki jest od pierwotnego ambitnego projektu korwety „Gawron", to sam fakt zbudowania w kraju okrętu wojennego o dość skomplikowanych parametrach może świadczyć o sporym potencjale tkwiącym w polskim przemyśle zbrojeniowym. Pod warunkiem oczywiście że nowe projekty będą odpowiednio finansowane i zarządzane. Bo chyba w tym tkwił największy problem.

SYTUACJA SIĘ KOMPLIKUJE

Potrzeby polskiej armii po ćwierćwieczu zapóźnień są ogromne. Ich przyczyną były zazwyczaj zbyt małe pieniądze przeznaczane na obronność oraz brak konsekwentnej polityki modernizacyjnej. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby poszczególne rodzaje wojsk, rywalizując między sobą o skromne środki, wzajemnie podkładały sobie nogę. W rezultacie wiele ambitnych planów nigdy nie zostało zrealizowanych.

> O ile dwadzieścia kilka lat temu można było sobie fantazjować o „końcu historii", o tyle dziś jasne jest, że zagrożenia są całkiem realne

Tymczasem sytuacja wokół Polski uległa w ostatnich latach pogorszeniu. O ile dwadzieścia kilka lat temu można było sobie fantazjować o „końcu historii", o tyle dziś jasne jest, że zagrożenia są całkiem realne. NATO nie jest dziś spójnym sojuszem wojskowym, część państw położonych na wschodniej flance (w tym Polska) jest bezpośrednio narażona na możliwe działania ze strony Rosji, podczas gdy południowi członkowie Sojuszu upatrują głównego niebezpieczeństwa w niekontrolowanej imigracji z Afryki i Bliskiego Wschodu. Jeśli na to nałożyć jeszcze antagonizmy pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Niemcami i Francją, to mamy wyraźny obraz kryzysu. W tym czasie potencjalni przeciwnicy NATO, tacy jak Rosja, nie próżnowali i wykorzystali sprzyjającą koniunkturę do rozbudowy i modernizacji własnych sił zbrojnych.

W Polsce od dawna zdawano sobie sprawę z tego zagrożenia. Jednak imposybilizm państwa pod rządami koalicji PO-PSL sprawił, że główną strategią stało się wówczas postulowane przez



ORP „Ślązak"

Fot. Wojciech Strozyk/REPORTER

cpress.pl 1304096741

Radosława Sikorskiego „więcej Niemiec w Europie", czyli przekonanie, że najlepszą gwarancją bezpieczeństwa dla Polski będzie dobrowolne podporządkowanie się najsilniejszemu państwu w Unii Europejskiej.

Z tą strategią zerwano po zwycięstwie PiS w 2015 r., gdy celem nowego rządu stało się poszerzenie zakresu podmiotowości państwa zarówno w polityce wewnętrznej, jak i zagranicznej. Koniecznym elementem odbudowy podmiotowości państwa było przywrócenie jego zdolności obronnych. Oczywiście ważną rolę odgrywało i nadal odgrywa członkostwo Polski w NATO, ale w obliczu narastających konfliktów politycznych między sojusznikami niezbędne stało się zwiększenie własnego potencjału obronnego.

NOWA STRATEGIA

Każda armia budowana jest pod kątem walki z konkretnie zdefiniowanym zagrożeniem. W przypadku Polski za takie uznano możliwe agresywne działania ze strony Rosji. Dlatego też struktura armii i jej uzbrojenie powinno przede wszystkim służyć odparciu potencjalnego ataku ze wschodu. Odrzucono więc wcześniejszą koncepcję armii ekspedycyjnej służącej wspieraniu misji NATO w różnych zakątkach świata (jej pokłosiem była rozbudowa lotnictwa transportowego oraz duże zakupy transporterów kołowych) i powrócono do tradycyjnej idei armii jako obrońcy własnego terytorium.

Jedną z pierwszych decyzji podjętych w tym duchu było powołanie Wojsk Obrony Terytorialnej (WOT) pełniących podczas wojny funkcję dywersyjno-sabotażową na tyłach wroga. Powstanie WOT, histerycznie krytykowane przez antypisowską opozycję, zostało bardzo dobrze przyjęte przez zagranicznych analityków, którzy doskonale rozumieją wartość bojową takiej formacji. Potencjalny agresor musi bowiem prowadzić walkę nie tylko z jednostkami regularnej armii, lecz również z działającymi na jego zapleczu dobrze znającymi teren lokalnymi oddziałami, co powiększa jego straty i wyhamowuje impet ofensywy.

Główne programy modernizacji armii

„Harpia" – zakup 32 samolotów wielozadaniowych piątej generacji.
„Harpi Szpon" – lojalny skrzydłowy, drony bojowe współdziałające z samolotem piątej generacji.
„Drop" – nowe samoloty transportowe.
„Płomykówka" – samoloty rozpoznawcze.
„Kruk" – śmigłowce uderzeniowe dla Wojsk Lądowych.
„Gryf" – drony średniego zasięgu.
„Ważka" – rozpoznawcze drony klasy mikro przeznaczone do działania w terenie zurbanizowanym.
„Wisła" – system obrony powietrznej, w tym przeciwrakietowej, średniego zasięgu.
„Narew" – system obrony powietrznej krótkiego zasięgu.
„Poprad" – samobieżny rakietowy zestaw przeciwlotniczy bardzo krótkiego zasięgu.
„Homar" – artyleria rakietowa o zasięgu do 300 km.
„Pustelnik" – lekkie wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych.
„Orka" – okręty podwodne wyposażone w wyrzutnie pocisków manewrujących.
„Miecznik" – okręty obrony wybrzeża.
„Wilk" – czołgi nowej generacji.
„Regina" – dywizjonowe moduły ogniowe na bazie samobieżnych haubic Krab.
„Rak" – kampanijne moduły ogniowe na bazie polskich samobieżnych moździerzy Rak.
„Borsuk" – bojowe wozy piechoty opracowywane przez polski przemysł.
„Mustang" – pojazdy ciężarowo-osobowe.
„Cyber.mil.pl" – sprzęt kryptograficzny i informatyczny dla wojsk obrony cyberprzestrzeni.

Inną ważną konsekwencją nowej polityki było wzmocnienie naszych zdolności obronnych na przedpolu Warszawy i wzdłuż całej wschodniej granicy, co jest głównym zadaniem sformowanej w zeszłym roku 18 Dywizji Zmechanizowanej w Siedlcach. Naprawiono w ten sposób poważny błąd popełniony w 2011 r. przez ówczesną ekipę PO-PSL, która podjęła mocno kontrowersyjną decyzję o rozwiązaniu 1 Dywizji Zmechanizowanej w podwarszawskim Legionowie. Wzmocniona ma być również 16 Dywizja Zmechanizowana w Białobrzegach. Z kolei na tzw. przesmyku suwalskim, będącym newralgicznym punktem tuż przy granicy z Litwą, ma operować nowy pułk artylerii przeciwpancernej.

Podjęto wreszcie starania o zwiększenie liczebności sił NATO, w tym zwłaszcza amerykańskich, na terytorium Polski. Zgodnie ze wspólną deklaracją prezydentów Polski i USA z czerwca 2019 r. w Polsce powstanie sześć stałych baz, w których rotacyjnie będą stacjonować Amerykanie. Oczywiście ich obecność nie zmienia bilansu sił w naszym regionie, ale ma znaczenie polityczne – potencjalny agresor musi się bowiem liczyć z tym, że w przypadku ataku na Polskę może dojść do konfliktu globalnego ze Stanami Zjednoczonymi.

NADRABIANIE ZALEGŁOŚCI

Podjęte działania, aczkolwiek ważne, nie wystarczą, jeśli wojsko nie będzie dysponować odpowiednim uzbrojeniem. Tymczasem z powodu wieloletnich zaległości, błędnych strategii i marnotrawstwa środków duża część broni, jaką dysponuje dziś polska armia, nadaje się pilnie do wymiany. Potrzeby mają wszystkie rodzaje wojsk: lotnictwo, marynarka wojenna i wojska lądowe.

Przyjęty w tym roku wieloletni plan modernizacji technicznej armii zakłada, że w ciągu najbliższych 15 lat trzeba będzie wydać 524 mld zł na nowe uzbrojenie. W przeciwnym razie wojsko utraci swoje zdolności bojowe.

Plan opiera się na przyjętej przez Sejm ustawie zakładającej stopniowy wzrost wydatków na obronę od 2,1 proc.

eprasa.pl 1bb409c74f

PKB w roku 2020 do 2,5 proc. w roku 2030. Oczywiście jego wykonanie zależy od wielu niewiadomych, przede wszystkim od przyszłej sytuacji gospodarczej i politycznej. Jednak bez planu nie da się ustalić priorytetów ani podpisać żadnej umowy. A trzeba pamiętać, że od chwili wyboru i zakupu uzbrojenia do jego dostarczenia i osiągnięcia stanu gotowości bojowej musi minąć wiele lat. Wbrew pozorom czasu nie jest więc aż tak dużo.

To z tego powodu nie wszystkie programy modernizacyjne mogą się opierać na rodzimej produkcji lub transferze technologii. W niektórych przypadkach konieczny jest szybki import gotowej broni. W ten sposób udało się już pozyskać pierwsze zestawy przeciwrakietowe Patriot oraz system artylerii rakietowej HIMARS (program „Homar").

Jednocześnie jednak tam, gdzie jest to możliwe, do produkcji broni angażowany jest krajowy przemysł zbrojeniowy. Dotyczy to np. programu budowy gąsienicowego wozu piechoty Borsuk, samobieżnych haubic Krab czy samobieżnych moździerzy Rak.

WIELKIE ZAKUPY

Szczególny nacisk w planie modernizacji położono na lotnictwo i obronę przeciwlotniczą. Wynika to z faktu, że panowanie w powietrzu ma kluczowe znaczenie dla obrony państwa. Z tego powodu sztandarowym punktem planu jest program „Harpia" zakładający pozyskanie dwóch eskadr samolotów wielozadaniowych piątej generacji F-35 (łącznie 32 maszyny). Pierwsze z nich mają się znaleźć na uzbrojeniu polskiego lotnictwa za pięć lat. Dodatkowo zamierzamy zakupić kolejną partię użytkowanych już w Polsce samolotów F-16, co pozwoli na całkowite wycofanie sprzętu poradzieckiego. Nowością jest program „Harpi Szpon", czyli koncepcja zakupu bojowych dronów pełniących funkcję tzw. lojalnego skrzydłowego dla samolotów F-35. Takie drony – budowane w technologii stealth (niewykrywalnej dla radarów) – towarzyszą maszynom bojowym podczas akcji: ochraniają je, wspólnie z nimi podejmują walkę z myśliwcami wroga i dokonują ataków na najbardziej chronione cele. Niewykluczone, że Polska wejdzie do amerykańskiego programu produkcji dronów, nabywając tym samym nowe kompetencje technologiczne oraz pierwszeństwo ich zakupu.

> Potrzeby polskiej armii po ćwierćwieczu zapóźnień są ogromne. Ich przyczyną były zazwyczaj zbyt małe pieniądze przeznaczane na obronność oraz brak konsekwentnej polityki modernizacyjnej

Plan zakłada także rozwój programów obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej o kryptonimach „Wisła" i „Narew". W ramach programu „Wisła" zakupiono już pierwsze zestawy systemu Patriot, co jest szczególnie ważne wobec rozmieszczenia rakiet nowej generacji na terenie obwodu kaliningradzkiego. Realizowany jest również wspomniany już program artylerii rakietowej „Homar", w ramach którego Polska pozyskała niedawno pierwszy dywizjon amerykańskiego systemu HIMARS.

Zakup samolotów bojowych najnowszej generacji oraz systemów przeciwrakietowych jest jednak bardzo dużym obciążeniem dla budżetu. Oznacza to, że w niektórych przypadkach konieczne będzie prowizoryczne nadrabianie wieloletnich zapóźnień. Dotyczy to m.in. programu „Orka" zakładającego pozyskanie nowoczesnych łodzi podwodnych zdolnych do wystrzeliwania pocisków manewrujących. Posiadanie takich okrętów daje bardzo szerokie możliwości obronne, mogą one bowiem dokonywać ataków odwetowych, znajdując się poza zasięgiem przeciwnika.

Plan modernizacji zakłada, że tego rodzaju okręty zostaną zakupione dopiero w późniejszym czasie, gdy będą na to środki, a na razie ich miejsce mają zająć używane łodzie podwodne. W rachubę wchodzi zakup od Brazylii okrętów niemieckich lub – co eksperci uważają za lepsze rozwiązanie – stosunkowo nowych, kilkunastoletnich okrętów szwedzkich, które wystawił na sprzedaż Singapur.

Podobnie jest z bronią pancerną (program „Wilk"), gdzie do czasu pozyskania czołgu nowej generacji trzeba będzie zadowolić się modernizowanymi w krajowych zakładach zbrojeniowych starymi T-72. Jest to konieczne, ponieważ Rosja w odróżnieniu od NATO nigdy nie zarzuciła koncepcji zmasowanej wojny lądowej i ma dziś znaczącą przewagę nad sojuszem w broni pancernej. Za pewną próbę częściowego zneutralizowania tej przewagi można uznać program „Kruk" przewidujący zakup nowoczesnych śmigłowców przeciwpancernych.

Poza zakupami uzbrojenia plan modernizacji zakłada również wzmocnienie polskich zdolności obronnych w cyberprzestrzeni oraz usprawnienie i uszczelnienie systemów łączności. W obliczu zagrożenia wojną hybrydową zaplanowano m.in. kupno za 3 mld zł nowoczesnego sprzętu kryptograficznego i informatycznego dla wojsk obrony cyberprzestrzeni.

Łącznie do 2035 r. mamy wydać na uzbrojenie astronomiczną kwotę ok. 133 mld dol., co pokazuje, jak wielkie są zaległości, które trzeba dziś nadrobić. Przedstawiony plan modernizacji wydaje się bardzo kosztowny i ambitny, jednak – jak zwracają uwagę eksperci MON – jest to w rzeczywistości plan minimum, niezbędny do zachowania w przyszłości przez armię pełnych zdolności bojowych w obliczu potencjalnego zagrożenia ze wschodu.

Oczywiście alternatywą jest zaoszczędzenie tych pieniędzy na inne ważne cele, ale to zwykle krótkoterminowy zysk: państwo, które jest niezdolne do obrony własnych interesów, może być kiedyś zmuszone do tego, aby realizować cudze. Warto mieć tego świadomość.

eprasa.pl 1bb409c74f



Ataki na Beatę Szydło przypominają najgorsze operacje dezinformacyjne z lat 90., kiedy za pomocą szafy Lesiaka i manipulacji medialnych niszczyło się polityków. Nieprzypadkowo to była premier została celem atakόw. Totalne kłamstwa wchodzą do polskich mediów z prawdziwie sowiecką tradycją

Efekt Kuleszowa na Beacie Szydło



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

16 listopada stacja TVN emituje kolejny odcinek „Superwizjera", tym razem poświęcony trójmiejskiej grupie przestępczej Olgierda L., zajmującego się stręczycielstwem, organizującego domy publiczne, wymuszenia, haracze, pobicia. Byłoby to dziennikarstwo śledcze wysokiej próby, gdyby nie prawdziwy cel materiału – zasugerować, że Beata Szydło i jej otoczenie mają kontakty z gdańską mafią o neonazistowskim profilu. Czy może być coś bardziej druzgocącego dla wizerunku polityka niż współpraca z niebezpiecznymi przestępcami, których gangi wielbią Adolfa Hitlera? A przecież to nie pierwszy w ostatnich tygodniach atak na byłą premier. W mediach przypadki się nie zdarzają.

EFEKT KULESZOWA

Aby rozpoznać intencje twórców materiału, wypada znać szkołę manipulacji Lwa Kuleszowa (1899–1971), sowieckiego reżysera, na którego metodach opierała się cała filmowa propaganda komunistyczna. Sto lat temu Kuleszow przeprowadził kinowy eksperyment, w którym zmontował dwie niezależne od siebie scenki. Na jednej z nich widać mężczyznę z miną o niejasnych emocjach (smutek?, złość?, strach?), a na drugiej reżyser pokazywał kompletnie niezwiązane z tym człowiekiem obrazy. Widzowie byli poddani manipulacji – gdy po zobaczeniu twarzy następowała scenka ze świeżym posiłkiem, wszyscy byli przekonani, że mężczyzna jest nieszczęśliwy i głodny, gdy zamiast jedzenia widzieli nóż – myśleli, że to morderca, a gdy trumnę z dziewczyną – że to pogrążony w żałobie ojciec. Słowem: wystarczy do jednej opowieści dokleić kompletnie niezwiązaną z historią osobę i efekt jest druzgocący – w naszym mózgu pojawia się silne odczucie co do pokazanej postaci. W tym wypadku Beata Szydło wygląda na współpracownika handlarzy kobietami i brutalnego recydywisty, a całe rządy PiS – na panowanie mafii.

POD OSTRZAŁEM

Kiedy we wrześniu br. kampania wyborcza Zjednoczonej Prawicy straciła na dynamice, w spotkania z wyborcami włączyła się była premier. Beata Szydło to wyjątkowy polityk nie tylko w skali ostatniego pięciolecia, lecz w historii całej III RP. Wypracowała sobie ciepły wizerunek matki Polki, która poprzez rewolucyjny program 500+ objęła opieką wszystkie rodziny w Polsce. Potrafiła być też twarda i stanowcza, jak w przypadku wyboru przewodniczącego Rady Europejskiej i ogromnej presji ze strony Niemiec oraz Brukseli, a także niewzruszona na medialne prowokacje. Kapłaństwo jej syna Tymoteusza doprowadziło do wściekłości liberalne media, dla których model szczęśliwej katolickiej rodziny o patriotycznych wartościach jest zawsze rodzajem patologii, a w wypadku byłej premier wywoływał same pozytywne skojarzenia. I pod koniec

Fot. East/News/ Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl 1bb409c74f

października przemysł pogardy ruszył z nowym impetem.

ZAGŁUSZYĆ OKLASKI

Każdy, kto był na publicznym spotkaniu z Beatą Szydło, wie dwie rzeczy. Po pierwsze, raczej nie ma w Polsce polityka, który budziłby większą sympatię i entuzjazm – zawsze towarzyszy jej burza oklasków, okrzyków „Be-a-ta" i życzliwych uśmiechów. Po drugie, Szydło lubi się wmieszać w tłum i rozmawiać z ludźmi. Ta bliskość wobec otoczenia nie może być przedmiotem studiów Służby Ochrony Państwa, bo wokół premier przebywają setki i tysiące ludzi.

To pierwsze dla opozycji jest wielkim problemem, to drugie – okazją do pomówień. Zwłaszcza że tygodnik „Sieci" już podał w wątpliwość materiał Bertolda Kittela, słynne „Urodziny Hitlera", które uderzały w wizerunek całej Polski jako kraju o tendencjach nazistowskich. Kittel nie odpowiedział na zapytania naszego redakcyjnego kolegi Wojciecha Biedronia, a w świecie dziennikarskim jest to autor, który ma już na koncie materiały zakwestionowane przez sąd. W 2001 r. Bertold Kittel i Anna Marszałek oskarżyli ministra obrony narodowej Romualda Szeremietiewa o korupcję. Prawicowy polityk oczyścił się z oszczerstw przed sądem w 2008 r., ale jego kariera polityczna została złamana. Zanim więc uda się ustalić prawdę wokół manipulacji o Beacie Szydło, może być za późno – trucizna dezinformacyjna już się rozejdzie po społecznym organizmie.

ATAK NA SYNA, ATAK NA PATRIOTYZM

Pod koniec października w brukowcach gruchnęła wieść o urlopie ks. Tymoteusza Szydły. W internecie rozprzestrzeniała się wersja o kłopotach w życiu prywatnym młodego duchownego. Najlepsze cechy byłej premier były przedstawiane z pogardą i drwiną. Skoro nie żyła na salonach ani w celebryckich studiach, przypięto jej wizerunek „kobity ze wsi". Jeśli oddała tekę szefa rządu Mateuszowi Morawieckiemu bez rozżalenia i rozłamów partyjnych, to media łgały, że została upokorzona, jej lojalność wobec własnego zespołu oraz Zjednoczonej Prawicy zostały przedstawione jako polityczna niesamodzielność – a mimo to Beata Szydło uzyskała w eurowyborach rekordowe ponad pół miliona głosów.

W materiale „Superwizjera" teoretycznie chodzi o gangstera Olgierda L., o jego nazistowskie poglądy, przestępstwa i o to, że maskuje się rzekomym patriotyzmem oraz aktywnością społeczną. Samo zjawisko jest oburzające i wymaga interwencji służb, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że recydywista nie był celem, lecz jedynie narzędziem do walki z prawicą. Gdy Olgierd L. odwiedził Muzeum II Wojny Światowej, „Superwizjer" połączył to z dyrektorem Karolem Nawrockim – solą w oku władzy samorządowej w Gdańsku. Czy dyrektor muzeum ma znać osobiście wszystkich gości odwiedzających jego placówkę? Absurd, ale Kuleszow by tak zrobił. Gdy ludzie Olgierda L. uczestniczyli w rajdzie motocyklowym, media zaatakowały duszpasterza tego wydarzenia – ks. Jarosława Wąsowicza. A gdy gangsterzy pojechali na miejsce powodzi w Rytlu w 2017 r., manipulatorzy wykorzystali zdjęcia obecnej tam premier Szydło, by powiązać ich ze sobą. Jednak chyba nawet sowiecki propagandysta Lew Kuleszow nie oczerniłby tylu spraw w jednym materiale – konserwatywna polityk, patriotyzm, żołnierze wyklęci, ruch kibicowski, a w dodatku służby RP, które miały rzekomo do tego dopuścić – wszystko powiązane z mafią, i to w jednym materiale. Mówienie o Goebbelsie to mało.

> W świecie telewizyjnej oraz internetowej propagandy każdego można wplątać w powiązania z mafią, służbami, terrorystami

BEZPIECZEŃSTWO PREMIER SZYDŁO

W dyskusji TVN na temat materiału „Superwizjera" wypowiadał się m.in. Andrzej Mroczek, ekspert ds. terroru kryminalnego Collegium Civitas. Wyrażał on swoją troskę o bezpieczeństwo najważniejszych osób w państwie, ale nie prostował sugestii bez pokrycia – że Olgierd L. może niby swobodnie wchodzić do Sejmu (nic w materiale tego nie potwierdza), że gangsterzy mają „dojście do osób sprawujących władzę" – kiedy to „dojście" to po prostu posiłek wolontariuszy pomagających przy opanowywaniu skutków powodzi.

To ciekawe, że cały materiał de facto jest spektakularną reklamą gangsterów – jeśli Olgierd L. może się teraz pochwalić nieprawdopodobnymi relacjami z władzą, to jego pozycja w półświatku wzrośnie czy zmaleje? Jeśli pokazano jego skuteczność i okrucieństwo, to teraz jego ofiary nabiorą odwagi czy będą bardziej posłuszne gangsterom? Brawa dla liberalnych mediów wspierających mafię!

Sprawdzenie każdej informacji w materiałach Bernarda Kittela zajmie sporo czasu. Mieszanka faktów, prawd i półprawd to węzeł najtrudniejszy do rozwiązania – ale przecież nie o to chodzi w medialnej politycznej wojnie. Emocje już poszły w Polskę – przyciemnione obrazy, groźna muzyka, przeplatanie obrazów ofiar mafii z kadrami z premier Szydło – to odziera człowieka z godności, wywołuje niepewność, czasem strach.

W świecie telewizyjnej i internetowej propagandy można każdego wplątać w powiązania z mafią, służbami, terrorystami. Jeśli pięciosekundowe ujęcie, na którym widać jednocześnie dwie osoby, jest dowodem na gangsterskie powiązania, to znaczy, że przy nieuczciwych mediach nikt się nie może czuć bezpiecznie. Każdego z nas można wmanewrować w relację z przypadkowym przechodniem, sąsiadem, pasażerem w pociągu. Odpowiedzią nie jest jednak ucieczka od aktywności (o to przecież chodzi manipulatorom), ale wręcz większe zaangażowanie w polskie sprawy. W najbliższych miesiącach będzie to szczególnie potrzebne.

eprasa.pl 1bb409c74f

Skończmy z polityką zemsty

Chciałem zapytać wyborców PiS: zobaczcie, w czym uczestniczycie i zastanówcie się, czy to na pewno jest to, czego chcecie. Czy chcielibyście być rządzeni, gdy te narzędzia, które tworzy PiS, wpadną w inne ręce? – mówi Maciej Gdula, poseł Lewicy, socjolog, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem.

Po co panu ta polityka? Zamiast ciekawych raportów i badań ma pan codzienną młóckę w Sejmie.

Maciej Gdula: Miałem poczucie, także ze względu na reformę Gowina na uczelniach, że jeśli będę stał z boku, to wszystko to, co robię naukowo, weźmie w łeb. Choćby z wierności nauce chciałem wejść do polityki, by walczyć o inną sferę publiczną. W moim badaniu z Miastka był ważny element zwrócenia się do wyborców PiS; zobaczcie, w czym uczestniczycie i zastanówcie się, czy to na pewno jest to, czego chcecie. Czy chcielibyście być rządzeni, gdy te narzędzia, które tworzy PiS, wpadną w inne ręce?

Chce pan trafić do wyborców PiS?

Mamy o czym rozmawiać, a na pewno mamy się o co spierać. Spór jest częścią, istotą demokracji – nie musimy się wcale zgadzać. Na pewno dużo nas od siebie różni, ale to nie powinno nam blokować rozmowy. Tymczasem mam wrażenie, że dziś obie strony stawiają na to, by komunikacja była zredukowana do propagandy – my mamy swoją, wy swoją, a w wyborach okazuje się, która była lepsza.



Pana zdaniem tak to dzisiaj wygląda?

Zbliżamy się do tego modelu. I zaznaczę tu, że moim zdaniem to prawica jest bardziej nakręcona, media liberalne starają się pilnować standardów, mają większe skrupuły, choć oczywiście i one stają po określonej stronie sporu.

Polemizowałbym z tymi standardami, ale zostawmy to. Pana raport z Miastka był szokiem dla wielu ludzi strony lewicowo-liberalnej – wyjechał pan poza rogatki Warszawy i pokazał inną Polskę niż ta z obrazków TVN.

Nie nazwałbym tego szokiem. Niemniej jednak interpretacja z Miastka pokazywała, że PiS czerpie poparcie skądinąd, niż sobie wyobrażaliśmy.

A co sobie wyobrażaliście?

Że ludźmi rządzi prawicowy, spójny światopogląd związany z Kościołem, a z drugiej strony, że sukces PiS jest związany z redystrybucją i korupcją polityczną.

Dostali pięć stów na dziecko i zagłosowali na Kaczyńskiego?

Tak. Tymczasem ani jedno, ani drugie nie jest prawdą. Ale to nie był szok ludzi, którzy zobaczyli prawdę poza Warszawą, a raczej zainteresowanie tym, jak ten mechanizm faktycznie działa. Prawica też mogła się temu przyjrzeć i zobaczyć, jak to wygląda na dole.

No i jak to wygląda?

Dzisiaj siłą rzeczy odpowiadam bardziej jako polityk, choć nie przestałem być socjologiem. To kilka czynników, które się zbiegły w jedno. Sukces PiS był związany ze zmianami, jakie dzieją się na świecie – z jednej strony wyczerpaniem się przekonania, że możemy liczyć na wzrost i dobrobyt, jeżeli tylko powtórzymy drogę Zachodu. To wyczerpanie się modelu imitacyjnej transformacji: zdaliśmy sobie

eprasa.pl 1bb409c74f



sprawę, że aplikowanie zachodnich wzorców nie wystarczy. Druga rzecz to poczucie niestabilności międzynarodowej w związku z kryzysem uchodźczym. Trzecia sprawa – chęć części wyborców, by poczuć siłę. Niestety często wobec grup słabszych i mniejszościowych – społeczności LGBT czy uchodźców. W moim przekonaniu kierunek, w którym zmierza Jarosław Kaczyński, jest nietrafiony, ale zgrzeszyłbym, jeśli uznałbym, że to nie jest jakaś spójna odpowiedź (moim zdaniem błędna i niemoralna) na wyczerpanie się dotychczasowych pewników.

Pominął pan w tym skrócie jeden ważny wątek: duża część Polaków przez lata czuła się wykluczona, nie tylko gospodarczo, nie była u siebie, ale gdzieś na marginesie państwa.

Zgadzam się, że to poczucie jest dość silne u części głosujących na PiS, ale to nic nowego. Zbiega się to zresztą z myślą jednego z intelektualistów bliskich obozowi PiS: kiedyś to my cierpieliśmy, a dziś to wy będziecie cierpieć. Pewne posunięcia rządu PiS mają charakter poszukiwania nowego modelu zorganizowania państwa, ale polityka godności oparta na poniżeniu innych jest kontynuacją modelu, który był w Polsce i którego przez lata ofiarą było PiS. Dziś mamy pewien rodzaj odpłaty. Patrzę z Sejmu na pewne mechanizmy, jakie rządzą polityką, i przyznam, że jest to przytłaczające, że model wzajemnego poniżania tak bardzo działa. Jest tak przewidywalny, ale i skuteczny.

Działa?

Działa. Duże partie posługują się tym modelem z pełną bezwzględnością. Proszę zwrócić uwagę na nawet małe sprawy: marszałkiem seniorem został Antoni Macierewicz – chodziło o to, by liberałowie zawyli.

Zawyliście?

A jakże, wyliśmy w tych ławach [śmiech]. Niemniej jednak jest to rytualne, ale nie funkcjonalne – to tylko reprodukuje pewien układ i oś sporu, ale nie posuwa spraw do przodu.

A jak te sprawy pana zdaniem posunąć do przodu?

Jesteśmy w Sejmie nie po to, by dokręcać śrubę pogardy, ale by spierać się z PiS w sprawach konkretnych, czasem fundamentalnych.

Jakie to sprawy?

Dla mnie fundamentalną kwestią jest model władzy. I tutaj faktycznie jestem po dokładnie odwrotnej stronie niż Jarosław Kaczyński, który chce państwa zorganizowanego hierarchicznie, z pełną kontrolą i zarządzaniem kluczowymi procesami odgórnie.

Tak, ale przez lata słyszeliśmy, że się nie da, bo silosowość resortów, bo protesty, bo Bruksela, bo tak nie można, bo budżet. No i ma pan odpowiedź na ten imposybilizm.

To sposób rządzenia, który daje dużo stabilności, jeżeli chodzi o partię rządzącą – wprowadza jasny rozkład sił i porządkuje pewne sprawy, ale nie pozwala się zmierzyć z problemami, których nie da się rozwiązać jedną decyzją. Ochrona zdrowia, mieszkalnictwo, edukacja – lewica jest w Sejmie także dlatego, że głośno mówiliśmy o tym w wyborach. Nie mówimy tylko o tym, że jest za mało pieniędzy, bo

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1bb409c74f

to oczywiste. Idźmy dalej, bo tego się nie da załatwić, siedząc na szczycie hierarchii, trzeba uruchomić energię oddolną.

W jaki sposób?

Na przykład zapytać nauczycieli, jakiej chcą szkoły, zaprosić ich do współodpowiedzialności za to, jak edukacja wygląda. Protesty nauczycieli pokazały, że pewnych rzeczy się nie da przeprowadzić siłowo, odgórnie. Jeśli chodzi o system ochrony zdrowia, to widać, że braku lekarzy czy wydłużonych kolejek też się tak nie załatwi. Młodzi lekarze muszą mieć poczucie, że są i wynagradzani, i szanowani.

Miękkie środki?

Tak! A PiS rządzone przez Kaczyńskiego nie jest w stanie się z tym uporać.

No to ma pan premiera Morawieckiego: specjalny resort ds. klimatu, w exposé eksponowane sprawy miękkie, często nieprawicowe.

To ważny wątek. Z dużą ciekawością wysłuchałem przemówień premiera w Sejmie – tam była jakaś idea, dane, mięso. To wielkie pytanie, czy Morawiecki zdobędzie autonomię wobec PiS i Kaczyńskiego, by realizować swoje plany? I czy uruchamiając konflikty na tle kulturowym (jak w sprawie LGBT czy „fali postmarksizmu"), PiS jest w stanie wytworzyć atmosferę dokonywania pewnych zmian. Wątpię w to. Trudno jest połączyć radykalnie prawicowy, wykluczający język jedności narodowej z średnioklasową otwartością i budowaniem instytucji.

> PiS przekonało publiczność, że pewien model rządzenia jest funkcjonalny i gratyfikujący. Jak przykręcają śruby, to publiczność wiwatuje. Dają ludziom poczucie mocy i sprawstwa. Ale ten model nie jest rozwojowy

Jak się ma partię na poziomie 45 proc. poparcia, to trzeba chuchać na jedno i drugie.

Ale PiS w tym zaczyna przypominać Platformę, starając się łączyć sprzeczne tendencje. Wyszło to mocno po wyborach: wcześniej mieliśmy Kaczyńskiego, który był szefem wszystkiego, a dziś staje się on mediatorem między różnymi skrzydłami. Pytanie, jak to będzie działać, czy w ogóle się sprawdzi w życiu publicznym, jak to przyjmie elektorat. Moim zdaniem będzie narastało poczucie niestabilności i coraz głośniejszych pytań: „O co w tym wszystkim chodzi?", a publiczność wychowana w przekonaniu, że jest ktoś, kto trzyma lejce, zacznie się w tym gubić.

Na razie się nie gubi. Ponad 8 mln głosów oddanych na jedną listę to rekord III RP.

Są rzeczy oczywiste: PiS korzysta z dobrej sytuacji gospodarczej, w krótkim terminie pomaga im demografia, ale są rzeczy mniej oczywiste, takie jak te: PiS wychował sobie elektorat.

Jak?

Przekonał publiczność, że pewien model rządzenia jest funkcjonalny i gratyfikujący. Kiedy przykręcają śruby, to publiczność wiwatuje. Dają ludziom poczucie mocy i sprawstwa – reprezentujemy was i bronimy – jak rodziny przed tęczową zarazą.

Może to działa.

Działa, ale jednocześnie patrząc na wynik wyborów, w tym stratę Senatu, widać, że ten model nie jest rozwojowy. PiS wykorzystało wszystkie swoje rezerwy.

E tam, myślenie życzeniowe polityka opozycji, chciejstwo.

Jasne, nie jesteśmy wróżkami, ale testem będą wybory prezydenckie. Pomysł PiS na razie jest taki, by iść maksymalnie do centrum – by sygnalizować prawicowość, ale mówić o porozumieniu, pluralizmie itd. Nie wiem, czy to będzie mobilizujące dla części wyborców PiS. Sam oczekuję od każdego polityka, by definiował wizję Polski, jaką chce wdrażać, i wyzwania, jakie przed nami stoją.

Ma pan model polskiej wersji państwa dobrobytu.

Ten model opiera się na przekonaniu, że sprawy, które są ważne, można odłożyć na później: jakość usług publicznych, sprawy klimatu, stosunek Polski wobec UE. A to trzy najważniejsze obszary, które wciąż kuleją, jeśli chodzi o priorytety rządów PiS.

Powie ktoś: panie doktorze, tak się tu pan wymądrza, a Wiosna, którą pan współtworzył, skończyła się szybciej niż ta kalendarzowa.

Nie patrzę na to w ten sposób. Udało nam się stworzyć duży blok lewicowy, jesteśmy dość silni, dogadujemy się w klubie. Działamy. Samo PiS się zdziwiło, jak jesteśmy skuteczni i musiało wycofać ustawę o likwidacji 30-krotności, żeby uniknąć prestiżowej porażki na początku kadencji.

Miała być nowa jakość, a tu w klubie Senyszyn, Dyduch, Czarzasty...

Jest tutaj sporo doświadczonych osób, ale i nowych, młodych, których znam z wcześniejszej działalności aktywistycznej czy publicystycznej. Nie myśleliśmy, że w horyzoncie pięciu lat wejdziemy do polityki, a dzisiaj tak się dzieje. To duża nadzieja i nowa jakość.

Czym się to ma objawiać? Będziecie inną opozycją?

Na pewno będziemy inną opozycją niż dotychczasowa, także z tematami, których dotychczas nie było. Chcemy zaproponować inny horyzont myślenia o Polsce i Europie – naszym planem jest zdefiniować na nowo, jak rządzić Polską.

eprasa.pl 1bb409c74f



Zdjęcia Jakub Szymczuk/KPRP

Do tej naszej dziury prezydent przyjeżdża?

Andrzej Duda dotrzymał obietnicy i, spotykając się z mieszkańcami Brojc koło Gryfic, może powiedzieć, że odwiedził każdy powiat w Polsce, a jest ich 380. W tej kwestii konkurenci w zbliżającej się kampanii prezydenckiej na pewno już go nie dogonią. A opozycja jest w kłopocie, bo pomysł na kampanię ma identyczny



MARCIN WIKŁO

Przez nieco ponadtysięczne Brojce w powiecie gryfickim biegnie główna droga, to ul. Długa. Ma ze dwa kilometry, przy niej jest wszystko, czego mieszkańcom wsi potrzeba. Sklep, bankomat, remiza OSP, urząd gminy i park z kilkoma drzewami, o których encyklopedia mówi „pomnikowe". Ponad 20-metrowe dęby, buki i miłorzęby. Spokojnym krokiem, wsparty na dwóch kulach mija je Zbigniew Borowski, emeryt. Jest środa, 20 listopada 2019 r. Do spotkania z prezydentem Andrzejem Dudą (można się o nim dowiedzieć z zaproszenia na tablicy przed Wiejskim Domem) zostało ponad półtorej godziny, ale po złamaniu i rehabilitacji spacer nie może być zbyt forsowny. – Syn do mnie wczoraj dzwonił z Anglii, mieszka tam od pięciu lat. Mówi: „Tata, do tej naszej dziury prezydent przyjeżdża? Naprawdę?!" – opowiada. Pan Zbigniew mówi, że historia jego rodziny to świetna odpowiedź na pytanie, jak się w Brojach żyło przez ostatnie kilkanaście lat. – Moja żona od lat mieszka we Włoszech, tam są też moje dwie córki. Zostałem sam, kolegów mam tylko. Pewnie, że trochę przykro, ale czego tu miały szukać?

eprasa.pl 1bb409c74f

Teraz chyba by nie wyjechały, bo tu się zmienia. Wszystko.

DLACZEGO DO NAS?

Przed budynkiem szkoły, w której prezydent ma się spotkać z mieszkańcami, gęstnieje i nikt nie chce się przesunąć ze schodków, bo zapowiedziano, że do sali gimnastycznej wpuszczone zostanie tylko 400 osób. Względy bezpieczeństwa. – Gdzie jest Andrzej Duda?! – wykrzykuje niecierpliwie kilkuletni chłopiec.

Spotykam rodzinę Michalczyków. Marcin, Anna i dwójka dzieci: Jagódka i Piotr. – Mieszkamy tutaj, pracujemy niedaleko. Nie w głowie nam wyprowadzki gdziekolwiek – opowiadają. Czy jest praca? – Proszę pana, pracy jest pełno. Jak nie tutaj, to najdalej w Gryficach. Trzeba naprawdę nie chcieć, żeby nie pracować. Pan Marcin jest ślusarzem, pracuje w zawodzie. Narzeka na poprzednią władzę. – Stocznie polikwidowane, bo nam się nie opłaca. Kopalnie polikwidować, bo nam się nie opłaca. A komu innemu, zagranicznemu, się opłaca, to jak to jest? W ludziach to gdzieś głęboko siedzi – mówi ze złością.

Na spotkanie z prezydentem z plakatów i ze strony internetowej gminy zaprasza wójt Michał Zinowik. Ludzie wciąż mówią o nim „nowy”, mimo że wybrali go w ostatnich wyborach ponad rok temu. Ale jego poprzednik siedział na urzędzie przez osiem kadencji. Zostawił po sobie długi, bo budżet chciał łatać pożyczkami w parabankach, ta kwestia wciąż nie jest wyrównana.



Pod szkołą w oczekiwaniu na prezydenta słychać jeden temat, dlaczego właściwie Andrzej Duda przyjeżdża tutaj. I odpowiedzi znajdują się natychmiast: – To dobra robota „nowego” wójta, bo on jest z PiS. Odważył się, zaprosił pana prezydenta i mamy!

Włodzimierz Blumensztajn i Ryszard Witkowski pokazują mi biało-czerwoną flagę z napisem solidarycą „Gryfice”. Stamtąd właśnie przyjechali, są działaczami Solidarności, sympatyzują z PiS. Z dumą prezentują wpięte w klapy odznaki honorowe 1956–1989 dla „represjonowanych z powodów politycznych”. – Wstyd mi za te nasze Gryfice, że nikt tam prezydenta nie chce. Takie spotkania jak dzisiejsze dają nam siły, żebyśmy w tej komunie jakoś wytrwali – mówią z nadzieją.

REFORMY DOKOŃCZYMY

Wreszcie jest! Rozlegają się gromkie brawa, potem hymn, cztery zwrotki. Bukiet biało-czerwonych róż wręczają





Andrzejowi Dudzie harcerze. – To ostatni powiat w Polsce, którego jeszcze nie odwiedziłem. Cieszę się niezmiernie, że mogłem spełnić tę obietnicę spotkań z moimi rodakami, także u nich w domach, tam, gdzie mieszkają – mówi uśmiechnięty Duda.

Prezydent opowiada nieco o trudnej historii polskości na zachodnim Pomorzu, a potem o innych sprawach z bieżącej polityki. Zapowiada, że jest w obozie rządzącym wola dokończenia reform wymiaru sprawiedliwości. – To będzie jeden z najważniejszych tematów nadchodzącej kampanii prezydenckiej. [...] W Sądzie Najwyższym jest grupa sędziów, którzy nie tylko byli członkami komunistycznej partii przed 1989 r., ale splamili się także tym, że byli partyjnymi funkcjonariuszami w stanie wojennym, właśnie jako sędziowie. [...] Czas najwyższy, żeby odeszli raz na zawsze! – mówi prezydent, wzbudzając niesamowity aplauz.

Stałym punktem takich spotkań jest wejście prezydenta w tłum, co przyprawia oficerów SOP o ból głowy. Od pierwszych dni prezydentury wygląda to tak samo. Są uściski dłoni, podpisy, drobne upominki i koniecznie selfie z głową państwa.

Złośliwi twierdzą, że mało jest w takich spotkaniach treści, a wiele emocji. Być może, ale do tej pory nikt chyba niczego skuteczniejszego na kampanię nie wymyślił. Można sobie wyobrazić, jak ważna jest dla mieszkańców takiej wsi jak Brojce wizyta prezydenta, którego widzieli dotąd tylko w telewizji. A tutaj rzeczywiście mało kto zagląda. Do dzisiaj wspomina się wizytę Lecha Kaczyńskiego w Trzęsaczu i Rewalu (ponad 35 km od Brojc) na Dzień Dziecka w 2009 r. Przy okazji tej wizyty to miejsce nieco wcześniej odwiedził także Andrzej Duda.

POMYSŁ NA KAMPANIĘ

Gdy jesienią 2014 r. było już jasne, że to Andrzej Duda będzie kandydatem PiS na prezydenta, nikt w partii nie miał pomysłu, jak to wygrać. Sondaże były nokautujące, nieco ponad 10 proc. poparcia, co w zderzeniu z ponad 60 proc. deklarujących głos na ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego w pewien sposób uzasadniało festiwal kpin. – Który to Duda startuje? Piotr? – pytano w prześmiewczym tonie.

Wtedy Andrzej Duda ruszył w Polskę, by spotykać się z ludźmi i z nimi rozmawiać. Robił to tak konsekwentnie, że zatrzymał się kilka miesięcy później w Pałacu Prezydenckim. W tym samym, którym pracował kiedyś u swego mistrza, śp. prof. Lecha Kaczyńskiego.

W Brojcach wspomniał moment, gdy ta podróż się rozpoczęła. – Swoje pierwsze kroki po nominacji na kandydata postawiłem właśnie na Pomorzu Zachodnim. Pamiętam, jak wysiadłem z nocnego pociągu z Krakowa... – opowiadał Duda na spotkaniu. Dzisiaj już z tych wojaży nikt nie kpi. Co więcej, właśnie w tym upatruje się niesłabnącej popularności głowy państwa. – Ta prezydentura różni się od wszystkich poprzednich tym, że Andrzej Duda jest w stałym kontakcie ze wszystkimi grupami społecznymi. Spotyka się z ludźmi, ale także z ekspertami, choćby zasiadającymi w Narodowej Radzie Rozwoju, ze związkowcami i samorządowcami. Ludzie to doceniają – ocenia prof. Andrzej Zybertowicz, socjolog, doradca społeczny prezydenta RP i szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

WSZYSCY CHCĄ JEŹDZIĆ

Politycy opozycji do wizyt Andrzeja Dudy w powiatach nie chcą się odnosić, przynajmniej oficjalnie. Odpowiadają wymijająco albo kompletnie nie na temat. Jak wygrać z Andrzejem Dudą?

Piotr Zgorzelski, Koalicja Polska: – Tak jak on wygrał z Komorowskim: zagospodarować centrum.

Krzysztof Śmiszek, Wiosna: – Trzeba obnażać hipokryzję obecnego prezydenta, który jest po prostu osobą słabą. Ludzie nie kupują słabych osób, które nie potrafią walczyć. A on nie potrafi.

Zapytany o pomysł na kampanię Małgorzaty Kidawy-Błońskiej (w PO spodziewają się, że to ona ostatecznie stanie do rywalizacji z Dudą) Marcin Kierwiński mówi inaczej: – Trzeba jeździć po Polsce, po najmniejszych nawet miejscowościach. Widać po wynikach wyborów parlamentarnych, że wyborcy premiują tych kandydatów, którzy są aktywni. Tak też trzeba zrobić kampanię prezydencką, nie ma innej metody.

To chyba najlepsza, choć niewypowiedziana wprost recenzja tego, co konsekwentnie realizuje Andrzej Duda. – Opozycja już nauczyła się trochę w ostatniej kampanii samorządowej, że wyjście do ludzi jest konieczne. A to, że czasem zbierali cięgi, było dla nich bardzo cenną nauką. Zrozumieli w końcu, jakim językiem należy z wyborcami rozmawiać. Że ludzie najpierw chcą być przez polityków wysłuchani, a dopiero potem można do nich mówić. Nie na odwrót – mówi prof. Zybertowicz.

W drugiej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. w powiecie gryfickim zdecydowanie zwyciężył Bronisław Komorowski, zdobywając 59,08 proc. (14 138 głosów), Andrzej Duda 40,92 proc (9793 głosy). W samych Brojcach także przewagę miał poprzedni prezydent 58,19 proc. (590 głosów) do 41,81 proc. (424 głosy).

Jest więc o co zabiegać. By później móc zapełnić mapę Polski, ale nie tylko na zasadzie: „Tu byłem".

eprasa.pl 1bb409c74f



Katedra nie dla tego arcybiskupa

Miał spocząć w poznańskiej katedrze, pochowano go na parafialnym cmentarzu. Nawet po śmierci abp Juliusz Paetz nie przestaje budzić emocji. Czy to już koniec tej historii?

epresa.pl 1bb409c74f



MAJA NARBUTT

Kiedy pojawiła się informacja, że zmarł 84-letni abp Paetz, trudno było się spodziewać, że wywoła to burzliwą reakcję. Komunikat archidiecezji poznańskiej był lakoniczny. Znalazło się w nim jednak twierdzenie o regulującym pogrzeb prawie kanonicznym. A zgodnie z nim miejscem pochówku dawnego metropolity poznańskiego powinna być poznańska katedra. Biorąc pod uwagę, że abp Paetz przed laty podał się do dymisji w atmosferze skandalu wywołanego oskarżeniami o molestowanie kleryków i księży, dla wielu było to szokujące.

– Nieoficjalnie wiadomo, że nuncjatura apostolska od razu sugerowała, iż miejsce, w którym spocznie w katedrze Paetz, ma być „mało eksponowane". Ale czy w ogóle można mówić o takim miejscu w najstarszej polskiej katedrze, miejscu pochowku pierwszych Piastów i zasłużonych dla historii postaci? – mówi mi ksiądz, który obserwował wydarzenia w poznańskiej kurii.

Wszystko toczyło się szybko – arcybiskup zmarł w piątek 15 listopada, pogrzeb miał się odbyć w poniedziałek.

W takiej atmosferze nieoczekiwanie powstał list skierowany do abp. Stanisława Gądeckiego. Podpisało go 40 prominentnych osób związanych z poznańskim Kościołem, które uznały za gorszące, że Paetz ma spocząć w katedrze.

– Lista sygnatariuszy nie jest przypadkowa. Znalazły się na niej osoby naprawdę zaangażowane, zatroskane o dobro Kościoła, w tym profesorowie z rady doradzającej arcybiskupowi. Jest też wspólny mianownik: nie ma tu ludzi z kręgu „Gazety Wyborczej" ani „Tygodnika Powszechnego". Bo nie chcieliśmy, by powstało wrażenie, że walczymy z Kościołem lub atakujemy arcybiskupa. Nam chodziło o wspólne dobro – mówi mi jeden z sygnatariuszy listu.

Dramaturgia wydarzeń była niezwykła – jak w filmie sensacyjnym, gdy w ostatniej chwili ktoś usuwa zapalnik i rozbraja bombę.

List przyniósł skutek – jeszcze w niedzielę wieczorem wszystko wskazywało, że Paetz zostanie pochowany w katedrze, ale w nocy abp Gądecki zadecydował inaczej. Ciało Juliusza Paetza po mszy w katedrze złożono w rodzinnym grobie na parafialnym cmentarzu.

Dzisiaj sygnatariusze apelu – do którego później przyłączyły się w internecie setki osób spoza Poznania – podkreślają, że nie mieli wątpliwości, iż abp Paetz zasłużył na godny pogrzeb, którego Kościół nie odmawia nawet grzesznikom. Jednak nie mogli się zgodzić, że zasłużył na miejsce w najstarszej polskiej katedrze.

– To byłoby niewłaściwe również w kontekście historyczno-symbolicznym. Abp Paetz spoczęłby obok poznańskich hierarchów, takich jak abp Dymek czy abp Baraniak, którzy zachowali niezłomną postawę wobec prześladowań ze strony komunistów i gotowi byli oddać życie za Kościół. Nie mogliśmy nie wyrazić sprzeciwu – uważa inicjator listu dr Cezary Kościelniak, filozof i pracownik naukowy Uniwersytetu Adama Mickiewicza.

Istniały też całkiem realne obawy, że jeśli arcybiskup zostanie pochowany w katedrze, prędzej czy później dojdzie do profanacji.

– Nastroje antyklerykalne od pewnego czasu eskalują, więc w końcu doszłoby do jakiegoś incydentu. Trudno sobie wyobrazić, że można byłoby temu zapobiec, bo wymagałoby to wprowadzenia na stałe ochrony świątyni – podkreśla dominikanin o. Roman Bielecki, który jako jeden z pierwszych podpisał list.

Rezygnacja z pochowania abp. Paetza w katedrze zapobiegła najgorszemu scenariuszowi i wygasiła emocje.

Nie wiadomo jednak, czy to definitywny koniec historii abp. Paetza. Niektórzy księża twierdzą, że w Watykanie jakiś czas temu na mocy listu apostolskiego papieża Franciszka motu proprio „Vos estis lux mundi", dotyczącego nadużyć seksualnych księży, wznowiono postępowanie w sprawie arcybiskupa i nadal się ono toczy.

Arcybiskup nigdy nie przyznał się do winy, bagatelizował wysuwane wobec niego zarzuty, twierdząc, że nadinterpretowuje się jego serdeczne zachowania wobec kleryków. Długo wydawało się, że jest nietykalny, swoich krytyków zsyłał na misje lub ignorował. Dopiero interwencja przyjaciółki Jana Pawła II, Wandy Półtawskiej, która w 2002 r. udała się do Watykanu, sprawiła, że do Poznania zjechała kościelna komisja.

Zarzuty wobec Paetza upubliczniła wówczas „Rzeczpospolita" w głośnym artykule „Grzech w pałacu arcybiskupim". Wstrząśnięci czytelnicy poznali drastyczne szczegóły dotyczące zachowania Juliusza Paetza, który np. obdarowywał kleryków czerwonymi majtkami z napisem „Roma" i tłumaczył im, że napis trzeba czytać wspak.

A potem wszystko potoczyło się szybko – Paetz podał się do dymisji, przemilczając jej powody.

– Niektórzy katolicy, trochę naiwnie, nie są w stanie uwierzyć, że ich pasterz może zbłądzić. Są jak dzieci, które nawet jak widzą pijanego ojca, to nie do końca rozumieją sytuację lub wręcz obwiniają się za jego postawę. Dlatego część wiernych aż do dzisiaj nie przyjmuje trudnej prawdy o życiu abp. Paetza. Tym bardziej że po kościelnym procesie przed laty nie poinformowano głośno o jego wyniku, choć było dość oczywiste, że dymisja arcybiskupa nie była dobrowolna – mówi mi ks. Daniel Wachowiak, jeden z sygnatariuszy listu.

Z PODNIESIONYM CZOŁEM

Kiedy w atmosferze skandalu abp Paetz ustępował w 2002 r. ze stanowiska, powszechnie oczekiwano, że dyskretnie usunie się w cień, a nawet wyjedzie z Poznania. Zachował się jednak zupełnie inaczej i wyglądało to na przemyślaną taktykę.

– Od początku sprawiał wrażenie, jakby nic się nie stało. Z podniesionym czołem i uśmiechem na ustach pojawiał się w miejscach publicznych – opowiadał mi znany poznański przedsiębiorca.

Zaobserwowano, że Paetz nie tylko nie unikał ludzi, ale do nich wręcz lgnął, jakby nie zdawał sobie sprawy z niezręczności sytuacji. Starał się zawsze przywitać i porozmawiać z jak największą liczbą osób.

Ta ostentacyjna obecność na wszelkiego typu imprezach najpierw budziła konsternację, ale z czasem przyniosła

Fot. Stanisław Kowalczuk/East News

eprasa.pl 1bb409c74f



Fot. Piotr Mojecki/East News

oczekiwany przez Paetza skutek: zaczęto wątpić w jego winę. Zastanawiano się, czy Kościół przypadkiem nie skrzywdził Paetza. Nie znano przecież dotyczących arcybiskupa ustaleń komisji watykańskiej, których nigdy nie upubliczniono. Im więcej czasu upływało od skandalu, tym bardziej niektórym wydawało się, że wina Paetza jest wątpliwa.

Poznańska kuria była wtedy w pewien sposób bezradna. Nie mogła zakazać arcybiskupowi seniorowi pojawiania się na uroczystościach kościelnych, skoro Watykan nie stwierdził stanowczo, że ma się on usunąć całkowicie z życia publicznego. I oczywiście nie mogła mieć żadnego wpływu na to, że brylował on na poznańskich salonach.

To dość osobliwa część historii abp. Paetza, rzucająca światło na specyfikę tego miasta i sposób, w jaki kiedyś funkcjonowały poznańskie elity. Jak mówili socjolodzy, obowiązywała solidarność środowiskowa – w razie wpadki jednego z jej członków inni stawali za nim murem. Wstydliwe sprawy nie przekreślały kogoś, kto należał do lokalnej elity. Tak było chociażby w przypadku innej afery obyczajowej, związanej z dyrygentem chłopięcego chóru Polskie Słowiki Wojciechem Kroloppem, o którym przez co najmniej 20 lat przed postawieniem mu zarzutów przez prokuraturę, mówiono, że molestuje chłopców.

Jeszcze bardziej poznański establishment zwarł swoje szeregi, gdy chodziło o Paetza, zajmującego znacznie wyższe niż Krolopp miejsce w hierarchii miasta. Przed laty, gdy „Rzeczpospolita" opublikowała głośny artykuł o Paetzu i wybuchł skandal, natychmiast ruszono z kontratakiem. Prominentne osobistości napisały list w obronie dobrego imienia arcybiskupa.

Wśród sygnatariuszy byli znani artyści, rektorzy poznańskich uczelni, biznesmeni – wcale niekojarzeni z kościelnym konserwatyzmem, który mógłby skłaniać do uwierzenia, że hierarcha kościelny nie mógł się dopuścić drastycznych nadużyć obyczajowych.

Powszechnie wiadomo, że inicjatorem listu był jeden z najbogatszych Polaków, Jan Kulczyk, od dawna zaprzyjaźniony z arcybiskupem. A Kulczykowi w Poznaniu się nie odmawiało.

W tym życzliwym podejściu do Paetza nic się zresztą nie zmieniło, gdy arcybiskup został zmuszony do dymisji. Nadal bywał na premierach w Operze Poznańskiej, siedział często w loży między Kulczykiem a ówczesnym wojewodą. Zapraszany był na bankiety, bo – jak podkreślano – był uroczym człowiekiem o wielkich walorach towarzyskich i kulturze osobistej. Koncepcja kapłana, ocenianego według towarzyskich zalet, była w kręgu poznańskich elit ugruntowana.

Kiedy przed laty robiłam reportaż o tym, jak Julian Paetz funkcjonuje w Poznaniu, uderzyła mnie dość niezwykła prawidłowość – moi rozmówcy z kręgu establishmentu zawsze podkreślali z uznaniem, że abp Paetz bywa na bankietach i imprezach, a także przyjmuje gości w swojej rezydencji, podczas gdy jego następca niestety „ogranicza się do posługi kapłańskiej".

eprasa.pl 1bb409c74f

Walory moralne lub ich brak wydawały się jakby nieistotne. Czasem krył się za tym cynizm, zdumiewające przekonanie, że zasady moralne, nawet w wypadku hierarchy kościelnego, nie są ważne.

– Na Boga, czego właściwie chcą od naszego arcybiskupa? Przecież nie popełnił żadnego przestępstwa. Pedofilia jest przestępstwem, ale jeśli coś dzieje się między dorosłymi osobami, to arcybiskup ma prawo spać z aniołkiem, z zakonnicą czy klerykiem – mówił mi z oburzeniem Sławomir Pietras, były dyrektor Opery Poznańskiej.

Czasem jednak przeważało przekonanie, że być może Paetz popełnił czyny, które są naprawdę naganne, ale lepiej w to nie wnikać i należy przymknąć oko. To była specyficzna poznańska umowa społeczna, polegająca na tym, że osobom na świeczniku należy wybaczyć wiele, a prawda się nie liczy. Dała o sobie znać także w przypadku samego Kulczyka. Właśnie w jego obronie powstał kolejny poznański list otwarty. Kiedy dwa lata po aferze Paetza przed komisją śledczą zaczęto mówić o kontaktach Kulczyka z rosyjskim szpiegiem Ałganowem, poznańskie elity napisały: „niezależnie od tego, jakie będą ustalenia, będziemy bronić wybitnego obywatela Poznania".

Zapewne od tamtych czasów dużo się zmieniło, czego dowodem są ostatnie wypadki.

ALBO ON, ALBO JA

– Zwykli ludzie nie rozumieli, o co chodzi w sprawie Paetza. I ja, i moi koledzy musieliśmy odpowiadać na kłopotliwe pytania wiernych, którzy chcieli wiedzieć, co właściwie zrobił arcybiskup i czy jest rzeczywiście winny, skoro siada w pierwszej ławce na kościelnych uroczystościach – wspomina dominikanin o. Roman Bielecki.

Kościelna „kultura tajemnicy", w której wiele rzeczy dzieje się zakulisowo i nie uchyla się rąbka tajemnicy przed wiernymi, sprawiała, że poznańscy katolicy byli zdezorientowani.

W odróżnieniu od elit nie byli jednak gotowi wszystkiego wybaczyć. I jeżeli już doszli do wniosku, że abp Paetz był winny, to reagowali stanowczo – zdarzało się, że gdy miał się zjawić w jakiejś parafii, parafianie mówili swemu proboszczowi, że nie chcą tej wizyty i spotykał się on z afrontem.

– Nie wierzę, że Paetz był niewzruszony i nie przejmował się tym, co się o nim sądzi. Przeżyłam sytuację, której nigdy nie zapomnę. Na korytarzu budynku episkopatu dogonił mnie Paetz i głośnym szeptem – dbając, by nikt inny nie słyszał – powiedział, że mam przestać o nim pisać. Nie było w tym groźby, ale wyraźne żądanie – opowiada mi Ewa Czaczkowska, publicystka i pracownik naukowy Uniwersytetu im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Nie bez powodu abp Paetz uznał, że jej artykuły mogą mu zaszkodzić – ujawniła, że stara się on, by Watykan uchylił ciążący na nim zakaz sprawowania liturgii. Każdy, kto znał Paetza, wiedział, że jego obsesją jest doprowadzenie do swojej rehabilitacji i wykorzystuje w tym celu kontakty, jakie zdobył w Watykanie, gdzie podczas pontyfikatu aż trzech papieży: Pawła VI, Jana Pawła I oraz Jana Pawła II, był prałatem antykamery papieskiej, czyli witał i zabawiał rozmową gości czekających na audiencję.

Niewątpliwie więc zrobił w Watykanie sporą karierę i mógł liczyć, że znajdzie tam sprzymierzeńców. Zwłaszcza gdy przycichł skandal związany z nałożeniem na niego sankcji i jego wymuszoną dymisją.

Być może udałoby mu się dopiąć celu. Ale na przeszkodzie stanął właśnie abp Stanisław Gądecki. To dość mało znana historia, którą jednak udało mi się potwierdzić w kilku źródłach. Kiedy w 2010 r. znów ważyły się losy Paetza, abp Gądecki miał rzucić na szalę swój autorytet i zagrozić „Albo on, albo ja". Jasno zakomunikował nuncjuszowi, że w wypadku przywrócenia do kościelnych łask Paetza poda się do dymisji.

Jego nieprzejednana postawa była imponująca i wcale nieoczywista. Bo abp Paetz, walcząc uparcie o swoją rehabilitację, znajdował sojuszników nawet tam, gdzie z pozoru nie można się było tego spodziewać.

Kiedy rozeszły się pogłoski o rehabilitacji Paetza, wielu księży przyjęło to ze spokojem lub wręcz satysfakcją. Dość zaskakująco zachował się wtedy np. ks. Adam Boniecki, ówczesny redaktor naczelny „Tygodnika Powszechnego", który szybko pospieszył z oświadczeniem, że ten, kto był odsunięty, może wrócić. A wspólnota chrześcijańska powinna się z tego radować.

Gdyby więc wydarzenia potoczyły się wówczas zgodnie ze scenariuszem, który wymyślił Paetz, zapewne nie spoczywałby dziś na skromnym parafialnym cmentarzu w rodzinnym grobie, ale ze wszystkimi honorami zostałby pochowany w poznańskiej katedrze. I nawet nie towarzyszyłaby temu żadna debata.

REKLAMA



eprasa.pl 1bb409c74f



Z jak zastępcy Tuska

Dr Hanna Karp, medioznawca

Dla Polski wybiła czarna godzina. Szef Rady Europejskiej ogłosił, że nie wystartuje w wyborach prezydenckich. 6 listopada na korytarzach gmachu UE w Brukseli z taką dziwną nieśmiałością mówił do dziennikarzy: „Uważam, że możemy te wybory wygrać". Jest tylko jedno „ale", jak sam zaznaczył: „Do tego potrzebna jest kandydatura, która nie jest obciążona bagażem trudnych, niepopularnych decyzji, a ja takim bagażem jestem obciążony od czasów, kiedy byłem premierem". Parafrazując prezydenta Lecha Wałęsę, powiedział narodowi: nie chcę i nie muszę, odlatuję na Księżyc, czyli – jak mówią głusi – do usłyszenia.

CAŁA OPOZYCJA SZUKA KANDYDATA NA KANDYDATA

„Ogłaszam tę decyzję dzisiaj – tłumaczył Tusk zaskoczonym reporterom – bo czas nagli, a nie chciałbym w żaden sposób utrudniać opozycji procesu wyłaniania kandydatów". No, szkoda. Tę prawdę mógłby objawić, jak tylko odszedł na unijny urząd. Tę odpowiedź – już wtedy znał. Choć dobrze, że uświadomił sobie fakt bycia bagażem, i to tak ciężkim. A może nawet ciąży całej Europie? Jego oświadczenie skłania raczej do refleksji, czy nie ma czegoś, o czym jeszcze nie wiemy? Być może, zdarzyło się coś, co kładzie znacznie większy cień na tej karierze niż w okresie premierowania? Rzecz jasna, polityk, w swoim dobrze znanym stylu, zapewnił, że niezmiennie, zawsze, gdy trzeba zabrać się do ciężkiej pracy, to można na niego... liczyć. Więc i tym razem opozycję będzie bardzo mocno wspierał i wykorzysta: „każdą możliwość, aby nadal wzmacniać pozycję Polski w Europie i na świecie". Nie wynaleziono, co prawda, jeszcze takiej jednostki miar, która by wskazała, jak bardzo wzmocnił naszą pozycję w świecie, ale wypada wierzyć mu na słowo.

Od 6 listopada w kraju rozsypał się wór z kandydatami, którzy chcieliby zastąpić Donalda. Cała opozycja i jej zaprzyjaźnione media kolejny już tydzień szukają erzacu oryginału. Przypomina to akcję sprzed lat: „Cała Polska szuka pracy dla Kaza". W historii tej brakuje tylko odpowiednika pięknej Isabel. I mielibyśmy kolejną opowieść z cyklu brazylijskiej opery mydlanej. Ale i tak, jak mówi młodzież, szykuje się niezła jazda. Są całe zastępy kandydatów, którzy nigdy nie byli premierami, ergo nie ciążą na nich żadne decyzje rządowe. W szranki o prezydencki żyrandol i pałac gotowa jest stanąć nawet Magda Gessler, słynna narodowa kucharka. Można wyobrazić sobie, jakich kuchennych rewolucji bylibyśmy świadkami, gdyby na nią padło. Ma już poparcie Roberta Biedronia. A i on zapewne ma pokusę zostania lokatorem Pałacu Prezydenckiego.

eprasa.pl 1bb409c74f

Inny kandydat na głowę państwa, Szymon Hołownia, zapewne nie przypadkiem w święto 1 listopada pisał do fanów na Facebooku: „Polsko–polska wojna jest już wszędzie. Dlaczego nie mielibyśmy poobkładać się więc po łbach również na cmentarzu? Walczymy na słowa, na drzewce od transparentów, otwórzmy więc nowy front: polski i katolicki plastik oraz stearyna vs. lewackie kwiaty cięte i mniej na grobie niż więcej". Trzeba przyznać, brzmi to jak fragment wyborczego wiecu.

PANOPTIKUM CHĘTNYCH

Są jeszcze Małgorzata Kidawa-Błońska i Władysław Kosiniak-Kamysz, a do niedawna upatrywano także prezydenckiej charyzmy u Aleksandry Dulkiewicz, Adama Bodnara i senatora Tomasza Grodzkiego. Zapewne jeszcze objawi się lista nowych gwiazd. Nie zdziwię się, gdy zgłosi się Jerzy Owsiak czy Kuba Wojewódzki. Nie wykluczam pielgrzymek do Milanówka fanów Krystyny Jandy z prośbą, by zechciała zostać „prezydentką", zwłaszcza że kandydatury swojej odmówiła inna „VIP-ka", noblistka Olga Tokarczuk, tłumacząc się brakiem czasu z powodu pisania mowy noblowskiej.

W „Ostatnim śniadaniu mistrzów" w programie TVN24 u Marcina Mellera Magdalena Rigamonti na poważnie rozpatrywała kandydaturę Szymona Hołowni. Stanęło na tym, że może mieć on problem w zebraniu 100 tys. podpisów. W Radiu Tok FM Jacek Żakowski ze swoją – jak sam ją nazywa – „trzódką" nie protestował, gdy Tomasz Wołek jednak od razu uznał, że kandydatura Hołowni to bzdura. I z egzaltacją pensjonarki, na okrągło, zachwycał się wystąpieniem marszałka Tomasza Grodzkiego, którego orędzie – co prawda na razie tylko senatorskie – „rozświetliło polityczną scenę". Red. Żakowski podzielał entuzjazm kolegi, wyrażając nadzieję, że nowy marszałek „zdepolaryzuje polityczną scenę". Od siebie dodam, że nawet dla ludzi od LGBT to pewna pociecha. Nie ma już Grodzkiej, ale za to jest Grodzki. Dobra psu i mucha.

Jednak red. Lis uciął gwałtowne wybuchy akceptacji nowego polityka i infantylny zapał kolegów. Ostrzegł, by nie przypominali nastolatków, którzy co miesiąc w kim innym się zadurzają, i wycelował swoją procę w stronę prezydenta Andrzeja Dudy. Uznając, że „zredukował prezydenturę do kategorii mema". Nie wiem, czy redaktor nie naruszył tu zapisów konstytucyjnych („Konstytucja!", „Konstytucja!") o godności głowy państwa. Mogliby to zbadać prawnicy, choćby z KRRiT (chodzi o audycję z 14 listopada tego roku pt. „Poranek w Radiu Tok FM", wypowiedź między godz. 8.00 a 9.00).

SIEROTY PO TUSKU

Maskotka Donalda Tuska, nieustający pogromca prezydenta Andrzeja Dudy, temat do końca wyłożył wcześniej we wstępniaku na trzech kolumnach „Newsweeka", w rozprawie pod tytułem: „Wybór Tuska". Opisał, jak przez ostatnie lata nasłuchiwał oddechu szefa Rady Europejskiej. Jak badał i czytał jego różne dymne znaki: „Czasem niewiele było trzeba. Krótki, jednozdaniowy celny wpis na Twitterze, niekiedy raz na wiele tygodni". Innym razem nastawiał ucha, gdy ten wychodził z politycznej bańki i przemawiał do ludzi w realu, składał kwiaty przed pomnikiem Piłsudskiego koło Belwederu albo z okazji święta Konstytucji 3 maja wygłaszał mowę na Uniwersytecie Warszawskim. Tamten pamiętny wiosenny show ukradziony przez Leszka Jażdżewskiego Lis nazwał „podłożoną nogą". Bardzo musiał przeżyć ówczesną kompromitację Donalda. Od dawna panowie są przecież w familiarnej zażyłości. Na osłodę redaktor opisuje czytelnikom brukselskie spotkanie sprzed kilku miesięcy. Jak to szef Rady Europejskiej pokazał mu po przeprowadzce, w nowym biurze przylegającym do siedziby, taras, zdradzając: „Z żadnego miejsca w Brukseli nie ma takiego widoku jak stąd". Czy więc ktokolwiek byłby gotowy, a więc i Tusk, poświęcić ten cudowny widok i stałe spotkania z politykami świata: Obamą, Merkel, Macronem, Trumpem, Trudeau i Xi, na rzecz przaśnych i niesmacznych utarczek z politykami PiS – pytał retorycznie i z pełnym zrozumieniem red. Lis.

Mniej sentymentów wykazała redakcja „Polityki", zastanawiając się już na okładce „Kto za Tuska?". We wstępniaku rozczarowanie nagłą decyzją lidera PO okazał red. Jerzy Baczyński. W felietonie „Bez Tuska" przywołał bezlitośnie opinię prof. Andrzeja Rycharda, że „to nie Tusk zrezygnował, ale z niego zrezygnowano". Tygodnik, opisując, jak opozycja wybiera rywala dla Dudy, zauważył, że ten, kto potrafiłby przerwać złą passę przegranych i wygrałaby wybory, „stałby się od razu megaliderem i zastąpiłby Tuska na lata w roli głównego politycznego oponenta Jarosława Kaczyńskiego i jego drużyny". „Polityka" od lat sekundowała i zagrzewała Tuska w jego politycznych bojach. Do historii przeszła głośna okładka z zawołaniem „Tusku, musisz!". Ale teraz już koniec. Wieloletnia redaktor Janina Paradowska, która była stałą wielbicielką premiera z Gdańska, chyba nie przeżyłaby jego obecnej panicznej ucieczki przed kolejnym wielkim zwycięstwem.

BUKIET RÓŻ ZAMIAST ODPOWIEDZI

W 2014 r., podczas krótkiej wizyty w Gorzowie, przejazdem w drodze ze Szczecina do Zielonej Góry i Żagania, premier Donald Tusk zatrzymany został na bulwarze przez młodzież z gorzowskiego II LO: „Dlaczego udaje pan patriotę, a jest zdrajcą Polski?" – zapytała nieoczekiwanie 17-letnia Maria Sokołowska. Zaskoczony polityk nie potrafił odpowiedzieć, więc zażartował, uznając, że dziewczyna ma poczucie humoru. I podarował jej bukiet kwiatów. Dziewczyna prezentu jednak nie przyjęła, a jej pytanie zawisło w próżni na kolejne lata.

W 2005 r. Donald Tusk w książce „Solidarność i duma" przygotowanej na kampanię prezydencką, we wstępie pisał: „Pisanie nie jest moją pasją. Polska jest moją pasją. Jeśli brzmi to pretensjonalnie, nic na tonie poradzę – tak jest". Co dziś jest pasją Donalda Tuska? Czy na pytanie licealistki z 2014 r. szef Rady Europejskiej już zna odpowiedź? Czy po raz wtóry, reagując na nie, wręczy nam bukiet róż?

eprasa.pl 1bb409c74f

Bój o młode pokolenie



Parlament Europejski domaga się od Polski wprowadzenia do szkół kompleksowej edukacji seksualnej. Rzecz w tym, że taka edukacja prowadzona jest w polskich szkołach od 21 lat

Fot. Shutterstock



DOROTA ŁOSIEWICZ

14 listopada 471 europosłów zagłosowało za przyjęciem rezolucji krytykującej projekt ustawy przygotowany przez Ordo Iuris „Stop pedofilii", którego celem jest ochrona dzieci przed nadmierną seksualizacją i czynami pedofilskimi. Projekt jest obywatelski, nie rządowy, czego eurodeputowani nie raczyli zauważyć. Rezolucja nie tylko zawiera wiele nieprawdziwych informacji o projektowanych przepisach, lecz także PE zaapelował, aby polski parlament wstrzymał się od przyjęcia proponowanego projektu ustawy oraz „zapewnił młodzieży dostęp do kompleksowej edukacji seksualnej". Warto dodać, że współautorem projektu rezolucji był europoseł partii Wiosna Robert Biedroń. Według Ordo Iuris za „»kompleksową edukację seksualną« europarlament uznaje jedynie tę opierającą się o standardy edukacji seksualnej w Europie opracowane przez Europejskie Biuro Regionalne Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) oraz niemieckie Federalne Centrum Edukacji Zdrowotnej (preambuła rezolucji). W dokumencie zarzuca się Polsce nieprzestrzeganie tych standardów. Tymczasem koniecznie trzeba podkreślić, że nie są one w żaden sposób prawnie wiążące". Faktycznie, szkolna edukacja seksualna prowadzona jest obecnie w większości krajów europejskich, ale jej podstawy aksjologiczne nie wszędzie są takie same.

EDUKACJA SEKSUALNA TYPU A I B

– Mamy najlepszą edukację seksualną w Europie, a może nawet na świecie. Na pewno najbardziej skuteczną – twierdzi Teresa Król, konsultant wychowania do życia w rodzinie (WDŻ). W latach 1998–2001 Król była zatrudniona w resorcie edukacji kierowanym przez ministra Mirosława Handkego i pełniła funkcję głównego wizytatora oraz przewodniczącej zespołu opiniodawczo-doradczego ds. wdrażania zajęć WDŻ, które z niewielkimi zmianami funkcjonują do dziś. – Mam nadzieję, że przed naciskiem PE obroni nas konstytucja, która

eprasa.pl 1bb409c74f

gwarantuje rodzicom prawo do wychowania dzieci w duchu głoszonych przez nich wartości – dodaje Król.

– Przypomnę, że ideałem klasycznego liberalizmu jest negatywna koncepcja wolności, czyli „wolność od", w tym od nacisku państwa. Tak więc liberałowie coraz dalej odchodzą od swoich założeń i korzeni – mówiła dr Justyna Melonowska z Akademii Pedagogiki Specjalnej, komentując rezolucję PE, która była moim gościem na antenie telewizji wPolsce.pl.

Eurodeputowani powinni wiedzieć, że w polskich szkołach od 1998 r. realizowany jest przedmiot „Wychowanie do życia w rodzinie" dla wszystkich uczniów w wieku 11–18 lat. Głównym celem nauczania tego przedmiotu jest przygotowanie młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie oraz wychowanie do przedmałżeńskiej abstynencji seksualnej. Nie propaguje się antykoncepcji, ale duży nacisk kładzie się na ekologię płodności i naturalne planowanie rodziny. Uczniowie otrzymują podstawową wiedzę dotyczącą rozpoznawania okresów płodnych i niepłodnych w cyklu kobiecym. Jest to tzw. edukacja seksualna integralna, typu A, która podkreśla aspekt wychowawczy, uwzględnia wszystkie sfery człowieka: fizyczną, psychiczną, społeczną, duchową i etyczną.

Na jej drugim biegunie stoi integracja seksualna permisywna, typu B, proponowana i promowana przez środowiska liberalne, realizowana np. w Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Szwecji. W tym modelu człowiek ma prawo do realizacji swoich potrzeb seksualnych, nawet jeśli nie zamierza wchodzić w relację małżeńską. Aby jednak zaspokajanie potrzeb seksualnych było bezpieczne, przekazuje się wiedzę na temat antykoncepcji i chorób przenoszonych drogą płciową. Ten typ edukacji koncentruje się więc na sferze biologicznej, zakłada całkowitą swobodę w sferze seksualności.

Innymi słowy, edukacja seksualna typu A ma na celu ukształtowanie dojrzałego człowieka, odpowiedzialnego za swoje zachowania w sferze seksualnej, a edukacja seksualna typu B jest informacją techniczną, swoistym instruktażem, promocją permisywizmu seksualnego. Jednym z problemów WDŻ jest to, że media i politycy nie chcą zauważyć istnienia tej pozytywnej edukacji.

– Od zwolenników wprowadzenia w Polsce edukacji seksualnej typu B często słyszymy, że polskie dzieci nie dowiadują się, jak np. ochronić się przed pedofilami oraz o tym, że ciąża jest wynikiem aktu seksualnego między mężczyzną i kobietą. To nieprawdziwa argumentacja – mówi Teresa Król. – Permisywizm polega na tym, że kładziemy nacisk na korzystanie z przyjemności bez ponoszenia konsekwencji. Już nawet dzieci próbuje się wprowadzać w sferę seksualności. Tylko pytanie, kto weźmie odpowiedzialność za skutki takiej przedwczesnej seksualizacji? Chyba nie edukator seksualny, który w sposób nieuprawniony wejdzie do klasy, tylko dziecko i rodzice – dodaje ekspertka.

– Seksualność w edukacji integralnej jest zanurzona w ludzkiej naturze. Można oczywiście skoncentrować się wyłącznie na aspektach technicznych, jak jest w edukacji typu B, ale nie jest to ruch w górę, tylko ruch w dół, w kierunku animalizacji człowieka – mówi dr Justyna Melonowska z Akademii Pedagogiki Specjalnej. – Chciałabym podkreślić wątek, który jest całkowicie pomijany w dyskusji na temat edukacji seksualnej. Chodzi mi o erotyzm. Istotą erotyzmu jest pewnego rodzaju niespełnienie, dążenie. Erotyzm istnieje tam, gdzie mamy pewnego rodzaju niedopowiedzenie, gdzie pewna sfera jest zasłonięta, gdzie jest tajemnica. Im więcej tego permisywnego podejścia do edukacji seksualnej, tym bardziej jesteśmy z tego erotyzmu odzierani i w gruncie rzeczy tępi seksualnie. W tym sensie WDŻ pozwala ocalić erotyzm, który zanika – podkreśla dr Melonowska.

EDUKACJA, SEKS I KONSEKWENCJE

Eksperci reprezentujący europejski oddział WHO oraz Federalne Centrum Edukacji Zdrowotnej (BZgA) – autorzy wydanego w 2010 r. w Kolonii dokumentu „Standardy edukacji seksualnej w Europie" (Standards for Sexuality Education in Europe) – postulują, aby permisywny model edukacji seksualnej uznać za wzorcowy dla wszystkich krajów. Czy jednak powinno się tak stać? By odpowiedzieć na to pytanie, warto porównać dane dotyczące zachowań seksualnych młodzieży w krajach realizujących program edukacji seksualnej budowany na odmiennych założeniach aksjologicznych. Czy edukacja seksualna typu B faktycznie prowadzi do obniżenia liczby nieplanowanych ciąż wśród nastolatek i czy wpływa na spadek poziomu aborcji?

Spójrzmy na dane z czterech krajów europejskich: z Polski – w której realizowany jest program edukacji seksualnej typu A – o charakterze „proabstynencyjnym i „prorodzinnym", oraz ze Szwecji, Wielkiej Brytanii i Niemiec – czyli krajów o rozwiniętej edukacji

Charakterystyki zachowań seksualnych nastolatków w wybranych krajach europejskich (2017 r.)

Lp.	Wyszczególnienie		Polska	Szwecja	Wielka Brytania	Niemcy
1	Odsetek nastolatków z inicjacją seksualną w wieku 15 lat (w proc.)	Chłopcy	16	26	18	19
		Dziewczęta	18	24	23	22
2	Liczba żywych urodzeń na 1000 nastolatek w wieku 15–19 lat		10,9	4,3	12,6	8,0
3	Liczba legalnie przeprowadzonych aborcji na 1000 nastolatek w wieku 15–19 lat		0,02	13,3	13,1	3,8
4	Udział aborcji dokonanych przez nastolatki w wieku 15–19 lat w ogólnej liczbie aborcji (w proc.)		1,7	9,2	12,4	7,5
5	Liczba legalnie przeprowadzonych aborcji na 1000 żywo urodzonych dzieci przez nastolatki w wieku 15–19 lat		1,8	3035,1	1048,4	482,9

opr. Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka

eprasa.pl 1bb409c74f

permisywnej typu B. Do przeprowadzenia analizy wykorzystano wyniki zaczerpnięte z oficjalnych źródeł statystycznych.

Z danych wynika, że częstotliwość występowania tzw. ryzykownych zachowań seksualnych (bardzo wczesnej inicjacji seksualnej, przerywania ciąży) jest wśród polskich nastolatków mniejsza niż wśród ich rówieśników w krajach, w których realizowany jest program permisywnej edukacji seksualnej. Warto zwrócić uwagę na informację o relatywnie wysokiej w Polsce – w porównaniu ze Szwecją i Niemcami – częstotliwości urodzeń dzieci przez nastoletnie matki. Przeważającą część tych matek stanowią kobiety wprawdzie bardzo młode, ale w świetle prawa pełnoletnie (18- i 19-latki), z których pewna część jest już zamężna. Macierzyństwo w bardzo młodym wieku nie zawsze więc oznacza samotne rodzicielstwo. Warto również zwrócić uwagę na informacje dotyczące przerywania ciąży przez nastolatki. Różnice między Polską a innymi krajami europejskimi są w tym zakresie uderzające. Zarówno wskaźnik przerwań ciąży przez dziewczęta w wieku 15–19 lat, jak i udział przerwań ciąży przez nastolatki w ogólnej liczbie legalnie dokonanych aborcji jest w Polsce od wielu lat znacząco niższy niż w pozostałych krajach. Wyraźnie widać więc, że realizacja edukacji seksualnej typu B nie eliminuje problemu nieplanowanych ciąż i aborcji u nieletnich, nie zabezpiecza też skutecznie przed chorobami przenoszonymi drogą płciową. Zdecydowanie lepsze wyniki przynosi w tym zakresie realizowany w naszym kraju program „Wychowania do życia w rodzinie", czyli edukacja seksualna typu A.

– W Szwecji edukacja seksualna typu B obowiązuje od 50 lat. Jednak gdy spojrzymy na dane, okazuje się, że w tejże Szwecji, na której tak chętnie chcieliby się wzorować niektórzy polscy posłowie czy liberalni dziennikarze, trzykrotnie więcej jest ciąż wśród nastolatek, które kończą się aborcją niż w Polsce. Wyniki tej edukacji wcale nie są dobre – nie ma wątpliwości Teresa Król.

Na takim stanowisku stanęła także senacka komisja rodziny, polityki senioralnej i społecznej w IX kadencji Senatu, która wypowiedziała się we wrześniu tego roku w sprawie nauczania przedmiotu „Wychowanie do życia w rodzinie": „Komisja pragnie podkreślić, że zajęcia wychowania do życia w rodzinie służą osobistemu rozwojowi młodego człowieka, akceptacji przemian okresu dojrzewania, przyjęciu integralnej wizji seksualności oraz kształceniu umiejętności obrony własnej sfery intymnej. Istotnym elementem nauczania tego przedmiotu jest także przygotowanie uczniów do przyszłego życia małżeńskiego i odpowiedzialnego rodzicielstwa". Senatorowie podkreślili jednocześnie m.in. konieczność lepszej współpracy nauczyciela WDŻ z dyrekcją szkoły, radą pedagogiczną i rodzicami oraz konieczność uruchomienia kampanii promującej szanujące prawa rodziców wychowanie prorodzinne w szkołach, z uwagi na jego pozytywny wpływ na postawy i zachowania uczniów.

> Edukacja seksualna typu A ma na celu ukształtowanie dojrzałego człowieka, odpowiedzialnego za swoje zachowania w sferze seksualnej, a edukacja seksualna typu B jest swoistym instruktażem tzw. bezpiecznego seksu

EDUKACJA I RZĄD DUSZ

Dlaczego więc tak wielu środowiskom może zależeć na zmianie polskiego modelu edukacji seksualnej?

– Tu idzie walka o młode pokolenie i o dzieci, o to, kto je zawłaszczy, o rząd dusz po prostu – twierdzi Teresa Król. – Polskim liberałom, którym zależy na wprowadzeniu edukacji seksualnej typu B, przyświeca chęć przebudowania społeczeństwa. A to odbyłoby się ze szkodą dla szczęścia człowieka, dla jego realizowania się w rodzinie, w macierzyństwie, w ojcostwie – dodaje.

– Liberalny kurs w edukacji uważa za niepożądaną wszelką frustrację. A frustrację można zmniejszyć, np. w ten sposób, by dostarczyć człowiekowi to, czego chce. Nasi oponenci, liberałowie, to w gruncie rzeczy dobrzy ludzie, którzy nie chcą, by inni się frustrowali. Nie lubią oni widoku człowieka, który pragnie czegoś i nie może tego mieć – tłumaczy intencje środowisk liberalnych dr Melonowska. – Spójrzmy jeszcze na inny aspekt i na dokumenty WHO, które od strony dialektycznej są niezwykle słabe. Przewija się tam jeden zasadniczy motyw „Kultura jest, jaka jest, więc dostosujmy dziecko do kultury". Tymczasem zdaniem konserwatystów lepiej czynić świat i kulturę odpowiednim środowiskiem dla wychowania młodego człowieka – wyjaśnia dr Melonowska.

Ciekawej odpowiedzi na pytanie o to, komu opłaca się permisywna edukacja seksualna, udziela Monica Cline, była edukatorka seksualna Planned Parenthood, wyszkolona przez tę organizację i współpracująca z nią przez 10 lat. W tekście opublikowanym w tym roku na WashingtonExaminer.com twierdzi ona, że edukacja jest ułożona tak, aby promować rozwiązłość i robić z dziewczynek klientki klinik aborcyjnych. O programie edukacji seksualnej, który prowadziła, pisze tak: „To idealne narzędzie do promowania zmian społecznych przez nawoływanie młodzieży do rozwiązłości seksualnej i aborcji. To idealny biznesplan na pozyskanie długoterminowego klienta, w dodatku wspierany przez rząd i osłonięty płaszczykiem prewencji przeciw wirusowi HIV". Była seksedukatorka pyta, w jaki sposób przechodzimy od haseł planowania rodziny i zdrowia do ryzykownych zachowań seksualnych i aborcji? I odpowiada sobie sama: przez permisywną edukację seksualną właśnie.

Takiej przyszłości chcemy dla naszych dzieci?

eprasa.pl 1bb409c74f

SIECI

SUKCESY XX-lecia międzywojennego

1918–1939



odc. 11 Życie codzienne

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/1bb409c74f



Dorobek II Rzeczypospolitej mierzony jest skalą problemów, z którymi borykało się społeczeństwo

Z dr. Mikołajem Mirowskim, historykiem z Muzeum Historii Polski, autorem tomu rozmów pt. „Piłsudski (nie)znany. Historia i popkultura", rozmawia Maciej Wolny

Jakie zmiany dla codzienności Polaków przyniósł rok 1918?

Mikołaj Mirowski: Odzyskanie niepodległości przyniosło konkretne zmiany dotyczące np. pakietu socjalnego. Zawierał się w nim ośmiogodzinny czas pracy, ubezpieczenie społeczne, prawo do strajku czy możliwość tworzenia związków zawodowych, zasiłki chorobowe i prawa dla lokatorów. Wcześniej tego nie było, ponieważ zaborcy nie byli zainteresowani tworzeniem takich udogodnień dla Polaków. To był także lewicowy dekalog PPS, a zarazem najlepsza szczepionka przeciwko komunistycznej rewolucji, którą chcieli w Polsce wywołać bolszewicy do spółki z polskimi komunistami. Należy pamiętać, że wiele elementów życia społecznego było uwarunkowanych sytuacją ekonomiczną kraju, a ta na początku nie była najlepsza. Państwo mierzyło się z trzema podstawowymi wyzwaniami – najważniejszym z nich było scalenie trzech organizmów ekonomicznych w jeden. Było to niezwykle trudne. Wielu uznanych ekonomistów wręcz twierdziło, że to się nie uda. Pamiętajmy, mieliśmy do czynienia z wieloma czynnikami – jak odmienna waluta, infrastruktura, różnice prawne, wreszcie powiązania gospodarcze i rynek wewnętrzny, który wcześniej zespolony był z państwami zaborczymi. II RP mierzyła się również z analfabetyzmem, który sukcesywnie próbowano ograniczać. Istnieje mit, że to PRL zwalczyła analfabetyzm i po części jest to prawda, jednak ta walka i pierwsze efekty to właśnie okres XX-lecia międzywojennego. Kolejnym problemem tuż po 11 listopada 1918 r. był brak ustalonych granic. Polska w okresie od roku 1918 do 1920 to państwo wciąż w ogniu zmagań militarnych, co nie mogło ułatwiać codziennego życia Polakom.

Odradzały się najważniejsze ówcześnie polskie miasta – Warszawa, Wilno, Lwów, Kraków czy Poznań. Jak się żyło ich mieszkańcom?

Miasta były bardzo biedne. Trzeba pamiętać, że terytorium Polski było terytorium frontowym. Pierwsze lata funkcjonowania w aglomeracjach odradzających się po I wojnie

eprasa.pl/1bb409c74f

światowej, która przyniosła na naszym terenie ogromne straty, to przede wszystkim problemy z podstawowymi produktami. Brakowało żywności czy środków higienicznych, a przede wszystkim kapitału, by te problemy rozwiązywać na bieżąco. Brakowało również mieszkań, co skutkowało przeludnieniem i wzrostem bezdomności. Jednak mimo tych bolączek i tak mieszkańcom większych miast żyło się zazwyczaj lepiej niż tym, którzy zamieszkiwali prowincję.

Jak wyglądało to w przypadku mniejszych miejscowości i wsi? Czy rozwój był równomierny?

Wykrystalizował się podział na Polskę A i Polskę B, gdzie biedniejszymi regionami były Kresy. Składało się na to kilka czynników: mniejsza urbanizacja, gorsza infrastruktura kolejowa, szwankująca komunikacja. Enklawą biedy była również Galicja, co przełożyło się na popularne jeszcze pod zaborami stwierdzenie o galicyjskiej biedzie. W Krakowie żyło się oczywiście lepiej, ale miejscowości wokół były w bardzo złej sytuacji. Najlepiej natomiast rozwijały się te tereny, których ekonomiczny rozwój nastąpił w okresie zaborów, czyli Królestwo Kongresowe, a przede wszystkim Wielkie Księstwo Poznańskie z okolicami, które było najlepiej zurbanizowane i najnowocześniejsze np. pod względem sieci kolejowej.

Jaka była skala przestępczości w II RP? Czy mieszkańcy mogli się czuć bezpiecznie?

W zasadzie przez całe XX-lecie międzywojenne jedną z poważniejszych bolączek była przestępczość. Największa jej fala nastąpiła w okresie tzw. wielkiego kryzysu 1929–1935. Plagą były rabunki i rozboje. Daleko im było to tego, co

Bal u Grubego Joska



Proces Rity Gorgonowej przed Sądem Okręgowym w Krakowie

Fot. NAC x3

Jednymi z najchętniej czytanych artykułów w międzywojennych „czerwoniakach", czyli popularnych brukowcach, były doniesienia zarówno z frontu policyjnej walki z przestępczością, jak również relacje z najgłośniejszych procesów sądowych. Na miano najsłynniejszego zasłużyła sprawa Rity Gorgonowej. Z pochodzenia Chorwatka, pod koniec I wojny światowej trafiła wraz z mężem do Lwowa. Ostatecznie małżeństwo się rozpadło, a Gorgonowa związała się z inżynierem Henrykiem Zarembą. Na początku lat 30. romans zaczął dogasać, a Zaremba postanowił się wyprowadzić ze swoimi córkami z willi w podlwowskich Brzuchowicach. W przeddzień rozstania starsza pasierbica Gorgonowej Lusia została znaleziona zamordowana w swoim łóżku. O zbrodnię oskarżono macochę – wszystkie poszlaki wskazywały właśnie na nią. Po rozpalającym do czerwoności opinię publiczną procesie Gorgonowa została skazana na karę śmierci, którą później zamieniono na osiem lat więzienia. Oskarżona nigdy nie przyznała się do winy, a bronili jej najsłynniejsi międzywojenni adwokaci, mający wówczas status nieomal celebrycki – Maurycy Axer i Mieczysław Ettinger. W II RP można było zrobić prawdziwą przestępczą karierę. Problemy młodej demokracji, różne systemy prawne na różnych polskich ziemiach, organizacyjny chaos w tworzących się służbach porządkowych i trudna sytuacja ekonomiczna dawały szanse typom spod ciemnej gwiazdy na wykazanie się zaradnością. Ich poczynania można było śledzić na łamach m.in. „Tajnego Detektywa", obrazoburczego tygodnika wydawanego przez medialny koncern Mariana Dąbrowskiego. Wśród posługujących się swoistym kodeksem honorowym złodziei (nie okradać kobiet w ciąży i sąsiadów!) postacią wyróżniającą się był słynny Szpicbródka, znany w warszawskich elitach kasiarz, którego brawurowe napady na banki posłużyły za inspirację dla Juliusza Machulskiego do napisania scenariusza filmu „Vabank". Nielegalną działalnością, przede wszystkim przemytem i rozbojami na Kresach Wschodnich, parał się Sergiusz Piasecki, który dziś znany jest przede wszystkim jako genialny pisarz, autor opisującego trudny los przemytnika „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". W II RP istniały też zorganizowane grupy przestępcze. Dwie z nich, działające w Warszawie, prowadzili działacze Polskiej Partii Socjalistycznej – Łukasz Siemiątkowski „Tata Tasiemka" miał w pewnym czasie pełną kontrolę nad Kercelakiem, największym targowiskiem w stolicy, a Judeł Łokieć „Józef Łokietek" był nieomal mafijnym królem związków zawodowych. Obaj z pewnością nie raz zawitali w progi najbardziej znanej meliny Warszawy, czyli knajpy u Grubego Joska na Gnojnej, gdzie „zbierał się ferajny kwiat". Przez lata Podkarpacie terroryzowała grupa Marcina Panka i Franciszka Kosiora „Panicza", których ostatecznie dosięgło śmiertelne ramię sprawiedliwości. Grupą najbardziej zorganizowaną była wileńska „Bruderferajn" Saszki Lichtsteina i Arona Wójcika, do której w szczytowym momencie należeli ponoć wszyscy przestępcy w Wilnie. W statystykach przestępczości zaraz po Warszawie przodował Górny Śląsk, na którym działał jeden z najbardziej bezwzględnych międzywojennych przestępców, Nikifor Maruszeczko „Florek". Do miejscowego śląskiego folkloru trafiły opowieści o bandach Hajoka, Górki czy Siwca, którego siostra, „Piękna Zośka", była prawdziwym Alem Capone w spódnicy.

Michał Muzyczuk

eprasa.pl/1bb409c74f

możemy zobaczyć w filmie „Halo, Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy" albo w „Vabanku". Realność to brutalny półświatek dobrze ukazany w serialu „Kariera Nikodema Dyzmy". W dużych aglomeracjach policja dodatkowo borykała się z prostytucją i sutenerstwem, na terenach pogranicza ścigała przemytników.

Okres międzywojnia był czasem ogromnego entuzjazmu, w co wpisywał się rozkwit życia towarzyskiego. Jak bawili się wtedy Polacy?

Entuzjazm i zabawa dotyczyły przede wszystkim dużych miast. Tam kwitło życie towarzyskie, bardzo popularne były kabarety. Słynna z licznych bankietów była warszawska restauracja Adria, która stała się miejscem legendarnym, podobnie jak najważniejsze miejsce spotkań inteligencji warszawskiej, czyli Kawiarnia Ziemiańska. Rozwijał się teatr, w kolejnych latach również kino. Takie rodzaje rozrywki robiły furorę, ale były przeznaczone przede wszystkim dla ówczesnych elit. Jedną z najbardziej barwnych postaci życia towarzyskiego w międzywojniu był generał Bolesław Wieniawa-Długoszowski. Tego typu urozmaiceń nie doświadczała jednak prowincja, nie doświadczała wieś. Oczywiście entuzjazm z odzyskania



Bal prasy w warszawskiej Adrii

niepodległości i chęć odbudowy państwa były ogromne. Większa część społeczeństwa bardzo mocno angażowała się w przeróżnych dziedzinach życia, mimo wielu trudności.

Pod koniec listopada 1918 r. w dekrecie o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego znalazły się zapisy dotyczące uznania praw wyborczych kobiet. Ich pozycja w stosunku do mężczyzn się umacniała?

Wprowadzenie biernego i czynnego prawa wyborczego dla kobiet było wielkim osiągnięciem, pionierskim względem Europy. W każdej kadencji parlamentu II RP zasiadały kobiety i mimo tego, że ta reprezentacja była skromna, to posłanki przyczyniły się do uchwalenia wielu ważnych ustaw regulujących kwestie społeczne. Jednak formalna równość praw kobiet nie dotyczyła wielu sfer życia publicznego. Rola kobiety była często sprowadzana do bycia matką i opiekunką domowego ogniska. Istniały również lokalne prawa, które wchodziły w sprzeczność z ustawodawstwem krajowym. Najbardziej widoczne było to na Górnym Śląsku. Mieliśmy tam tak zwaną ustawę celibatową (dotyczącą rozwiązania stosunku pracy przez nauczycielkę wskutek zawarcia przez nią związku małżeńskiego) i silny nacisk na tradycyjną rolę kobiety w społeczeństwie. Prędzej czy później te różnice by się wyrównywały, jednak krótki okres trwania II RP nie dał na to szansy.

Jakie było podejście do relacji damsko-męskich? Panował sztywny gorset obyczajów, czy może w tamtym czasie został poluzowany?

Wraz z latami to się zmieniało i szło niewątpliwie w parze z podejściem do roli kobiety w społeczeństwie. Dominował model konserwatywny, który był silnie zakorzeniony przede wszystkim w mniejszych miejscowościach czy na wsi. Natomiast inaczej sprawa się miała w miastach. Warszawę nazywano Paryżem Północy. Najbardziej liberalne w kwestiach relacji damsko-męskich były elity kulturalne II RP czy sfery polityczne. Trzeba pamiętać, że inaczej te relacje wyglądały też w mniejszościach narodowych. W ortodoksyjnej rodzinie żydowskiej kobieta była podległa mężczyźnie. Mniejszość ukraińska również charakteryzowała się dosyć mocnym konserwatyzmem.

Rozwijające się społeczeństwo potrzebuje sprawnego transportu. Czym poruszali się Polacy w XX-leciu międzywojennym? Jakie rodzaje transportu zyskiwały popularność, a które były przywilejem elit?

Przywilejem elit bezsprzecznie był samochód. Tylko najbardziej zamożni obywatele mogli sobie pozwolić na tego typu transport. W miastach większość mieszkańców poruszała się dorożkami, były tramwaje, a na prowincji dominowała podróż konno. Z wolna i z mozołem rozwijała się kolej. Było to pokłosiem różnego zaawansowania infrastruktury na terenach trzech zaborów i podstawowym zadaniem było ujednolicenie sieci kolejowej. Zniszczenie linii kolejowych przede wszystkim na wschodzie było ogromne. Symbolem luksusu i sukcesu gospodarczego II RP był słynny pociąg Luxtorpeda. Na pokładzie mogło znajdować się około 80 osób i był to niewątpliwie komfortowy środek transportu tamtych czasów. Gdyby porównać czas przejazdów na poszczególnych trasach do dzisiejszych, to moglibyśmy się zdziwić, gdyż momentami jest on podobny, a nawet lepszy! Mimo że Luxtorpeda była wyjątkiem na tle innych, gorszych taborów to pod koniec lat 30. kolej była synonimem sukcesu. Zgodnie z rozkładem jazdy można było ustawiać zegarki, opóźnienia się praktycznie nie zdarzały.

Fot. NAC x3

eprasa.pl/1bb409c74f

Rewolucja „na chłopczycę”

Trendy w modzie ulegają nieustannym zmianom i nie inaczej było przed stu laty. Prawa wyborcze dla kobiet i ich emancypacja na wielu innych polach sprawiły, że również ubiór pań z lat 20. przeszedł swoistą rewolucję. Popularny był styl „chłopczycy”, czyli strój niepodkreślający kobiecych walorów, a raczej upodabniający się do męskich kanonów. Spódnice stały się workowate i krótkie, a na kobiecych głowach zaczęły królować krótkie fryzury. Niebagatelny wpływ na uczesanie miała barwna postać Antoniego Cierplikowskiego, uzdolnionego fryzjera z Sieradza, który już przed I wojną światową zrobił gigantyczną karierę w Paryżu, a w szczytowym momencie posiadał kilkadziesiąt zakładów na czterech kontynentach. To właśnie „król fryzjerów” wraz z projektantką Coco Chanel (nieśmiertelna mała czarna!) mieli za pośrednictwem strojów i fryzur największych filmowych gwiazd przemożny wpływ na kobiecą modę lat 20. i 30. W kobiecych strojach widać było zmiany nie tylko obyczajowe – miały być one wygodne i pozwalać np. na uprawianie sportu. Druga dekada niepodległości to powrót do kobiecości rozumianej w sposób romantyczny, podkreślanie talii, bardziej fantazyjne (choć przeważnie wciąż krótkie) fryzury i mnóstwo obowiązkowych dodatków, takich jak torebki, pończochy, kapelusze i rękawiczki. Te ostatnie były obowiązkowym elementem ubioru dystyngowanych mężczyzn, gdy ci we frakach i cylindrach wybierali się na wieczorne bale. Moda męska, jak zawsze zresztą, była mniej wymagająca, bo kanon, na który składa się ciemny garnitur i zadbana fryzura, obowiązuje przecież do dziś. Warto pamiętać, że międzywojnie to także fascynacja polską kulturą ludową, więc w latach 30. panie bardzo chętnie czerpały z wiejskich wzorców, a motywy florystyczne były wszechobecne. Inspiracje czerpano z pokazów mody, jakie odbywały się m.in. w cieszącym się wielką estymą Domu Mody Bogusław Herse na Marszałkowskiej, a także z pism skierowanych do kobiecej części społeczeństwa („Pani”, „Moja Przyjaciółka”). Jako że czasy były ciężkie, bogaci starali się nie epatować biżuterią, a biedni, chcąc dogonić wielkomiejskie trendy, sami szyli sobie ubrania na podstawie wykrojów z prasy. „Kupuj polskie” to wcale nie wymysł naszych czasów – jedwab z Milanówka czy len z Wilna były tkaninami najbardziej pożądanymi przez wszystkich, którym oprócz dobrego wyglądu zależało na dobrej kondycji polskiej gospodarki. Jak zawsze najmniej problemu z modą miały dzieci – obowiązkowym strojem chłopców i dziewczyn były naśladujące marynarski uniform mundurki.



Michał Muzyczuk



„Torpeda podhalańska” na dworcu kolejowym w Zakopanem

Gdzie Polacy wypoczywali w XX-leciu międzywojennym?

Tutaj ponownie możemy się odnieść do kwestii związanej z rozwojem ekonomicznym. Ówczesnymi kierunkami, które są aktualne również dzisiaj, są miejsca takie jak Zakopane czy Jastarnia. Nie były to jednak najsłynniejsze polskie kurorty. Bardzo popularny był leżący w okolicach Lwowa Truskawiec. Natomiast w województwie stanisławowskim znajdowało się „drugie Zakopane”, czyli słynna Worochta. Turystyka i wypoczynek były jednak zazwyczaj zarezerwowane dla zamożniejszych warstw społeczeństwa i w pewnym sensie również kojarzyły się z luksusem. Najbardziej obrazowo oddaje tamtą rzeczywistość literatura. Warto sięgnąć do „Kariery Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza czy „Przedwiośnia” Stefana Żeromskiego. Doskonale wtedy widać, jak ogromne kontrasty charakteryzowały społeczeństwo Polski w okresie międzywojnia.

Czy okres międzywojnia to jednoznaczny czas poprawy warunków życia Polaków? Czy może lata skrajnie rożnych obrazów ilustrujących polskie społeczeństwo?

To jest trudne pytanie, jednak wydaje się, że Polska sukcesywnie przezwyciężała lub przynajmniej starała się przezwyciężać problemy, których w tamtym czasie nie brakowało. Mamy tutaj dwa charakterystyczne obrazy. Z jednej strony biedę na prowincji, ubóstwo mniejszości, a z drugiej rozwijające się i prężnie działające miasta. Społeczeństwo musiało funkcjonować w czasie ogromnego sporu politycznego, który był początkowo spowodowany zabójstwem prezydenta Gabriela Narutowicza. Cztery lata później przychodzi zamach majowy, później kolejne dramatyczne wydarzenia – strajki, starcia z policją, niepokoje na Kresach i pacyfikacja wsi ukraińskich w latach 30. To wszystko towarzyszyło codziennemu życiu w ówczesnej Polsce. Wydaje się, że gdyby II RP miała szansę dalej istnieć, to pewnie pokonywałaby kolejne etapy rozwoju i pięłaby się w górę.

eprasa.pl/1bb409c74f



Ciasne, ale własne

Tłumy ludzi na ulicach i w budynkach, nawet kilka rodzin gnieżdżących się w jednym mieszkaniu, w wozach czy namiotach. Zabłocone, rzadko kiedy brukowane alejki, okrzyki handlarzy, przepełnione lokale gastronomiczne, piwiarnie i bary – to nie krajobraz miasteczka rodem z Dzikiego Zachodu, lecz realia przedwojennej Warszawy i jej mieszkańców

eprasa.pl/1bb409c74f

Rok 1918 nie był dla Polaków rokiem łatwym. Owszem, udało się odzyskać niepodległość, struktury państwowe powstawały szybko i sprawnie, jednak codzienność obywateli odrodzonej Polski była daleka od ówczesnych standardów europejskich. Należy pamiętać, iż Polska odzyskiwała wolność po ponad 120 latach niewoli w kajdanach trzech zaborców. Kraj był poddany wieloletniej rabunkowej gospodarce, a poza nielicznymi wyjątkami lekceważono inwestycje w infrastrukturę czy budownictwo. Dodatkowo na terytorium naszego kraju rozgrywał się dramat I wojny światowej – to spowodowało, iż znaczna część naszych ziem była zniszczona. Nie istniały fabryki, rolnictwo cierpiało wskutek kilkuletnich działań wojskowych, zabudowa cywilna także była w większości zniszczona przez intensywne walki i bombardowania. Polacy więc z jednej strony radowali się z odzyskania niepodległości, z drugiej musieli stawić czoła potężnym problemom utrudniającym zwyczajne codzienne życie.

II Rzeczpospolita nie była krajem zurbanizowanym. Według danych z roku 1931 w miastach mieszkało tylko 27,2 proc. Polaków (dziś odsetek ten to 60 proc.). W latach 1921–1931 odsetek ludności w miastach wzrastał raptem o 2,6 proc., a znakomita większość Polaków mieszkała na wsiach. Miasta już wtedy były przeludnione. Pamiętajmy, że koniec wieku XIX i początek XX to okres drastycznych zmian społecznych, wywołanych rewolucją industrialną i wejściem świata w okres nowej ery przemysłowej. Wielu ludzi szukało szczęścia w miastach, spodziewając się, iż to właśnie tam zdobędą fortunę lub przynajmniej stałe godziwe zatrudnienie. Niestety, zniszczenia wojenne powodowały, iż aglomeracje nie mogły sprostać oczekiwaniom stale napływającej ludności.



Fot. NAC x2

Codzienność – luksus, na który nie każdego stać

W II RP gigantyczne było społeczne rozwarstwienie. Najbogatszym, w tym politykom, wpadało do kieszeni po kilka tysięcy złotych miesięcznie, podczas gdy słabo wykwalifikowani robotnicy dostawali sto parędziesiąt złotych. Opłacało się być urzędnikiem, warto było także pomyśleć nad zrobieniem kariery naukowej, bo profesor mógł liczyć na tysiąc złotych na miesiąc. Robotnik fizyczny, jeśli chciał godziwie zarabiać, musiał podnosić swoje kwalifikacje np. w kierunku objęcia posady górnika. Niestety, pozycja kobiet nie była zadowalająca – panie dostawały około połowy pensji mężczyzny. Mieszkania przede wszystkim wynajmowano, a w gorszych dzielnicach w małych klitkach gnieździły się wielodzietne rodziny, nierzadko dzieląc lokum z sąsiadami. Gdy doliczyć do ceny wynajmu mieszkania (ok. 50 zł) koszty przejazdów tramwajem (bilet miesięczny ok. 20 zł), podstawowe wydatki na odzież (koszula ok. 10 zł, buty ok. 25 zł), artykuły higieniczne (mydło ok. 1 zł) czy jedzenie (kg mąki ok. 0,5 zł, 10 jaj ok. 1 zł), to okazuje się, że rodzina wykwalifikowanego robotnika zarabiającego 300 zł miesięcznie nie mogła sobie pozwolić na żadne luksusy, może poza kinem (bilety po parędziesiąt groszy) czy obiadem w taniej jadłodajni (za kilka złotych na rodzinę można było się i najeść, i napić). Do tego dochodziła wielka w porównaniu z dniem dzisiejszym dzietność – co roku w Polsce przybywało do pół miliona ludzi! O kupnie radia (ok. 200 zł), samochodu (od 4 tys. zł, a przecież trzeba było jeszcze wlewać benzynę po ok. 70 gr za litr – po fatalnych polskich drogach jeździło pod koniec lat 30. ponad 30 tys. samochodów i trzy razy mniej motocykli na ponad 30 mln mieszkańców!) czy zagranicznych wczasach (bilet lotniczy na zachód minimum 100 zł) można było jedynie pomarzyć. Gorzej zarabiało się na wschodzie Polski, czyli w tzw. Polsce B, gdzie rzesze rolników klepały biedę. Reasumując, życie chłopa i robotnika nie było usłane różami, za to pracownicy umysłowi czy administracja przeważnie nie miała na co narzekać. II RP to także czas wielkiego kryzysu, podczas którego szalało bezrobocie, zarobki spadły o ponad połowę, a milionom ludzi w oczy zajrzał głód. Oczywiście, Polacy jakoś sobie radzili – wymiana barterowa, przemyt czy pospolita przestępczość nie były niczym nadzwyczajnym. Położenie ekonomiczne niższych warstw społecznych było także jedną z przyczyn gigantycznych strajków i demonstracji, jakie targały przedwojenną Polską (wystarczy wspomnieć marsze bezrobotnych w okresie wielkiego kryzysu, robotniczą krwawą wiosnę 1936 czy chłopski strajk z 1937 r.).

Michał Muzyczuk

eprasa.pl/1bb409c74f



Problem niedostatecznej liczby mieszkań był bardzo poważny w II RP – w 1931 r. w Polsce żyły 32 mln ludzi, zaś mieszkań i domów było jedynie 6,4 mln. Najgorzej było w miastach takich jak Kraków, nie tylko niebędących w stanie sprostać oczekiwaniom już obecnych mieszkańców, lecz również uginających się pod naporem migracji z biedniejszych regionów. Z kolei w Warszawie przebywało w owym okresie 1,17 mln osób, jednak mieszkań było jedynie... 249 tys. Jak sobie w tej sytuacji radzono? Nasi rodacy jak zawsze zaskakiwali pomysłowością!

Rodziny znające się z jednej wsi często dzieliły skromne mieszkania. Niekiedy też krewni przyjmowali pod swój dach rodziny lub nawet... sąsiadów! Ale nie tylko. Na ulicach wkrótce zaroiło się od wozów – okazało się bowiem, iż w świetle prawa wóz może być miejscem zamieszkania, zaś służby w postaci policji nie miały prawa tego typu „domostwa" zarekwirować lub nakazać jego przeniesienia. Tym samym nasi rodacy znaleźli sprytny sposób na życie w wielkim mieście. To właśnie z tego okresu wzięło się powiedzenie, iż mieszkanie lub lokal jest ciasny, ale własny – według danych z 1931 r. w 200 tys. mieszkań mieszkało więcej niż 10 osób.

Same lokale także nie były najwyższej jakości – znacząca większość z nich była skonstruowana z drewna (60 proc.), zaś te budowle, które były murowane, systematycznie niszczały, głównie wskutek wieloletnich zaniedbań zaborców, niedbających o jakość życia Polaków. Mimo to nie sposób nie wskazać, iż istniały też dzielnice luksusowe, zamieszkane przez najzamożniejszych Polaków. W Warszawie imponowały takie miejsca jak plac Napoleona, na którym popularne było parkowanie automobili, podobnie jak ulica Trębacka, gdzie znajdowały się domy dochodowe teatrów. Jednak ten, kto pragnął luksusu, musiał opuścić Warszawę i udać się na przykład na Pomorze. W budującej się Gdyni synonimem przybytku była Kamienna Góra pełna modernistycznych, imponujących kamienic, zaś pobliski Sopot kusił zarówno uzdrowiskami, jak i życiem nocnym. Dość powiedzieć, iż renoma Grand Hotelu była tak duża, iż w okresie kampanii wrześniowej, gdy załoga gdyńskiej Kępy Oksywskiej jeszcze się broniła, obecny na Pomorzu Adolf Hitler obserwował walki właśnie z okien tego budynku.

Warunki mieszkaniowe w II RP nie były zbyt wysokie, ale pomysłowość naszych rodaków skutecznie pozwalała im się odnajdywać w nowej sytuacji. Mimo politycznych perturbacji każdy kolejny gabinet rządowy starał się podnosić warunki życia zwykłych Polaków, czego synonimem były rządy Sławoja Składkowskiego, którego program legendarnych sławojek mocno podniósł higienę życia na wsi. Wojenna zawierucha przerwała ambitne programy budowlane, zaś II wojna światowa spowodowała nowe zniszczenia, z których nasz kraj podnosił się jeszcze przez wiele lat.

Arkady Saulski



Grand Hotel i molo w Sopocie

Fot. NAC sz

eprasa.pl/1bb409c74f



Bal sylwestrowy w kasynie 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie. Po prawej klęczy gen. Bolesław Wieniawa-Długoszowski

Jak ułani baluj!

eprasa.pl/1bb409c74f

Wielkie bale sylwestrowe czy spotkania elit. Szalejące parkiety taneczne, kluby jazzowe czy małe lokale. Pięknie odziane damy i oficerowie wjeżdżający do restauracji konno. Tak – II Rzeczpospolita wiedziała, co to dobra zabawa

Nim Polska się odrodziła w 1918 r., Polacy stali się dla zaborców kłopotliwym balastem, obszar naszego państwa zaś pogardzanymi peryferiami. Wyraźnie się to odbijało na nastrojach naszych rodaków z tego okresu. Brutalne represje, cenzura i permanentna inwigilacja doprowadziły do sytuacji, w której Polacy nie używali życia. Zabawy, bale i radosne święta były w tym czasie domeną urzędników zaborczych mocarstw czy zdrajców, zwykłe społeczeństwo i patrioci tkwili raczej w stanie depresji. Nic dziwnego więc, że sytuacja się zmieniła po odzyskaniu niepodległości. Rok 1918 zapoczątkował nie tylko ponowne istnienie naszego państwa, lecz także okres szampańskiej zabawy, będącej słuszną reakcją na ponad sto lat marazmu.

Bodaj najbardziej symboliczną postacią dla okresu II Rzeczypospolitej jest wizerunek ułana. Ci legendarni kawalerzyści byli nie tylko wspaniałą kontynuacją konnych tradycji polskiego wojska, lecz także elitą nowej armii. Przystojni, wysocy i wspaniale umundurowani byli ideałem dla kobiet i niedoścignionym wzorem dla mężczyzn. Ci bohaterscy żołnierze potrafili zarówno doskonale walczyć, jak i znakomicie się bawić. Ułani, jak zgodnie potwierdzają relacje, w odróżnieniu od innych oddziałów nie przebywali w koszarach, lecz starali się funkcjonować jak najbliżej społeczeństwa. Częściowo po to, by pokazywać siłę nowo odrodzonego państwa, ale też dlatego, iż określenie „ułańska fantazja" nie było jedynie figurą retoryczną.

Nadawali oni ton polskim ulicom, dumnie przejeżdżając po nich na swoich doskonale zadbanych rumakach. W pełnym umundurowaniu byli bożyszczem kobiet, mężczyznom zaś imponowała ich waleczność i sprawność, również w piciu. Nasi kawalerzyści nie byli jednak prymitywnym żołdactwem, lecz dżentelmenami – oficerów widywano w teatrach, kawiarniach, restauracjach, klubach, na imprezach tanecznych oraz balach, ale potrafili oni się też bratać z niższymi warstwami społeczeństwa. Serdeczne spotkania ułanów z robotnikami w podlejszych lokalach nie należały do rzadkości. Do legendy przechodziły historie o tym, jak rzekomo ułani potrafili do lokalu wjeżdżać... konno.

We wspomnieniowej książce „Ułani, ułani. Wspomnienia, gawędy, opowieści" Grzegorz Cydzik pisze: „Nasi seniorzy, którzy byli kawalerami, twierdzili, że rasowy kawalerzysta winien cenić i wielbić trzy rzeczy na literę »k«: konia, koniak, kobietę. Poza tym trzeba było być »pistoletem«, czyli zdolnym do tańca, wypitki i różańca. Ten, kto stronił od kasynowych posiedzeń przy kielichu i toczonych tam pogawędek o »starych Polakach«, unikał życia towarzyskiego w tych cywilnych środowiskach, z którymi utrzymywaliśmy kontakty – nie był mile widziany i dobrze oceniany przez naszych seniorów pułkowych. Z ich oceną trzeba było bardzo się liczyć, gdyż ocena ta miała niemały wpływ na dalszą karierę młodego adepta sztuki wojennej". Tym samym ułani bawiący się w klubach i na balach skutecznie zbudowali legendę oficerów i dżentelmenów II RP.

Jednak nie tylko ułani potrafili się dobrze bawić. Także urzędnicy, ministrowie czy zwykli Polacy umieli docenić dobrą imprezę. Dawniej życie towarzyskie toczyło się wokół majątków i domków szlacheckich, jednak okres zaborów, zsyłki i represje sprawiły, iż w wolnej Polsce imprezy przeniosły się głównie do miast. Wtedy też rozwinęły się najbardziej znane restauracje, ka-



eprasa.pl/1bb409c74f

wiarnie i kluby. Serwowano tam głównie polskie dania (niezwykle popularne), jeśli zaś chodzi o alkohole, dominowały wódka i koniak. Popularne dziś piwo było produktem serwowanym rzadziej. To, co może szokować najbardziej, to to, że w owym okresie w lokalach powszechnie palono papierosy – szary tytoniowy dym unoszący się w powietrzu był znakiem rozpoznawczym dobrych imprezowni.

A same lokale? Do dziś legendą obrastają takie miejsca jak Adria – restauracja tak popularna, że klienci potrafili się włamywać do niej, gdy była zamknięta, i domagać obsługi. Innym miejscem cieszącym się sławą był hotel-sanatorium Patria w Krynicy-Zdroju – ten nowoczesny ośrodek był własnością Jana Kiepury. Doskonała obsługa, miejsce i nowoczesna architektura przyciągały gości z całej Europy. Północ Polski też miała swoje kultowe miejsca, choćby Klub Marynarki Wojennej „Riwiera" w Gdyni, którego częstym gościem bywał sam admirał Józef Unrug.

W klubach organizowano więc nie tylko prywatne uroczystości i przyjęcia, lecz również wielkie bale. Największe i najbardziej legendarne to te organizowane na sylwestra oraz 11 listopada, gdy świętowano odzyskanie przez Polskę niepodległości. Owe Bale Niepodległości gromadziły nie tylko polityczne, a potem sanacyjne elity, lecz także uczonych, wysokich rangą urzędników, artystów i gości zagranicznych. II RP była więc okresem, w którym nasz kraj mógł się cieszyć szampańską zabawą odbywającą się we wspaniałych lokalach. Choć tragedia II wojny światowej przerwała ten wielki bal, to pamięć o wspaniałych zabawach przetrwała do dziś i jest obecnie materią nieomal legendarną. Nasi rodacy sprzed lat umieli się bawić – a to także część prawdziwej historii naszego kraju.

Arkady Saulski

Zjedz i popij



Bal sylwestrowy w warszawskiej Adrii

Pokaż mi swój stół, a powiem ci, kim jesteś – taką prawdę z pewnością można odnieść do II RP. Najbogatsi stołowali się w wytwornych miejskich lokalach, którymi w Warszawie były chociażby Europejska, Bristol, Oaza czy Polonia Palace. W takich przybytkach na suto zakrapianym obiedzie bez większego wysiłku można było zostawić równowartość połowy miesięcznej pensji robotnika. Ale przecież robotnicy także mieli gdzie zjeść, bo każde miasto pełne było mniejszych knajp i jadłodajni, gdzie i za 50 gr można było spożyć smaczny i pożywny obiad. Z racji na większą lub mniejszą finansową mizerię towarzyszącą międzywojennej rzeczywistości gospodynie domowe musiały się niemało natrudzić, żeby wysupłać środki na zdobycie potrzebnych produktów spożywczych. Dlatego też przeciętne menu polskiej rodziny nie było skomplikowane i opierało się daniach mącznych i kaszach wzbogaconych kapustą, brukwią czy nawet różnego rodzaju chwastami, a mięso bynajmniej nie było stałym gościem polskich stołów. Wobec rutyny czy braku nowych pomysłów na ratunek przychodziły ekstremalnie poczytne książki kucharskie Lucyny Ćwierczakiewiczowej, której przepisy po dziś dzień rezonują w każdej polskiej rodzinie. Już wtedy popularna była dieta bezmięsna, a w Warszawie istniały restauracje wyłącznie jarskie. Ale przeważnie walory zdrowotne jedzenia przegrywały z jego aspektami smakowo-energetycznymi, tak więc często stosowano zasadę: im tłuściej, tym lepiej. Jakie dania były międzywojennymi smakołykami? O wiele więcej spożywano wtedy podrobów – wątróbki, cynaderki, płucka czy móżdżki jadano bardzo chętnie, nie mówiąc o prawdziwych flaczkach, podawanych z cielęcymi pulpetami i parmezanem. W ramach przystawek raczono się wszelkiego rodzaju śledziami, galaretami i grzybami. Wśród zup królowały rosół, pomidorówka i barszcz, a na Śląsku najbardziej klasyczny żur. Doceniano ryby (sandacz, szczupak, karp, karaś, lin) i inne wodne stworzenia, na czele z przepysznymi rakami i sprowadzanymi z Francji homarami. Wieprzowina, wołowina i cielęcina były najbardziej rozpowszechnione wśród mięs, choć swoich fanów mieli także zając i baran. Polacy z wielką chęcią sięgali po drób w postaci kaczek i gęsi, a także mniej dziś popularnych gołębi, kapłonów (wykastrowany kogucik) i pulard (niedojrzała kurka). W ramach słodkości chętnie sięgano po desery na bazie jaj, jak również wszelkiego rodzaju konfitury. To wszystko popijano wywarami z tego, co aktualnie było pod ręką (nie zawsze była to herbata), oraz zbożową kawą. Nieodłącznym elementem jedzenia był także alkohol, który w tamtych czasach był podawany nawet dzieciom. Do kieliszka zaglądali w zasadzie wszyscy – biedni, by wydajniej pracować i zapomnieć o szarej codzienności, bogaci, bo tak spędzało się wolny czas i załatwiało interesy. Oczywiście pijano piwo i wino, ale na polskich stołach niepodzielnie rządziła gorzałka, z powodu cen często wyrabiana w warunkach domowych. Na koniec przytoczmy cytat z ks. Norberta Bonczyka, który pochodzi co prawda sprzed odzyskania niepodległości, ale nie stracił wiele ze swojej aktualności po 1918 r.:

„Nawet dziecku dawano zamiast piersi matki
Kilka kropel gorzałki. Mówiły sąsiadki,
Że takiemu gorzałka już nie będzie szkodzić.
Mógłbym was tu bez liku z przykładów dowodzić
Jako się z wódką nasi przodkowie rodzili,
Z wódką żyli i z wódką ze świata schodzili."

Michał Muzyczuk

Fot. NAC x2

50/0119/F

eprasa.pl/1bb409c74f

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88

samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.

eprasa.pl 1bb409c74f



Na ostrzu intrygi

Jamie Lee Curtis jako żądna pieniędzy dama, Daniel Craig podążający śladami Herkulesa Poirota i bynajmniej nie superbohaterski Chris Evans. To tylko część rewelacyjnej obsady celnie żonglującej ostrzami w filmie „Na noże”

Fot. Claire Folger/mat. prasowe

eprasa.pl 1bb409c74f



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Gwiazdy dobierane w kontrze do aktualnych filmowych wizerunków i pełne czarnego humoru roszady w konwencji powieści Agathy Christie sprawiają, że wystylizowany film Riana Johnsona „kupuje się" od pierwszego do ostatniego kadru. I dzieje się tak przede wszystkim za sprawą aktorów: odciętego od agenturalnych zadań Daniela Craiga, Chrisa Evansa, tym razem bez zaplecza Kapitana Ameryki, a także: Toni Collette, Dona Johnsona czy Christophera Plummera.

Najjaśniej błyszczy jednak ona, Jamie Lee Curtis. I choć w tej kryminalnej układance z podtekstami znajduje się (jak zresztą cała gwiazdorska obsada) na drugim planie, nie daje sobie odebrać widza.

W klasycznych dekoracjach, wśród upozowanych bohaterów, gra posągową, elegancką damę, którą z równowagi potrafi wyprowadzić jedynie strata wielkich pieniędzy. To bohaterka wyniosła i chłodna. Do czasu. Pewien testamentowy zapis zatrzęsie nie tylko jej pozycją. Wyzwoli również emocje, które aktorce otworzą pole do popisu.

CAŁKIEM SERIO

Jamie Lee Curtis 22 listopada tego roku skończyła 61 lat. Przez media jest postrzegana jako świadoma swoich możliwości kobieta i artystka. Wciąż atrakcyjna i pełna życia. Dynamiczna i pozytywna. Znana kilku pokoleniom aktorka, ale też autorka książek dla najmłodszych. Od 35 lat żona Christophera Guesta, z którym wychowuje dwoje adoptowanych dzieci.

To również artystka, która swego czasu przyznała się do, zakończonej sukcesem, walki z uzależnieniem. Dziś działa w kampaniach antynarkotykowych. Do świata kina wchodziła jako córka Tony'e Curtisa, hollywoodzkiego amanta znanego m.in. z komedii „Pół żartem, pół serio", oraz Janet Leigh, gwiazdy „Psychozy". Na obecną zawodową pozycję zapracowała jednak sama. Ma na koncie ponad 50 ekranowych tytułów.



GROZA I HUMOR

Od czasu filmu „Rybka zwana Wandą" (1988), gdzie pokazała w pełnej skali komediowy talent, była zapraszana do takich filmów, jak pełne akcji i humoru „Prawdziwe kłamstwa" (1994), gdzie u boku Arnolda Schwarzeneggera stworzyła rolę nagrodzoną Złotym Globem; do często i chętnie przypominanych przez telewizje produkcji typu „Zakręcony piątek" (2003), gdzie jej bohaterka zamieniała się rolami z nastoletnią córką, graną przez Lindsay Lohan, czy „To znowu ty" (2010), gdzie stoczyła komediowy pojedynek z Sigourney Weaver.

W ostatnich latach wróciła do gatunku, który w początkach jej kariery mógł się okazać niebezpieczną szufladą. Zadebiutowała na dużym ekranie główną rolą w przebojowym, jak się później okazało, „Halloween" (1978) Johna Carpentera.

Potem były filmy: „Mgła", „Bal maturalny" oraz „Terror w pociągu", po których okrzyknięto ją królową horrorów. Nie dała się jednak wtedy przypisać wyłącznie do krwawego kinowego nurtu. W 1983 r. zagrała w romantycznej opowieści „Love Letters" i „Nieoczekiwanej zmianie miejsc". W kolejnych latach też wybierała produkcje, które mogły pokazać różnorodność jej aktorskich możliwości (począwszy od wzruszającej „Mojej dziewczyny" z Danem Aykroydem i Macaulayem Culkinem (1991), przez mocno krytykowanego „Wirusa" (1999), po serialowe „Królowe krzyku", 2015–2016, które przyniosły jej nominację do Złotego Globu).

W 1998 r. zagrała w „Halloween – 20 lat później", kontynuacji krwawego szlagieru z początku kariery; w 2002 r. do kin wszedł „Halloween. Powrót". Rok temu doszło na dużym ekranie do ostatecznej konfrontacji Laurie Strode (Curtis) z prześladowcą, przed którym

Fot. Claire Folger/mat. prasowe

89/1019/F

eprasa.pl 1bb409c74f

uciekła 40 lat wcześniej (aktorka dostała za tę rolę nagrodę Saturn), ale nie zakończyło to jej horrorowego szlaku. W przygotowaniach są filmy: „Halloween Kills" (2020) i „Halloween End" (2021).

RODZINNE ROZGRYWKI

Pozostając w świecie zbrodni, jednak zupełnie inaczej wystylizowanym, Jamie Lee Curtis zdecydowała się pójść „Na noże".

Towarzystwo miała na planie przednie. Daniel Craig, w przerwie między zadaniami agenta 007, przyjął rolę prywatnego detektywa; kogoś pomiędzy eleganckim i staromodnym Herkulesem Poirot a współczesnym śledczym. Chris Evans, wpasowany za sprawą kilku megaprodukcji w postać Kapitana Ameryki, tym razem superbohaterem zdecydowanie nie jest. Toni Collette rozbraja jako propagatorka zdrowego stylu życia; Don Johnson, dla wielu widzów przede wszystkim policjant z Miami, tym razem miesza szyki



detektywowi, a Christopher Plummer, nominowany w ub.r. za znakomity drugi plan w filmie Ridleya Scotta „Wszystkie pieniądze świata", wciela się w autora powieści kryminalnych, który dzień po hucznie obchodzonych 85. urodzinach, jakie urządził w swojej luksusowej posiadłości, zostaje znaleziony martwy. Tym samym daje początek rodzinnym potyczkom i rozgrywkom, a także śledztwu, które – nawiązując nie tylko do konwencji książek Agathy Christie – dodatkowo myli filmowe tropy.

REKLAMA

LECZENIE BEZ KOLEJEK

Indywidualne Ubezpieczenia Zdrowotne w placówkach wybranych Spółdzielczych Kas



SALTUS UBEZPIECZENIA

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

www.saltus.pl/zdrowotne

eprasa.pl 1bb409c74f



Roman Polański musi się zmierzyć z kolejnymi oskarżeniami o molestowanie seksualne i gwałt. Przed premierą jego najnowszego filmu „Oficer i szpieg" padają one z ust francuskiej modelki i aktorki, którą jeden z najwybitniejszych polskich reżyserów w historii miał zgwałcić ponad 40 lat temu. Jesień kariery 86-letniego filmowca nigdy już nie będzie spokojna

Polański: Jestem jak Dreyfus

Fot. East/News/ LOIC VENANCE / AFP



ŁUKASZ ADAMSKI

Polański nie będzie udzielał wywiadów na łódzkim 24. Forum Kina Europejskiego Cinergia. Reżyser odbiera tam 30 listopada statuetkę Złotego Glana przyznawaną „niepokornym twórcom filmowym idącym pod prąd modom i trendom". Polański miał na festiwalu rozmawiać z mediami tuż po przedpremierowym pokazie jego wyróżnionego Wielką Nagrodą Jury i Nagrodą Fipresci w Wenecji filmem „Oficer i szpieg", który do polskich kin wchodzi dopiero 27 grudnia. Zanim odbierze Złotego Glana, musi się zmierzyć z „glanowaniem" oskarżycieli we Francji.

USUNIĘTY PRZEZ KOLEGÓW

Stowarzyszenie ARP, w którego skład wchodzi 200 francuskich producentów, scenarzystów i reżyserów filmowych, ma wiosną przyszłego roku zmienić statut organizacji, tak by wykluczyć z niej Polańskiego. Taką decyzję podjęto tydzień temu i jest związana z nowym sposobem reagowania na przypadki nadużyć seksualnych i przestępstw popełnianych przez członków organizacji. „Minęło 40 lat od czasu pierwszej afery seksualnej z udziałem Polańskiego. Myślę, że świat się bardzo zmienił w ciągu tych 40 lat. Przestępstwa są takie same jak niegdyś, ale ich postrzeganie społeczne zmieniło się radykalnie" – powiedział Pierre Jolivet, prezes zarządu ARP. Choć zmiana statutu ma polegać na usuwaniu z ARP twórców skazanych za przestępstwa seksualne, dla Polańskiego nieskazanego prawomocnym wyrokiem zostanie zrobiony wyjątek. „Takie zawieszenie dotyczyłoby w pierwszej kolejności Romana Polańskiego, wobec którego toczy się w Stanach Zjednoczonych postępowanie sądowe" – wyjaśnił Jolivet. Sprawa Polańskiego i Samanthy Geimer, z którą Polański miał uprawiać seks, gdy ta miała 13 lat, ciągnie się od 1977 r. Członkowie ARP dobrze o niej wiedzieli. Tak jak członkowie Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej, przyznającej Polańskiemu w 2002 r. Oscara za „Pianistę", a potem wyrzucający go ze swojego grona. Francuzi dotychczas zachowywali się jednak powściągliwie. Decyzja o usunięciu Polańskiego z ARP zapadła po nowych oskarżeniach, jakie pojawiły się przeciwko polskiemu reżyserowi.

„STAŁ GOŁY I RZUCIŁ SIĘ NA MNIE"

8 listopada dziennik „Le Parisien" opublikował historię francuskiej fotograf i byłej aktorki Valentine Monnier. Oskarżyła ona Polańskiego o gwałt, którego ten miał się dopuścić na niej jeszcze przed sprawą Geimer. Monnier utrzymuje, że doszło do niego w 1975 r.,

eprasa.pl 1bb409c74f

gdy miała 18 lat, w Gstaad w Szwajcarii. Jak na ironię Polański przebywał w tym mieście od grudnia 2009 r. do lipca 2010 r. w ramach aresztu domowego w swojej alpejskiej willi, oczekując na decyzję o ekstradycję do USA za gwałt na Geimer. Ostatecznie nie został wydany Amerykanom. Dekadę później szwajcarska miejscowość i nazwisko Polańskiego znów się znalazły na językach opinii publicznej.

Monnier powiedziała gazecie, że poznała Polańskiego w Gstaad, w którym była ze znajomymi na nartach. Polański wówczas otrząsnął się po mordzie swojej żony Sharon Tate i nakręcił jedno ze swoich największych arcydzieł „Chinatown". Po kolacji polski reżyser miał ją zaprosić na piętro. Kiedy poszła na górę, miał być już nagi. Według jej dzisiejszych zeznań reżyser miał ją zaatakować, uderzyć, zedrzeć z jej ubranie, a potem zgwałcić. „Mówiłam sobie: to Roman Polański, nie może ryzykować, że ktoś się o tym dowie, więc będzie musiał mnie zabić". Francuzka przyznaje, że popełniła błąd, nie oskarżając Polaka. „Gwałt to bomba zegarowa. Pamięć nie blaknie. Staje się duchem i podąża za tobą, podstępnie cię zmienia" – powiedziała w wywiadzie. Adwokat Polańskiego poinformował od razu po publikacji, że jego klient „zdecydowanie zaprzecza wszelkim zarzutom o gwałt" i podkreślił, że te rzekome zdarzenia sprzed blisko 45 lat nigdy nie zostały zgłoszone policji oraz że dziś nie da się przeprowadzić w tej sprawie żadnego uczciwego śledztwa.

Okazuje się, że Monnier już w styczniu 2018 r. informowała o sprawie biuro pierwszej damy Francji Brigitte Macron. Monnier skarżyła się na brak odpowiedzi od sekretarz stanu ds. równouprawnienia płci i walki z dyskryminacją Marlène Schiappy. W 2019 r. Monnier ponownie napisała do pierwszej damy w związku z finansowaniem przez ministerstwo kultury nowego filmu Polańskiego. Monnier nie zaprzecza, że postanowiła opowiedzieć o rzekomym gwałcie tuż przed francuską premierą „Oficera i szpiega". Dobrze wiedziała, że debata o sprawie Polańskiego będzie nierozłączna z medialną otoczką jego filmu. Do oskarżeń odniósł się minister kultury francuskiego rządu Franck Riester. „Dzieło, jakkolwiek wielkie by było, nie usprawiedliwia ewentualnych błędów jego autora. Talent nie jest okolicznością łagodzącą, a geniusz nie jest gwarancją bezkarności" – rzekł podczas spotkania dotyczącego równouprawnienia w kinie. Rzeczniczka rządu Sibeth Ndiaye wyznała, że nie ma zamiaru oglądać „Oficera i szpiega" ze względu na osobę Polańskiego.

Feministki zorganizowały pod francuskimi kinami, które wyświetlają „Oficera i szpiega", pikiety z hasłami, że kina są „winne promocji gwałciciela". Część seansów została odwołana. Aktywistki przypominają, że poza Monnier polskiego reżysera o gwałt oskarżyła już w 2010 r. brytyjska aktorka Charlotte Lewis. Miał ją skrzywdzić w latach 80., kiedy miała 16 lat. W 2017 r. oskarżenia takie padły z ust niemieckiej aktorki Renate Langer zgwałconej rzekomo w wieku 15 lat. Jednak żadna ze spraw nie trafiła przed sąd jak ta z Geimer.

„Absurdalne historie kobiet, których nigdy wcześniej nie widziałem, a które oskarżają mnie o rzeczy, które podobno wydarzyły się ponad pół wieku temu. Większość ludzi, którzy mnie nękają, nie zna mnie i nic nie wie o tej sprawie" – mówił kilka miesięcy temu Polański. Reżyser przyznaje się tylko do seksu z nieletnią Geimer.

FILM O SAMYM POLAŃSKIM?

„Oficer i szpieg" opowiada historię życia francuskiego kapitana Alfreda Dreyfusa, który został niesłusznie oskarżony o zdradę stanu i skazany na dożywotnie więzienie. Film jest przez protestujących traktowany jako forma obrony Polańskiego przed oskarżeniami w erze #MeToo. Polański zresztą po aresztowaniu związanym z molestowaniem seksualnym hollywoodzkiego rekina Harveya Weinsteina wcale nie unikał mówienia o akcji. „Wydaje mi się, że to jest zbiorowa histeria z rodzaju tych, które zdarzają się w społeczeństwach co jakiś czas" – powiedział w polskiej edycji „Newsweeka", czym rozwścieczył feministki i światową lewicę. Polański wie dobrze, że kontrowersje służą premierze każdego filmu. Już sama tematyka „Oficera i szpiega" jest niewygodna dla Francuzów. Sprawa Dreyfusa jest przykładem antysemickich uprzedzeń Francuzów i powinna rozpocząć debatę na tej płaszczyźnie. Film już w weekend otwarcia stał się hitem. Po zaledwie kilku dniach łącznie z pokazami przedpremierowymi miał na koncie ponad 56,5 tys. widzów i wpływy w wysokości 413 tys. dol. Według prognoz film może we Francji zgromadzić ponad milion widzów. To imponujący wynik, zważywszy że promocja filmu napotyka problemy. Grająca w filmie żona Polańskiego Emmanuelle Seigner po oskarżeniach, jakie spadły na męża, odwołała wywiady. To samo zrobili dwaj gwiazdorzy „Oficera i szpiega" – zdobywca Oscara za „Artystę" Jean Dujardin i Louis Garrel.

Sam Polański przed ostatnim festiwalem w Wenecji zupełnie bezpośrednio porównał się do Dreyfusa. „Historia człowieka niesprawiedliwie oskarżonego jest zawsze fascynująca, ale jest to również bardzo aktualny problem, biorąc pod uwagę wzrost antysemityzmu. Zdecydowanie możliwa jest inna sprawa. Do tego dochodzą wszystkie składniki: fałszywe oskarżenia, kiepskie postępowania sądowe, skorumpowani sędziowie, a przede wszystkim media społecznościowe, które skazują i potępiają bez uczciwego procesu lub prawa do odwołania" – mówił w wywiadzie dla francuskiego pisarza Pascala Brucknera.

Tym bardziej zapowiedź jego kolegów z ARP o usunięciu go ze stowarzyszenia jest znamienna. Dotychczas francuscy filmowcy, w przeciwieństwie do Amerykanów, odcinali się od #MeToo. Ikony francuskiego kina, jak Catherine Deneuve (grała u Polańskiego we „Wstręcie") czy Brigitte Bardot, nazywały akcję histerią. Po oskarżeniach Polańskiego przez Monnier w obronę wzięła go reżyserka Nadine Trintignant. „Gdyby to nie był Roman Polański, dalibyśmy mu już dawno spokój" – powiedziała, dodając, że wierzy bardziej Polańskiemu niż kobiecie, która potrzebowała 44 lat, by go potępić. Na razie jest to pojedynczy głos, który niknie pod decyzją z Francuskiej Gildii Filmowców. A przecież Polański został w przeszłości odznaczony francuskim Orderem Narodowym Legii Honorowej. To odznaczenie również straci?

eprasa.pl 1bb409c74f

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Krem do twarzy a Polska

Premierę „Fantazji polskiej" Macieja Wojtyszki w warszawskim Teatrze Ateneum krytycy przyjęli przed rokiem milczeniem albo drwinami. Niezależnie od dyskusji o szczegółach pisałem po ich kolejnych narzekaniach, że mamy tu do czynienia z kulturową przepaścią. Ci, którzy kręcili nosem na podobno jałową zabawę historycznymi anegdotami, patrzyli na coś, co dla nich jest zbiorem pustych obrazów. Bo historia albo jest dla nich nieważna, albo cenna, gdy używa się jej do nachalnej agitacji dotyczącej dnia dzisiejszego.

Wojtyszko brał w przeszłości na warsztat Bułhakowa i carycę Katarzynę II, Bałuckiego i Marksa, Petrarkę z Boccacciem i Wyspiańskiego, któremu kazał się spotykać z Żeromskim i Piłsudskim. Epizody, prawdziwe lub wymyślone, polskiej i światowej historii, zderzenia postaci i idei, to jego ulubiona formuła.

A bohaterem „Fantazji" jest pianista Ignacy Jan Paderewski. To ponoć jemu Polska zawdzięczała umieszczenie jej niepodległości pośród celów wojny przez prezydenta USA Woodrowa Wilsona. Teatr Telewizji skorzystał nie z wersji Ateneum, lecz z przedstawienia w łódzkim Teatrze Nowym. Nie ukrywano związku tekstu z rocznicą niepodległości, zamówił go u Wojtyszki Instytut Adama Mickiewicza.

„Fantazja" to rozbudowana anegdota dziejąca się w apartamencie nowojorskiego hotelu Gotham. I można się czepiać historycznych detali. Nie do końca jasne, kiedy to się dzieje, gdzieś na przełomie 1916 i 1917 r., ale nie wszystko się tu zgadza. Podobnie jak szczegóły czysto amerykańskie. Wilson nie był zwolennikiem prohibicji, w 1919 r. wetował wprowadzającą ją ustawę Volsteada. Lepiej za to wychodzą pisarzowi ludzkie wizerunki. Obaj, Paderewski i Wilson, naprawdę ulegali swoim mocnym żonom.

Wojtyszko nie boi się przeplatać rzeczy ważnych kuchennymi plotkami. Można kwestionować główną historię – jakoby Edith Wilson zaczęła orędować za Polską, kiedy dostała ważny dla niej krem na cerę od Paderewskiej. Dziejami rządzą potężne procesy dziejowe, ale rządzą i przypadek, i ludzka słabość, mówi nam Wojtyszko. Nie umniejsza to wagi patriotycznych emocji Paderewskich, którym pisarz oddaje dyskretny hołd.

Na dokładkę „Fantazja polska" ma jeszcze finał. Rozpacz francuskiego bohatera z powodu śmierci syna przypomina Polakom coś, czego nie chcą pamiętać. Nam wielka wojna przyniosła wiele cierpień, ale końcowe wyzwolenie. Modlili się o nią polscy poeci. Dla świata była zjawiskiem apokaliptycznym oraz irracjonalnym.

Wolałem zagraną w tonacji komediowej wersję z Ateneum przyrządzoną przez wirtuoza Andrzeja Strzeleckiego. Ale łódzkie podejście do Paderewskiego wyreżyserował sam autor. Może się bał, że nadmiar rodzajowości, groteski przyćmi stosowną refleksję? Nakazał aktorom maksymalną powściągliwość. Krzysztof Tyniec jako Paderewski z Ateneum to ekscentryczny celebryta, prawie cudak. Dymitr Hołówko jest spokojnym mężem stanu wiedzącym, czego chce. Barbara Dembińska i Jolanta Jackowska jako żona i przyjaciółka mistrza są stonowane i mądre. Mnie najbardziej w łódzkim przedstawieniu podobali się Katarzyna Żuk jako pretensjonalna żona Wilsona Edith oraz Piotr Seweryński jako nieszczęśliwy Francuz Marcel.



O czym to jest? O małym znaczeniu Polski w dziejach świata, ale też o wielkich sercach próbujących ten determinizm przełamać. Miałem wrażenie, że wtłoczenie tej przypowieści w ramy godziny i 10 minut nieco ją spłaszczyły. Ale nie na tyle, żeby się nie zadumać.

Piotr Zaremba



Adam Ciesielski


Chór Polskiego Radia

Fot. Magdalena Hałas

Na początku był psalm

Z radością witamy kolejne płyty z zarejestrowanymi przez Chór Polskiego Radia nagraniami kompletu „Melodii na psałterz polski" Mikołaja Gomółki do wierszowanych parafraz Jana Kochanowskiego. To przedsięwzięcie promujące najznakomitszą naszą muzykę i poezję doby renesansu

Po psalmach pielgrzymów oraz psalmach porannych i wieczornych w tym wykonaniu, które Agencja Muzyczna Polskiego Radia wydała w 2018 r., obecnie kontemplujemy świeżo wydane psalmy dziękczynne i pokutne oraz psalmy królewskie z tego zbioru. To razem 64 utwory spośród wszystkich 150, jakie zawiera biblijny psałterz i jakie zostawili nam Kochanowski i Gomółka. Trzeci dwupłytowy boks ma się ukazać w 2020 r., całość edycji obejmie jeszcze dwa. Razem będzie ich więc pięć.

Sama historia „Melodii..." Mikołaja Gomółki zaczęła się od „Psałterza Dawidowego" Jana Kochanowskiego, który wyszedł w 1579 r. w krakowskiej Drukarni Łazarzowej. Praca nad translacją zajęła mistrzowi z Czarnolasu kilka lat studiów biblistycznych i filologicznych, także lektur wcześniejszych przekładów łacińskich i polskich zaczętych jeszcze bodaj w czasach Zygmunta Starego. Powstała efektownie zróżnicowana wersyfikacyjnie, ale przystępna w odbiorze poetycka parafraza biblijnych strof, dostosowana do polskiej mentalności i obyczajowości. Popis piękna i bogactwa rodzinnego języka.

Kochanowski o opatrzenie swego tekstu muzyką poprosił Mikołaja Gomółkę (1535–1609), znanego mu, zdaje się, od lat. Niewykluczone, że za całą inicjatywą stał biskup krakowski Piotr Myszkowski, mecenas obu artystów. Gomółka błyskawicznie wywiązał się z zadania, jego „Melodie na psałterz polski" ukazały się w druku już w 1580 r. Było to pierwsze znane opracowanie muzyczne wszystkich 150 psalmów. Ilość nie przesłania jakości: krótkie utwory cechują inwencja melodyczna, prostota, lecz i rozmaitość form – od deklamacyjności po taneczność – starających się wiernie oddać charakter tekstu. Oprawa, choć przeznaczona do muzykowania domowego, jest próby równie wysokiej, co poetyckie strofy mistrza Jana. Wzruszająco skromnie brzmi zatem uczynione przez kompozytora zwierzenie o ambicjach własnych melodii:

„Są łacniuchno uczynione/Prostakom nie zatrudnione/Nie dla Włochów, dla Polaków/Dla naszych, prostych domaków...".

Twórca dzieła, które budzi dziś zainteresowanie nie tylko w Polsce, był doświadczonym artystą o szerokich horyzontach. W młodości kształcił się i grał w kapeli dworskiej Zygmunta Augusta, poznał tam takie postaci jak Wacław z Szamotuł, Marcin Leopolita czy Valentin Bekfark. Potem pracował jako nadworny muzyk m.in. u Piotra Myszkowskiego i Jana Zamoyskiego. Szkoda, że z jego dorobku przetrwało niewiele: „Melodie na psałterz polski" to najbardziej znane, wydane za życia i jedyne zachowane dzieło. Znaczącą rolę w jego popularyzacji odegrały publikacje prof. Mirosława Perza i płyty Ars Novej pod kierownictwem Jacka Urbaniaka.

Trudno przecenić znaczenie obecnego, pierwszego pełnego nagrania „Melodii na psałterz polski", realizowanego przez Chór Polskiego Radia pod kierownictwem artystycznym Agnieszki Budzińskiej-Bennett. Ta wokalistka, harfistka, znawczyni wykonawstwa historycznego, związana ze środowiskiem Schola Cantorum Basiliensis, do udziału w polskim przedsięwzięciu zachęciła międzynarodowe grono wykonawców z wyśmienitym lutnistą Marcem Lewonem i grupą Compass Viol Consort specjalizującą się w repertuarze renesansowym. A że i poziom nagrania jest znakomity, wypada tylko słuchać i czekać na kolejne albumy z biblijnymi psalmami Kochanowskiego i Gomółki.



Mikołaj Gomółka
„Melodie na psałterz polski. Opera omnia"
polski przekład psalmów: Jan Kochanowski
Chór Polskiego Radia, kierownictwo artystyczne: Agnieszka Budzińska-Bennett
Vols. 3 i 4: psalmy dziękczynne i pokutne oraz psalmy królewskie
Agencja Muzyczna Polskiego Radia

eprasa.pl 1bb409c74f



Naród jako start-up

Wojciech Stanisławski

Francuska badaczka ukazuje – bez agresji, częstej u demitologizatorów – w jak znacznym stopniu stworzenie bytów, które uważamy dziś za „narody", wymagało wielkiego wysiłku założycielskiego: spisywania, definiowania, konstruowania

Termin „tradycje wynalezione" od czasu ukazania się przed ponad 10 laty polskiego przekładu książki Erica Hobsbawma pod tym tytułem trochę się już rozpowszechnił i każdy, kto zajmuje się jakimś wycinkiem historii czy etnografii, potrafi przywołać ich przykład: najszerzej pewnie znana jest emblematyczna historia szkockiego tartanu. Kilkanaście kratkowanych wzorów, przez uszczęśliwionych wizytą w Szkocji turystów postrzeganych jako „pradawne" i „odwieczne", mieniące się i mnące na tysiącach proporczyków i makatek pamiątkowych, bez których nie może się obejść żaden uroczysty strój dziewczęcy w co lepszych szkołach, reprodukowanych na widokówkach i malowanych ręcznie na kieliszkach, zostało po prostu zaprojektowane w początkach XIX w. przez kilka manufaktur tkackich – oczywiście w porozumieniu z entuzjastami „ludowości" z Highland Society, korzystających z liberalizacji, by promować szkockość w bezpiecznej etnograficznej formule.

Równie smaczne, a nieporównanie mniej znane są dzieje zbójnickiego – tańca, którym zachwycali się najwięksi piewcy góralszczyzny, od Witkiewicza ojca po Władysława Skoczylasa, a który w dzisiejszej wersji, takiej jaką znamy z występów zespołów folklorystycznych, zachwycających swą dynamiką i koordynacją ruchów tancerzy, najwięcej zawdzięcza zbiorowi „ćwiczeń gimnastycznych z toporkami". To na jego podstawie druh Połomski z galicyjskiego „Strzelca" postanowił uświetnić odsłonięcie pomnika grunwaldzkiego w 1910 r. pokazem choreograficznym, który byłby zarazem żwawy i ludowy – no i mamy teraz wszystkie te „po dwa krzesane", popod nogę i hajduka, a wszystko na ozwodną nutę, hej.

Tych tropów jest oczywiście nieporównanie więcej: tak naprawdę zdarza się, że aż strach pociągnąć za którąkolwiek z nitek w wielkiej tkaninie folklorystyczno-tradycyjnej w obawie przed tym, że wszystko się spruje, że z dzieła tak imponujących rozmiarów, jak „tradycyjny kilim z Oltenii" utkany w 1939 r. pod nadzorem największej rumuńskiej folklorystki Arethii Tătărescu na Wystawę Światową w Nowym Jorku, który liczył sobie 18 na 24 m, zostanie garstka nici i pakuł.

Nie zostanie – a jeśliby została, nie byłoby komu kontemplować tego widoku zniszczenia, bo i nas by nie było. Cała współczesna „siatka pojęciowa", na której opierają się ludzie, w miarę edukacji definiując coraz bardziej precyzyjnie swoją tożsamość zbiorową, opiera się na tego rodzaju reprezentacjach przeszłości i jej zbiorowych wyobrażeniach: uproszczonych, ujednoznacznionych, jasno zdefiniowanych. Ten gigantyczny wysiłek, jaki podjęto w XIX w., nie ma sobie równych: destylowano języki narodowe z dziesiątków dialektów i narzeczy, standaryzowano gramatyki i słowniki, jakby kto karczował puszczę, usiłując stworzyć w jej miejscu strzyżony ogród francuski. To odwołanie ma zresztą dodatkowy sens: idea narodu jako organicznej, wywodzącej się z ludu, stanowiącej fundament wspólnoty politycznej zawdzięcza swój kształt fermentowi przedrewolucyjnemu i wstrząsom rewolucji.

Potem zaś już poszło: potrzeby polityczne i duchowe, poszukiwanie korzeni, pradawności i autentyzmu, swojskości i sankcji politycznej popychały do działania tysiące badaczy, nauczycieli, poetów i organizatorów. Jedni spisywali poematy narodowe (dziwnie wielu pradawnym, oryginalnym rękopisom zdarzało się przy tym spłonąć tuż po ich szczęśliwym odnalezieniu i przepisaniu: los taki spotkał pieśni Osjana, „Słowo o pułku Igora" oraz tuziny poematów walijskich, celtyckich, nordyckich i bretońskich), inni wyruszali na poszukiwanie dawnych strojów i obyczajów. Jedni wznosili pomniki antycznym bohaterom, których pukle skręcały się w secesyjne sploty, inni malowali sceny bitewne lub wprowadzali lud i jego prace w nienaganne dotąd ramy pejzażu. Ba, sam pejzaż mógł się odtąd stawać „narodowy" (Szkocja – rzecz jasna, wrzosowisko; Norwegia – fiord, skąpany w bieli śniegów; Węgry – puszta pod skłębionymi chmurami; Finlandia – jezioro, otoczone sosnami. I cieszmy się, że starczyło dla nas wierzby!) – a gdy już odmalowano wszystkie landszafty, trzeba było jeszcze zaprojektować narodowe mundury, liternictwo i sceny z epopei, w miarę możliwości mieszczące się na znaczkach pocztowych (zadaniu temu najlepiej podołał wielki malarz i projektant czeski Alfons Mucha).

eprasa.pl 1bb409c74f

ort ekstremalny

Ornament? Bynajmniej: to poszukiwanie i standaryzowanie tożsamości narodowych było drugim najpoważniejszym procesem politycznym XIX w. obok definiowania się klas i partii; kto wie, czy nie ważniejszym i bardziej nieodwracalnym. Decydowało się wszystko: niepodległości, granice i języki. Kto jeszcze pamięta, że dwór duński u progu XIX w. mówił po niemiecku, że językiem urzędowym Korony św. Stefana była łacina, a wybijający się na autonomię Norwedzy spierali się w akademiach, a bywało, że i w przepychankach ulicznych o to, czy językiem narodowym ma być riksmål, czy nynorsk? Może nas bawić to, że pierwsze XIX-wieczne prace poświęcone dziejom Czech spisywano po niemiecku, który był też językiem użytkowym czechofilów; ale niechby się inaczej zgięła historii sprężyna, a czeskiego mogłoby nie być – tak jak nie byłoby odrodzonego fińskiego, tak jak nikt dziś nie mówi językiem Morlaków (a i nie każdy potrafiłby dziś wskazać siedzibę tego walecznego wyspiarskiego ludu), a współczesny albański zdefiniowany został zupełnie inaczej niż XIX-wieczny.



Anne-Marie Thiesse, „Powstawanie tożsamości narodowych. Europa w wiekach XVIII–XX", tłum. Beata Losson, Volumen 2019

Anne-Marie Thiesse, francuska badaczka, naszkicowała tę panoramę procesów narodotwórczych, które u schyłku oświecenia ogarnęły Europę, z wdziękiem, erudycją i wyrozumiałością. Nie pisze o nich z satysfakcją demitologizatora-ojkofoba, nawet jeśli czasem wymknie jej się złośliwość pod adresem zbyt entuzjastycznych etnografów. Swobodnie wędruje po dekadach XIX w., przerzuca się w swojej narracji znad Dunaju nad Ren i Niemen, pokazując, jak różne pasje i potrzeby (a z czasem i rywalizacje) stały za pragnieniem posiadania narodu, odtwarzając przy okazji tuzin życiorysów tych, którzy wytyczali szlaki: od nieszczęsnego Macphersona, który chciał być poetą, a stał się mistyfikatorem, przez wielkiego Herdera i braci Grimm („myślisz o nich o bajkopisarzach, a to oni stworzyli język niemiecki"), po Vuka Karadžicia, panią Tătărescu i Bélę Bartóka. Równie wyrozumiała jest w konkluzjach swojej pracy: oczywiście tożsamości narodowe bywają zbyt ciasno skrojone, a maniakalne do nich przywiązanie prowadziło na manowce poszukiwania „czystości rasowej", manowce, na których rządziła tłuszcza zbrojna w kastety, a z czasem i drut kolczasty. Zarazem – innych tożsamości dziś nie będzie i trudno sobie nawet wyobrazić ich „zaprojektowanie"; szczególnie w sytuacji gdy tak dobrze wiemy, jak proces ten przebiegał przed 200 laty.

Dworek wyobrażony

Największym talentem Jerzego Ficowskiego było przełamywanie barier języka, czasu i nieufności: tłumaczył z kilku języków, odkrywał nieuchwytne: od pieśni Papuszy po rysunki Schulza. Ale najtrudniejsza okazała się podróż w górę własnej rzeki rodzinnej: odtworzenie pamięci o rodzie Ficowskich. Zasilanym dopływami austriackimi, czeskimi, ba – włoskimi, zubożałym za sprawą rozbiorów, żyjącym aż do rewolucji w leśniczówkach pod Białą Cerkwią, w dobrach Branickich.

Znamy, wydawałoby się, wszystkie ich figury literackie „wspomnień kresowych": będzie rubasznie albo tkliwie, politycznie lub myśliwsko. Inaczej piszą o Kresach podolacy, wilniucy, Michał Kryspin Pawlikowski i panie, które los rzucił, przez łagry i piaski, do ciasnego domku w Londynie. Tyle że Ficowski nie wspomnienia pisze (sam urodził się już w Warszawie, w Kolonii Staszica): uprawia sztukę wywoływania wspomnień i obrazów odziedziczonych, nieujrzanych na własne oczy; skrada się, chudy hidalgo na drobnych stopach, przez cień i domysł. Czytając „Niepamiętnik", czujemy się, jakbyśmy brali w ręce wydmuszkę, maskę egipską albo motyla: te zdania są nasycone barwami, a jednocześnie tak warunkowe i niepewne, że za chwilę rozsypią się w pył.

Barwa i pył to dwa słowa klucze tego zapisu, jak we fragmencie, który zaczyna się opisem róż „ciemnopurpurowych, białych jak śnieg, cytrynowożółtych", a kończy wspomnieniem i profecją w jednym: „Ojciec zasiewał nam proch swojej ukrainy". Ten rękopis, tak podatny na zniszczenie i niezrozumienie, podnieść mógł bez uszczerbku jeden człowiek: Krzysztof Czyżewski.



Jerzy Ficowski, „Niepamiętnik, czyli podróż do Gorczakowa i jeszcze dawniej", Fundacja Pogranicze, 2019

eprasa.pl 1bb409c74f

Adamski



„Lśnienie" raz jeszcze



Kino

Nakręcenie kontynuacji „Lśnienia" Stanleya Kubricka wydawało się pomysłem co najmniej ryzykownym. Nie tylko dlatego, że „Lśnienie" jest uważane za arcydzieło, choć po premierze krytycy je glanowali. Sam Stephen King odciął się brutalnie od wizji Kubricka z 1980 r., uznając je za wypaczenie sensu swojej monumentalnej powieści. Mike Flanagan, rzucając się na ekranizację książki „Doktor Sen" Kinga z 2013 r., miał więc zadanie podwójnie trudne.

„Wszystko, czego nie znosiłem w filmie Kubricka, tutaj zostało odkupione" – powiedział King po lekturze scenariusza Flanagana. Po takim wyznaniu ciężar z barków jednego z najciekawszych młodych reżyserów horrorów (serial „Nawiedzony dom na wzgórzu") został zdjęty. Flanagan bezpośrednio się jednak do maestro Kubricka odwołuje, kopiując w retrospekcjach oryginalne ujęcia jego filmu niczym Gus Van Sant kręcący pokolorowaną „Psychozę" Hitchcocka. Robi to jednak na tyle sprytnie, że poza finałem rozgrywającym się w zasypanym śniegiem Overlook Hotel w Kolorado ten film można oglądać bez spoglądania na kultowy horror.

Danny Torrance (Ewan McGregor) 30 lat po wydarzeniach z opętanego i wiecznie głodnego kolejnych dusz hotelu w Górach Skalistych wciąż nie może sobie poradzić z demonami, które go nawiedzają. Lśnienie już tylko w nim pulsuje. Przez lata zalewał je hektolitrami whiskey o imieniu Jack, taplając się w dosłownym rynsztoku. Dopiero ucieczka na prowincję, klub AA i praca w hospicjum pozwalają mu wyjść na prostą. Problem w tym, że Danny nie jest jedynym lśniącym na ziemi człowiekiem. Sekta pod przewodnictwem wyglądającej jak żeńska wersja Slasha o imieniu Rose (Rebecca Ferguson) porywa lśniących, by karmić nimi swoją długowieczność. Tak trafiają na ślad wyjątkowo mocno lśniącej (podobnie jak Danny w dzieciństwie) nastolatki Abry (Kyliegh Curran). Dziewczynka łączy się telepatycznie z Dannym. Walka z mroczną grupą staje się tylko preludium do ostatecznego starcia z siłami zła z hotelu.

Flanagan umiejętnie ożenił ze sobą wizję Kinga ze stylistyką zaczerpniętą od Kubricka. Sposób kadrowania, muzyka, powolne budowanie napięcia długimi ujęciami – to wszystko hołd oddany mistrzowi. McGregor nie szarżuje jak Jack Nicholson, ale też nie jest w żaden sposób ściśnięty ciężarem roli tak ważnej dla fanów kina grozy. Jest przekonujący zarówno w fazie wyparcia swojego przeznaczenia, jak i momentu, gdy musi stanąć twarzą w twarz z ojcem. Tutaj Flanagan się poślizgnął, obsadzając w roli Jacka Torrance'a Henry Thomasa. Aktor imituje Jacka Nicholsona w jakże symbolicznej i znaczącej scenie barowej, ale też odgrywa ikonograficzne sceny z filmu Kubricka zaadaptowane przez Flanagana. Rozumiem, że film ma pogłębić postać Jacka poprzez spojrzenie na nią oczami syna. Jednak imitator Nicholsona irytuje.

„Doktor Sen", mimo swoich wad, jest jedną z lepszych adaptacji Kinga, choć nie jest to liga Kingowskich horrorów Carpentera („Christine"), De Palmy („Carrie"), Reinera („Misery") czy nawet Muscietteggo („To"). Ma ten film kilka scen, które zostaną ze mną na zawsze. Nie jest to łatwe w czasach, gdy horror zobrazował już absolutnie wszystko. Snu z powiek doktorek i jego demony mi jednak nie spędzą.

„DOKTOR SEN", REŻ. MIKE FLANAGAN, DYSTR. WARNER BROS

Królowa wraca

Trzeci sezon netflixowej epopei o Elżbiecie II jest dotąd moim ulubionym. Możliwe, że oddani fani „The Crown" mnie za to rozszarpią, ale dopiero teraz potrafię w pełni wejść do Pałacu Buckingham i zrozumieć Elżbietę nie tylko jako królową, lecz również kobietę. Claire Foy zastąpiła starsza Olivia Colman. Zdobywczyni Oscara za „Faworytę" nadaje Elżbiecie intrygującej głębi. Księżniczki Małgorzaty nie gra już Vanessa Kirby, lecz mistrzyni ról rozdartych kobiet Helena Bonham Carter. Jest jeszcze kilka ciekawych zmian obsadowych, ale to nie one tworzą wielkość tego sezonu. Paradoksalnie opowieść o brytyjskim dworze w latach 60. (zaczyna się od wątku agentury KGB na dworze) jest mniej naznaczona kartami historii. Więcej jest tu przemiany Elżbiety na tle relacji rodzinnych, co czyni opowieść bardziej uniwersalną i bliższą widzowi. Nie zmieniło się jedno – przepych kosztującej 130 mln dol. produkcji wbija w fotel. To się po prostu znakomicie ogląda!


VOD

„THE CROWN" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 1bb409c74f

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Boski Silvio!



W końcu możemy obejrzeć pełną wersję biografii Silvia Berlusconiego, widzianej oczami Paola Sorrentino. Poza Italią film wszedł do kin w okrojonej 151-minutowej wersji. Na DVD pojawiła się wersja dłuższa o godzinę (215 min podzielone na dwa filmy). W pełnej wersji dostajemy pogłębiony obraz czegoś, co można nazwać „berlusconizmem". O tym jest pierwsza część dyptyku, gdzie „boski Silvio" pojawia się w ostatnim akcie. Sorrentino błyskotliwie pokazuje, jak bardzo Berlusconi naznaczył swoim stylem system, który już nigdy po jego rządach nie był w Italii taki sam.

Biografia Silvia Berlusconiego przez niejednego reżysera zostałaby potraktowana jednowymiarowo. Groteskowy, operetkowy miliarder w każdym wymiarze przebijał największe ekstrawagancje Donalda Trumpa. Znienawidzony przez lewicę i liberałów jest wyjątkowo wdzięcznym obiektem kpin i najostrzejszej satyry. Zdobywca Oscara za „Wielkie piękno" i autor przenikliwej biografii demiurga włoskiej polityki Gulia Andreottiego „Boski" to jednak twórca innego formatu.

Sorrentino pragnie się przebić przez pancerz, jaki „boski Silvio" wokół siebie zbudował. Reżyser znakomitego „Młodego papieża" pragnie zrozumieć fenomen Berlusconiego. Nie tylko premiera Italii, lecz również wartego ponad 9 mld dol. libertyna i jawnego hedonistę, który walczył z lewicą na każdym polu. Jeśli nie mógł ich pokonać, to ich kupował. Niczym piłkarzy do swojego AC Milan. Niczym celebrytów do swojej medialnej korporacji Mediaset. Niczym kolejne młode żony, którym jakoś specjalnie nie przeszkadzały jego wybryki.

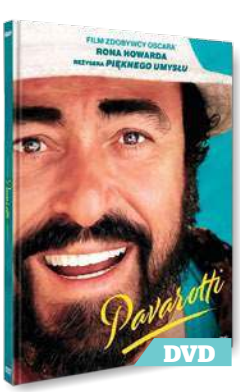
Kim jest Silvio Berlusconi przejmująco zagrany przez Toniego Servilla? To wieczny sprzedawca bojący się samotności. Nieważne, czy sprzedaje plastikową telewizję, handluje nieruchomościami, piłkarzami czy ustawami. Nawet na chwilę nie zdejmuje maski. Nie tylko w przenośni. Wybotoksowana twarz, przeszczepione włosy i śnieżnobiałe sztuczne zęby. Obok zaś piękne i młode kobiety. Sorrentino kocha barokowy styl, podlany dźwiękami najnowszych hitów pop. Pokazał to w fenomenalnym otwarciu „La grande bellezza". Krótsza wersja „Oni" była pod tym względem przytłumiona. Teraz mamy jej eksplozję.

Blisko jest biografii Berlusconiego do „Boskiego". Sorrentino doskonale uwypukla samotność i smutek obu włoskich polityków. Berlusconi chowa smutek za twarzą satyra. Żenującego, pajacującego, z niewiadomym pochodzeniem pierwszego kapitału człowieka, który miał paradoksalnie szczere chęci, by zmieniać Włochy. Romantyczna dusza włoskiego kochanka miesza się z cynizmem krwiożerczego biznesmena i pasją szczerego antykomunisty. Don Juan? Satyr niemogący zrezygnować z seksualnych orgietek? Tak, ale jednocześnie człowiek wybierający na kochanki młodsze wersje swojej drugiej żony Veroniki Lario.

Berlusconi w ujęciu Sorrentino to człowiek pełen sprzeczności. Żałosny i wzbudzający litość. Odrażający i rozbrajający urokiem. „Oni" to brawurowe, ale niepozbawione przenikliwości spojrzenie na specyfikę nie tylko włoskiej polityki, lecz również włoskiej duszy.

„ONI. WERSJA REŻYSERSKA", REŻ. PAOLO SORRENTINO, DYSTR. GUTEK FILM

Dokument w trzech aktach



Oglądajcie ten niezwykły dokument z jak najlepszym dźwiękiem. Zdobywca Oscara i jeden z najlepszych rzemieślników w Hollywood Ron Howard skonstruował dokumentalną operę podzieloną na trzy akty. „Pavarotti" to znakomite połączenie fenomenalnych operowych arii maestra Luciana z obrazami z jego codziennej egzystencji. Dzięki pracy trzykrotnego zdobywcy Oscara za dźwięk Abbey Jenkinsa nie jest to zwyczajny dokument o życiu legendarnego śpiewaka, ale kawał doskonale skrojonego technicznie muzycznego kina. Howard przeprowadza nas od życia skromnego nauczyciela z Modeny, przez triumfy z Trzema Tenorami, aż po serie dobroczynnych koncertów „Pavarotti i przyjaciele". Opowieść o Lucianie jest oparta na sile jego głosu, a nie nudnej hagiograficznej opowiastce. Howard wypełnia testament Pavarottiego, popularyzując operę wśród masowego odbiorcy popkultury. Luciano byłby z Amerykanina dumny.

„PAVAROTTI", REŻ. RON HOWARD, DYSTR. BEST FILM

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 1bb409c74f

Bo będzie wstyd



Mariana Banasia znam ponad 40 lat. Miałem czas, by wyrobić sobie o nim zdanie podczas najtrudniejszych prób. Wiem, kim jest, i wiem, że dziś dotykają go oszczerstwa. Przed laty byłem poddany podobnej obróbce, jakiej teraz podlega prezes NIK



ROMUALD SZEREMIETIEW

W mediach i po stronie opozycyjnej trwa nagonka na prezesa NIK Mariana Banasia. Wywierana jest presja, aby podał się do dymisji. Podawane są wiadomości, że PiS chciałoby się Banasia pozbyć, że już, już Banaś miał się zgodzić, że odejdzie z NIK. Po chwili słyszymy, że prezes NIK stawia się Kaczyńskiemu, odejść nie chce. W mediach wrze. Banasia nazwano „szefem grupy małopolskich stręczycieli i VAT-owskich wyłudzaczy", a także „czyścicielem kamienic". Ton tych wypowiedzi, ich barwa sugerują, że mamy do czynienia z jakimś przestępcą. Ktoś niezorientowany, słysząc to wszystko, może się dziwić, że Banaś jeszcze nie siedzi w więzieniu.

FAŁSZYWE ZARZUTY

W internecie można znaleźć zdjęcia obrazujące jedno to samo zdarzenie. Na jednym widzimy ujęcie księcia Wiliama podnoszącego w obraźliwym geście środkowy palec, na drugim, zrobionym po innym kątem widzimy, że książę podniesioną ręką przyjaźnie macha ludziom. Mamy przykład jak można czyjeś pozytywne zachowanie pokazać jako coś negatywnego, wystarczy tylko odpowiednio ustawić kamerę.

W 2001 r., gdy w mediach opisywano nieistniejącą aferę korupcyjną w MON, zarzucono mi, że za tanio kupiłem samochód, czyli w ten sposób otrzymałem „w naturze" kilkadziesiąt tysięcy łapówki. Prokurator znalazł biegłego, który to potwierdził. W czasie rozprawy przed sądem okazało się, że biegły nie ma pojęcia o wycenie samochodów (dotąd zajmował się pojazdami szynowymi), a mojego samochodu nie widział na oczy. Sąd powołał biegłego z PZMot. Inżynier zbadał samochód i orzekł, że zapłaciłem za dużo (był to używany i naprawiany samochód demonstracyjny). Zarzut przejęcia łapówki upadł. Zanim do tego doszło, bez końca pokazywano mnie jako łapownika.

Marian Banaś w zamian za dożywotnią opiekę i mieszkanie dostał od zaprzyjaźnionego z nim człowieka zrujnowaną kamienicę na krakowskim Podgórzu. Za własne pieniądze i własnymi siłami wyremontował ją. W kamienicy akademik przez lata prowadził syn Mariana. Po pewnym czasie syn postanowił zmienić zajęcie. W 2014 r. Banaś wydzierżawił kamienicę komuś, kto miał interes hotelarski – to nie był pokazywany w TVN osobnik z pierścieniami na palcach, lecz jego pasierb. Czy Banaś, zawierając umowę, powinien

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

eprasa.pl 1bb409c74f

był sprawdzać, jak prowadzą się bliscy dzierżawiącego i kogo on wyznaczy do zajmowania się lokalem?

Sfora medialna jazgocze, że cena za dzierżawę była za niska, bo wynosiła tylko 4 tys. zł miesięcznie. Ma powstać wrażenie, że Banaś był w jakimś szemranym układzie albo dostawał dodatkowe pieniądze pod stołem. Tymczasem dzierżawiący ponosił wszelakie opłaty, również remontowe. Do tego Banaś i jego kontrahent na piśmie (notarialnie) umówili się na sprzedaż domu. Z racji zadatków i zaliczek, w wyniku podpisania przedwstępnej umowy sprzedaży, na konto Banasia wpłynęło 390 tys. zł. Potem dzierżawca nie dostał kredytu i musiał z zakupu zrezygnować. Przy Banasiu zostało 200 tys. zadatku, co jest oczywiste wobec niewykonania umowy. Nie było to więc 4 tys. miesięcznie, ale 4 tys. + 200 tys. Pieniądze udokumentowane, legalne, na podstawie umów.

W każdym razie, gdy okazało się, że dzierżawiący domu nie kupi, Banaś postarał się, by nabył go ktoś inny. Kiedy dziennikarz TVN sprokurował i ogłosił swój materiał, a wraz z tym zaczęło się walenie w bębny propagandy, Banaś nie był właścicielem krakowskiej kamienicy. W wakacje 2019 r. sprzedał ją, normalnie z ogłoszenia, firmie zajmującej się inwestowaniem na rynku nieruchomości. O tym w materiałach „śledczych" ciągle nie ma słowa.

KIM JEST BANAŚ

Mariana Banasia znam ponad 40 lat. Wspólnie i w porozumieniu – jak mawiał towarzysz prokurator – działaliśmy przeciw reżimowi PRL jeszcze przed Sierpniem '80. W latach 80. za tę działalność siedzieliśmy w więzieniach. Nie powołuję się na tzw. kombatanctwo ani nie zamierzam używać go jako tarczy. Chcę tylko zasygnalizować, że znam Banasia i miałem czas, by wyrobić sobie o nim zdanie podczas najtrudniejszych prób. Wiem, kim jest, i wiem, że dziś dotykają go oszczerstwa.

Banaś jest państwowcem o wielkich zasługach. W szanującym się państwie odbierałby za to, co zrobił, najwyższe odznaczenia. Banaś w błyskawicznym tempie stworzył system uszczelnień VAT-owskich, dzięki którym rząd mógł przeprowadzić największe w III RP programy socjalne. Pewien jestem, że bez Banasia, jego twardości, determinacji, siły przebicia nie byłoby środków na 500+ i nie byłoby dziś w aresztach przestępców okradających państwo polskie na miliardy.

Dobrze, powie ktoś, ale zasługi nie mogą być zasłoną dla tego, co złe. Zgadzam się z tym całkowicie. Zasady powinny być dla wszystkich równe, odpowiedzialność też. Chodzi o to, że potrzebna jest też uczciwa ocena tego, co zarzuca się Banasiowi. Co niby sprzecznego z prawem, nieetycznego on zrobił? Jeśli mocniej się dmuchnie, to z wielkiej chmury medialnych zarzutów po prostu nic nie zostaje.

Banaś jest państwowcem o wielkich zasługach. W szanującym się państwie odbierałby za to, co zrobił, najwyższe odznaczenia

Nie chcę przypominać, co mnie dotknęło kiedyś, ale 18 lat temu właśnie Bertold Kittel, będący wówczas dziennikarzem w „Rzeczpospolitej", złamał mi – sekretarzowi stanu w MON – karierę. Wraz ze swoją koleżanką Anną Marszałek zrobił ze mnie aferzystę, człowieka uwikłanego w najgorsze postępki. Zapłaciłem za to utratą stanowiska i ostatecznie wypchnięciem na margines życia publicznego, gorzką cenę zapłacili moi bliscy, moja żona piętnowana mężem „aferzystą". Odłożony w latach epilog wyglądał tak, że Kittel okazał się oszczercą, a mnie oczyszczono z podejrzeń. Ale lat upokorzenia, życia z piętnem „aferzysty" wymazać się nie da.

Salon dziennikarski, jeżeli to coś można nazwać salonem, obdarował Kittla licznymi nagrodami, nawet uczynił go Dziennikarzem Roku. Tym razem za reportaż, w którym grupka niezrównoważonych osobników, do policzenia na palcach jednej ręki, układała sobie w lesie swastykę z czekoladowych wafelków. Takie coś w czasach, gdy tłumy „nazioli" na Zachodzie na różnych spędach podnoszą ręce w faszystowskim pozdrowieniu.

Słyszymy o złej kondycji życia politycznego. Z dziennikarskim chyba też nie jest najlepiej, skoro do zaszczytów za takie „odkrycia" wynoszone są takie postaci jak wspomniany redaktor TVN.

APEL DO PRAWICY

Banaś, podejmując służbę w finansach państwa, dobrze zasłużył się Polsce, a zaszkodził bardzo oszustom VAT. Niewątpliwie bardzo naraził się złodziejom publicznych pieniędzy. Obserwuję, jak rozwija się polowanie na Banasia, widzę ujadającą sforę i zasadzających się na Banasia dziennikarskich „myśliwych". Dlatego warto się zastanowić, kto jest organizatorem tego polowania. Czy da się ustalić, w czyim interesie niszczy się ludzi służących państwu polskiemu, takich jak Banaś, i jaką w tym rolę odgrywają tacy „śledczy" jak Kittel i jemu podobni.

Przed laty byłem poddany podobnej obróbce, jakiej teraz podlega prezes NIK. Ci sami często ludzie, dziś tępiący Banasia, mnie obwiniali o różne bezeceństwa. Przeżywałem dokładnie coś takiego, wszystko dzieje się wedle scenariusza, jaki był w mojej historii. Było szczucie z różnych stron, nagonka, rechot tzw. salonu, odsuwanie się niedawnych znajomych. Oczyszczenie z absurdalnych zarzutów, stwierdzenie, że jestem niewinny, przyszło po latach – czy tak też ma być w przypadku Mariana Banasia?

Mam do polityków Zjednoczonej Prawicy, liderów opinii po prawej stronie żal za pochopne danie wiary Kittlowi i jego mocodawcom, za oddanie pola w tym sporze o głowę szefa NIK. Apeluję do was koledzy z prawicy – byście z tej ślepej uliczki wycofali się, póki czas. Bo inaczej, po latach, gdy prawda wyjdzie na jaw, będzie wam po prostu wstyd.

eprasa.pl 1bb409c74f

Naukowa mistyfikacja pod szyldem „Polin”

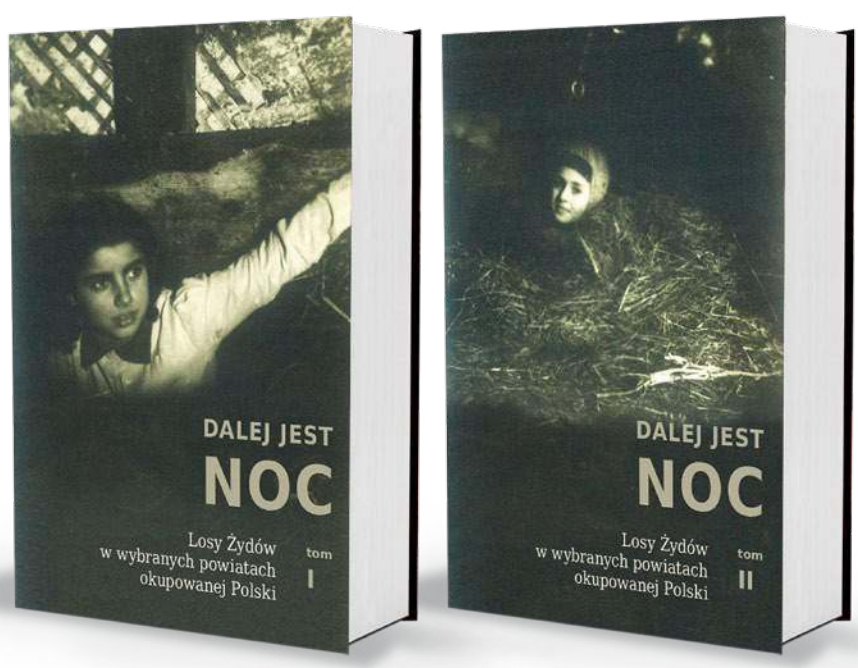


Prof. Jan Grabowski (na zdj.) od dekady w różnych publikacjach powtarza, że Narodowe Siły Zbrojne uważały Polaków ratujących Żydów za „zdrajców sprawy polskiej”. Okazuje się jednak, że to naukowe mistyfikacje propagowane m.in. przez Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”



PIOTR GONTARCZYK

W 2009 r. nakładem kancelarii prezydenta Bronisława Komorowskiego ukazał się album „Polacy ratujący Żydów w czasie Zagłady. Przywracanie pamięci”. Wtedy chyba pierwszy raz w polskiej przestrzeni publicznej poważniej zaistniał Jan Grabowski, profesor Uniwersytetu w Ottawie, wcześniej autor niszowych wydawnictw na temat Indian kanadyjskich, który odnalazł w sobie żyłkę wybitnego badacza Holokaustu. W jego au-



Fot. East News/Michał Woźniak

eprasa.pl 1bb409c74f

torskim tekście na temat problematyki pomocy Żydom w czasie niemieckiej okupacji wskazał on na polską gazetkę konspiracyjną podobno przekonującą, że ratowanie Żydów mordowanych przez Niemców jest sprzeczne z polską racją stanu: „W podziemiu zdania na temat pomocy Żydom były podzielone. »Propaganda Centralna«, pismo nacjonalistów spod znaku NSZ, nie przebierała w słowach. Na przełomie lat 1942/1943 pisali oni: »Należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów, i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej. Gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce zarówno dla Niemca, jak i dla Żyda miejsca nie ma«".

Odkrycie Grabowskiego, jakże kompromitujące dla polskiego podziemia narodowego, znalazło szeroki rezonans w polskiej nauce, zostało m.in. przedrukowane i powielone w internecie przez Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin".

Po sprawdzeniu owej informacji okazało się, że cytat z rzekomej gazetki Narodowych Sił Zbrojnych pochodzi z nr 14 pisma wydanego 15 lipca 1942 r. Grabowski zapewne wiedział, że NSZ powstały kilka miesięcy później, jesienią 1942 r., więc niezgodnie z prawdą napisał, że zacytowane słowa powstały „na przełomie lat 1942/1943", tak żeby można je było przylepić organizacji, która wówczas nie istniała i z tą wypowiedzią nie miała nic wspólnego. Potem te nieprawdziwe informacje pan profesor przez lata powielał w różnych publikacjach obcojęzycznych: po francusku (https://www.cairn.in 201fo/revue-archives-juives1-2013) i po angielsku m.in. w prestiżowym wydawnictwie Yad Vashem („Rescue for Money. Paid Helpers in Poland 1939–1945", opublikowanym przez Search and Research – Lectures and Papers z 2008), a także w języku polskim.

W wydawnictwie Yad Vashem Grabowski dopisał do tej historii, że „Propagandę Centralną" wydawano w podziemiu w nakładzie 80 tys. Informacja ta powstała zapewne w celu podkreślenia znaczenia gazetki i była wyssana z przysłowiowego brudnego palca. Fachowcy mówią o góra stu, a zapewne kilkudziesięciu egzemplarzach. Okazało się też, że słowa, które padają w tekście, nie są autorską wypowiedzią wydawców gazetki, tylko przedrukiem z czasopisma „Miecz i Pług", organu prasowego organizacji pod tą samą nazwą. Kłopot w tym, że – mimo wielu autentycznych osiągnięć i zasług tej organizacji – w 1942 r. była już ona penetrowana, a być może nawet przejęta (po aresztowaniach autentycznych przywódców ruchu) przez agentów niemieckich organów bezpieczeństwa, odgrywając w podziemiu coraz bardziej dwuznaczną rolę. Trudno więc opinie wyrażone w tym tekście traktować jako coś istotnego lub reprezentatywnego dla polskiej konspiracji. A już napisanie na podstawie tego tekstu, że „w podziemiu zdania na temat pomocy Żydom były podzielone" są charakterystyczną dla pisarstwa Jana Grabowskiego naukową mistyfikacją.

> Prof. Jan Grabowski napisał, że Narodowe Siły Zbrojne opisywały w prasie Polaków ratujących Żydów jako zdrajców sprawy polskiej. Kłopot w tym, że dokumentując swoje odkrycie, posłużył się spreparowanym cytatem

SPREPAROWANE CYTATY

Wręcz sensacyjne wyniki dało dopiero porównanie cytatu wykorzystanego przez Jana Grabowskiego, który brzmi następująco: „Należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów, i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej. Gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce zarówno dla Niemca, jak i dla Żyda miejsca nie ma" z oryginałem gazetki. Wykorzystane w jego tekście słowa pogrubiono: „W ostatnim numerze M.[iecza] i P.[ługa] w artykule »Monopol na patriotyzm« między innymi autor artykułu podaje jako pewnik, że w jednej z poważnych organizacji wojskowych na czele lub w jej gronie znajdują się Żydzi. Ja jako członek jednej z organizacji wojskowej, w imieniu swoim i setek podobnych towarzyszy broni żądam, by autor wyżej wspomnianego artykułu wyraźnie określił i nazwał co to za organizacje i wymienił tych Żydów, a to dla dobra całego szeregu zorganizowanych żołnierzy armii podziemnej. Jeśli prawdą jest, że powyższy fakt ma miejsce to ***należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej.*** A członkowie takiej organizacji podziękują za współpracę razem z Żydami, ***gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce jak dla Niemca tak i dla Żyda miejsca niema".***

Oryginalny tekst dotyczy więc kwestii tego, czy przyjmować Żydów do polskiej konspiracji, czy nie. Ale został on przerobiony tak, żeby wynikało z niego, że autorzy uważają Polaków ratujących Żydów za rzekomych „zdrajców sprawy polskiej". W nauce takie przeróbki cytatów powszechnie uważa się za zwykłe fałszerstwo.

Dopuszczanie się różnych manipulacji przy posługiwaniu się prasą konspiracyjną przez autorów z tego środowiska nie jest niczym szczególnym. W ostatnim „dziele" wywodzącym się z tej szkoły, książce „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" (tomy 1–2), można wskazać inne, podobne przypadki przeróbek i manipulacji. Typowym przykładem jest sprawa cytatu, jaki zamieściła w książce autorka monografii powiatu bocheńskiego Dagmara Swałtek-Niewińska, która przeszła już do historii polskiej nauki „podmienieniem" żydowskich policjantów wyszukujących kryjówek swoich rodaków w bunkrach na terenie getta w Bochni na „policjantów polskich" (napisałem o tym dwa artykuły w marcowych wydaniach tygodnika „Sieci"). W tym wypadku jednak na stronie 612 swojej monografii wspomniana autorka zamieściła następujący

eprasa.pl 1bb409c74f

cytat z gazetki „Małopolska Agencja Prasowa" nr 12 z 4 czerwca 1943 r.: „W miejscowości Igołomia [na drugim brzegu Wisły] policja granatowa aresztowała grupę ukrywających się Żydów, nie chciała jej jednak strzelać, więc odstawiła ją policji w Niepołomicach, gdzie rozstrzelania dokonali policjanci: Ignaszak (Ignaczak), Buczek i Kuczek". Po sprawdzeniu okazało się, że oryginalny tekst przywołanego artykułu brzmi inaczej. Pogrubiam najważniejszą zmianę, czyli usunięcie jednego zdania tekstu: „W miejscowości Igołomia policja granatowa, aresztowała grupę ukrywających się Żydów, nie chciała jej jednak strzelać, więc odstawiła ją policji w Niepołomicach ***z propozycją przekazania Żydów do bocheńskiego ghetta.*** Na zarządzenie policjanta granatowego Kuczka, Żydów tych rozstrzelali policjanci Ignaczak i Buczek (były pomocnik kata)".

Pomijając więc kwestię drobnych niedokładności mamy tu do czynienia z usunięciem fragmentu tekstu świadczącego o dobrych intencjach przynajmniej niektórych polskich policjantów. Nie mogąc wypuścić schwytanych żydowskich uciekinierów (za to sami mogli zapłacić życiem), chcieli ich ratować poprzez odstawienie do getta. Ale czytelnik „Dalej jest noc..." tych informacji nie pozna, bo cytat w książce został przycięty nożyczkami.

ZWYKŁE MANIPULACJE

Najczęstszym sposobem dokonywania manipulacji w książce „Dalej jest noc..." jest fałszywe relacjonowanie zawartości poszczególnych tytułów prasowych oraz treści ukazujących się w nich artykułów. Autor monografii powiatu miechowskiego Dariusz Libionka, napisał: „[...] na początku 1943 r. w konspiracyjnej prasie krakowskiej napiętnowano przypadki kolaboracji w Słomnikach i Miechowie. W kolejnych miesiącach pisano o eksterminacji Żydów coraz mniej. Sporym echem odbiły się aresztowania w Miechowie. Nieco częściej zapisy na ten temat pojawiały się w biuletynie »Małopolska Agencja Prasowa«, która odnotowała rozdawanie Polakom odzieży pozostałej po Żydach i wyłapywanie uciekinierów przez granatową policję".

Tekst wydaje się jasny: prasa konspiracyjna w 1943 r. piętnowała przypadki kolaboracji Polaków w Miechowskiem, a zaraz dalej ci sami Polacy tuczą się ubraniami po eksterminowanych Żydach. Nadto „granatowi" wyłapują w Miechowie Żydów. Po sprawdzeniu treści gazetki wskazanej przez autora okazało się, że jej treść jest następująca: „Odzież z pomordowanych Żydów dla Polaków. RGO otrzymała od władz niemieckich pewną ilość ubrań dla ludności polskiej. Transport tych ubrań przyszedł z Zachodu. Wszystkie ubranie są bardzo wysmarowane i zniszczone, a co gorzej pokrwawione. Okazuje się, że są to ubrania z pomordowanych Żydów. »Piękny« prezent dla Polaków, ale nawet najbiedniejszy Polak nie powinien z niego korzystać. Wyłapywanie Żydów. Wyłapywanie Żydów, którzy zbiegli przy likwidowaniu krakowskiego getta trwa nadal w Krakowie i okolicy. Specjalną sumiennością odznacza się policja granatowa. Częste są przypadki rozstrzeliwania na miejscu".

> Autorzy z „nowej polskiej szkoły Holokaustu" za nic mają prawdziwą treść doniesień polskiej prasy konspiracyjnej. Fałszywie relacjonują jej zawartość, a nawet za pomocą „nożyczek" zmieniają oryginalną treść

W pierwszym wypadku nie mamy więc do czynienia z rozdawaniem Polakom pokrwawionych ubrań po zabitych Żydach, tylko o tym, że Radzie Głównej Opiekuńczej takie ubrania dostarczono. Nie wiadomo, czy cokolwiek z tego niemieckiego „daru" trafiło do Polaków, bo nie mamy wiedzy, co RGO z nim zrobiła. Nie ma nic o żadnej kolaboracji. Czytelna sugestia z książki, że Polacy wzbogacali się na Zagładzie poprzez „rozdawanie Polakom odzieży pozostałej po Żydach" nie ma pokrycia w faktach. Także sprawa wspomnianych policjantów mających wyłapywać Żydów w Miechowskiem jest typowym przypadkiem naciągania treści źródeł, bo sprawa w ogóle nie dotyczy Miechowa, tylko Krakowa. Na marginesie można tylko wspomnieć, że autor tej monografii chyba trochę liczył na to, iż taka machinacja nie zostanie odkryta. Dlaczego? Bo podana w tekście i przypisie informacja „Małopolskiej Agencji Prasowej" numer 2 z 4 kwietnia 1943 r. jest fałszywa. Dwa pierwsze numery tego pisma ukazały się bowiem pod tytułem „Agencja Prasowa Śląska, Zagłębia i Krakowa" i skojarzenie obu tytułów jest utrudnione.

INFORMACJE Z PRASY, KTÓRYCH... NIE MA

Z nieco innym przypadkiem systemowych manipulacji mamy do czynienia u Grabowskiego i Libionki w sprawie strażaków z powiatu węgrowskiego. Powołując się na swojego kolegę, w książce „Dalej jest noc..." kanadyjski znawca Holokaustu napisał: „Udział strażaków w zbrodniach niemieckich odnotowała nawet centralna prasa podziemna. [...] W »Biuletynie Informacyjnym« z 22 października 1942 r. została opublikowana następująca notatka dotycząca likwidacji podwarszawskich gett: »przeprowadzono mordowanie i wywożenie Żydów w Wołominie, Stoczku, Węgrowie, Radzyminie, Jadowie, Siedlcach. Z różnych stron nadchodzą wiadomości o masowym mordowaniu Żydów, lecz żadne z nich nie są tak straszne, jak to, co nam donoszą z Wołomina i Stoczka. Straż pożarna w Wołominie i męty społeczne spośród ludności Stoczka, które brały czynny udział w akcji niszczenia Żydów, zyskały sobie fatalną kartę w historii, dopomagając w zbiorowym mordzie, wyszukując ukrywających się i przodując w grabieży«".

We wspomnianym tekście źródłowym jest więc mowa tylko o jednym przypadku

eprasa.pl 1bb409c74f

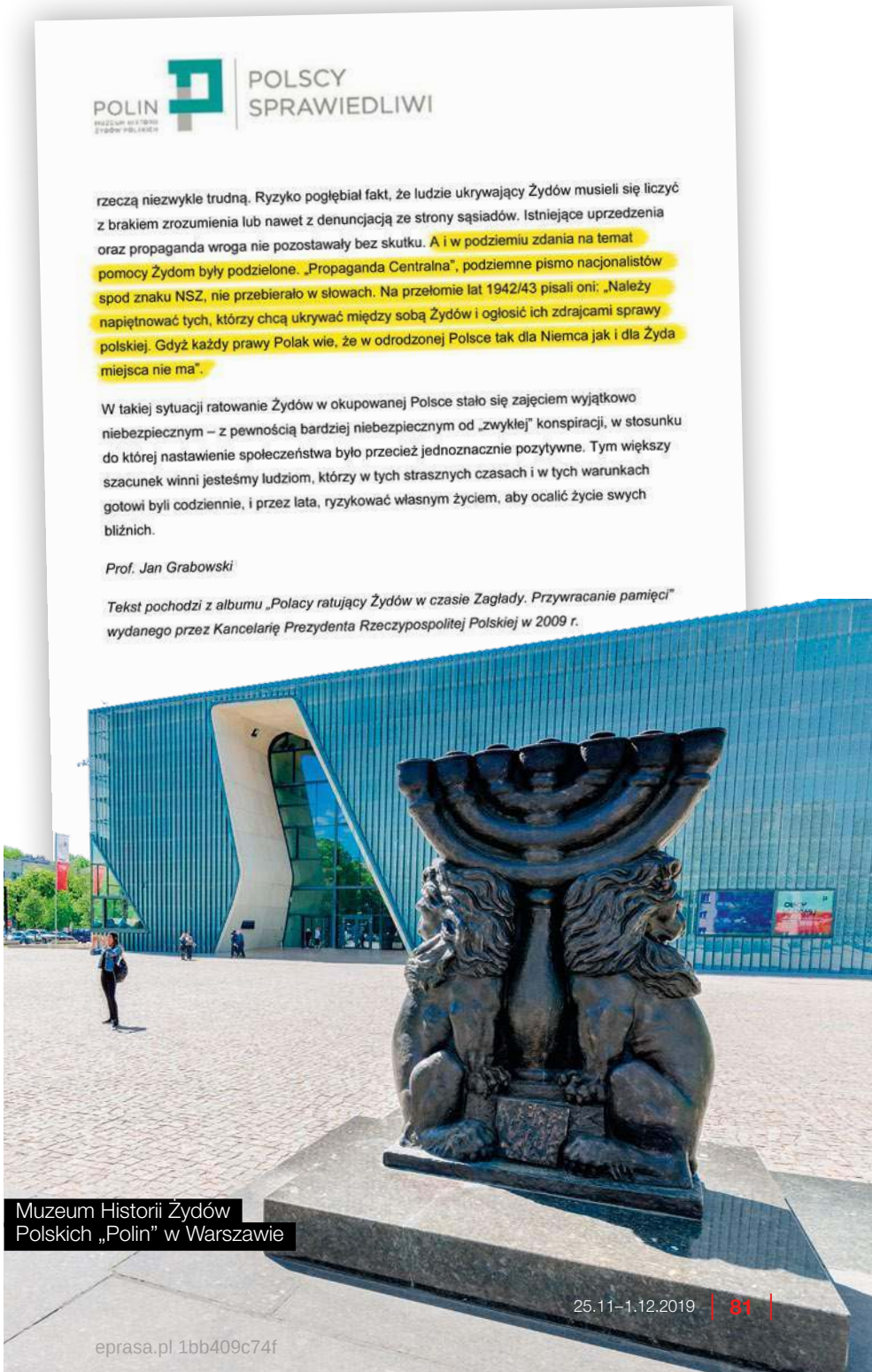
udziału straży pożarnej w niemieckiej „akcji" – w Wołominie. Wkrótce ten sam „Biuletyn Informacyjny" zamieścił w tej sprawie sprostowanie: „Naoczny świadek będący przy likwidacji getta w Wołominie stwierdza, że w B.[iuletynie] I.[nformacyjnym] mylnie przypisuje się Straży Ogniowej w Wołominie wykrywanie Żydów oraz przodownictwo w grabieży. Z polecenia żandarmerii Straż Pożarna zaalarmowana i otrzymała polecenie dopomagania policji w niedopuszczaniu ludności cywilnej do grabieży. – B.[iuletyn] I.[nformacyjny] prostuje powyższą pomyłkę z całą satysfakcją, wyłączając straż wołomińską z grona mętów, które swym współdziałaniem w likwidowaniu Żydów i grabież ich mienia – przynieśli hańbę Narodowi Polskiemu". O tym sprostowaniu w swoich tekstach Grabowski już nie pisze.

Informacje jakoby „udział strażaków w zbrodniach niemieckich odnotowała nawet centralna prasa podziemna" są nie do końca prawdziwe. Ale kontynuując swoje wywody w książce „Dalej jest noc...", Grabowski napisał: „Biuletyn »Informacja Bieżąca«" donosił [...] zaś o wydarzeniach towarzyszących likwidacji getta w Stoczku [Węgrowskim]: »w wysiedleniu Żydów 24 X [1942] haniebny udział wzięła polska Straż Ogniowa wyciągając ich z mieszkań, rabując mienie. Katowskie pachołki doczekały się pochwały od niemieckiego Starosty«". „Informacja Bieżąca" w ogóle nie jest prasą. To wewnętrzny biuletyn organizacyjny przechowywany w dokumentach po Departamencie Informacji i Prasy Delegatury Rządu na Kraj. A więc żadnych doniesień prasowych o strażakach ze Stoczka nie ma.

Tymczasem we wstępie do książki „Dalej jest noc...", omawiając wspomniane zagadnienie, posunięto się krok dalej: „[W] Węgrowie i w Stoczku Węgrowskim strażacy nie tylko wzięli udział w likwidacji gett, ale wręcz zgłosili się w tym celu na ochotnika o czym informowała polska prasa konspiracyjna". Tu do fałszywej historii o doniesieniach prasowych na temat Stoczka dopisano Węgrów oraz informację, że strażacy mieli się zgłosić do akcji antyżydowskiej na ochotnika. Ta informacja została tu chyba zmyślona. Co więcej, w jednej z ostatnich publicznych wypowiedzi prof. Grabowski powiedział nawet, że konspiracyjna prasa pisała o akcji strażaków w akcji w Węgrowie, iż miał ona charakter „ochotniczy, niezależny i morderczy". Nic takiego w żadnej prasie konspiracyjnej nie ma.

Charakterystyczny brak elementarnej dyscypliny naukowej pisarstwa tegoż autora oraz rzetelności w przywoływaniu źródeł powodują, że sytuacja jest rozwojowa. Zobaczymy, co on i całe to towarzystwo z „nowej polskiej szkoły Holokaustu" wymyśli albo przerobi nożyczkami następnym razem.

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej. Tekst odzwierciedla wyłącznie poglądy autora


POLIN
POLSCY SPRAWIEDLIWI

rzeczą niezwykle trudną. Ryzyko pogłębiał fakt, że ludzie ukrywający Żydów musieli się liczyć z brakiem zrozumienia lub nawet z denuncjacją ze strony sąsiadów. Istniejące uprzedzenia oraz propaganda wroga nie pozostawały bez skutku. A i w podziemiu zdania na temat pomocy Żydom były podzielone. „Propaganda Centralna", podziemne pismo nacjonalistów spod znaku NSZ, nie przebierało w słowach. Na przełomie lat 1942/43 pisali oni: „Należy napiętnować tych, którzy chcą ukrywać między sobą Żydów i ogłosić ich zdrajcami sprawy polskiej. Gdyż każdy prawy Polak wie, że w odrodzonej Polsce tak dla Niemca jak i dla Żyda miejsca nie ma".

W takiej sytuacji ratowanie Żydów w okupowanej Polsce stało się zajęciem wyjątkowo niebezpiecznym – z pewnością bardziej niebezpiecznym od „zwykłej" konspiracji, w stosunku do której nastawienie społeczeństwa było przecież jednoznacznie pozytywne. Tym większy szacunek winni jesteśmy ludziom, którzy w tych strasznych czasach i w tych warunkach gotowi byli codziennie, i przez lata, ryzykować własnym życiem, aby ocalić życie swych bliźnich.

Prof. Jan Grabowski

Tekst pochodzi z albumu „Polacy ratujący Żydów w czasie Zagłady. Przywracanie pamięci" wydanego przez Kancelarię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 2009 r.

Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin" w Warszawie

Fot. piotrbb/Shutterstock.com

eprasa.pl 1bb409c74f

Śmierć NATO i przepaść Europy

To, co Macron powiedział angielskim dziennikarzom, wywołało poza granicami Francji zamieszanie polityczne. Przy czym szczególną sławę zdobył prezydencki bon mot o „mózgowej śmierci NATO”



JAN ROKITA

Na okładce Emmanuel Macron w pozie zamyślonego filozofa, wewnątrz numeru długi i pełen uwielbienia esej o ideach prezydenta Francji, a na portalu pełny tekst trwającego godzinę wywiadu. Tak właśnie uczcił ostatnio Macrona brytyjski tygodnik „The Economist” (numer z 9–15 listopada).

NA KOLIZYJNYM KURSIE

Już samo to, że sławne angielskie pismo podejmuje się roli apologety polityka dość brutalnie traktującego ostatnio Wielką Brytanię i jej polityczne interesy, przyciąga uwagę i domaga się jakiegoś objaśnienia. Ale istotniejsze jest, że to, co Macron powiedział angielskim dziennikarzom, wywołało poza granicami Francji niejakie zamieszanie polityczne. Przy czym szczególną sławę zdobył prezydencki bon mot o „mózgowej śmierci NATO”, co ciekawe, sformułowany prowokacyjnie krótko przed londyńską celebrą 70-lecia istnienia sojuszu. Macron rychło doczekał się więc tego, iż od jego opinii stanowczo odcinają się Waszyngton, Berlin i Warszawa. W tym ostatnim przypadku, znając nastawienie prezydenta Francji do naszego państwa, ma on może nawet jakąś dozę satysfakcji.

To całkiem zrozumiałe, że w materii tak wrażliwej, jak sojusz obronny oparty na zasadzie bezwzględnej solidarności, deklaracja jego „mózgowej śmierci” w ustach szefa państwa nie tylko należącego do tego sojuszu, lecz również dysponującego w nim drugą po USA potęgą militarną, musiała się stać swego rodzaju sensacją. Nic więc dziwnego, że akurat w tych trzech krajach: w Polsce, Niemczech i Ameryce, rzecz nie mogła pozostać bez jednoznacznej reakcji. Premier Mateusz Morawiecki był szczególnie wobec Macrona konfrontacyjny, zasugerował bowiem na łamach „Financial Timesa”, że Paryż szuka po prostu pretekstu dla ewentualności własnego niewywiązywania się ze zobowiązań na przyszłość. Angela Merkel zadowoliła się oschłym uznaniem retoryki Macrona za „nazbyt drastyczną”, dodając, iż choć NATO ma różne kłopoty, to bon mot Macrona „nie opisuje jej poglądów”. Sekretarz stanu Mike Pompeo z właściwym Amerykanom patosem wychwalał NATO jako „najbardziej przełomowe partnerstwo w historii”. Macrona publicznie bronił za to nowy (od grudnia) szef unijnej dyplomacji – hiszpański socjalista Josep Borrell. I choć nie bez przyczyny (podobnie jak następca Tuska – Belg Michel) uważany za stronnika Macrona, robił to chyba z małym przekonaniem, gdyż jego główny argument brzmiał, iż prezydencki bon mot... został wyrwany z kontekstu. „Nie ma się co tym aż tak podniecać” – mówił Borrell dziennikarzowi „Le Monde”.



Ale prawdę mówiąc, Hiszpan miał sporo racji. Albowiem w całym tym osławionym już wywiadzie Macron w gruncie rzeczy mówi to, co i tak dobrze już o jego poglądach wiadomo. Gdy idzie o NATO, to niepomiernie zirytowali go prezydenci USA i Turcji, którzy mieli śmiałość zawrzeć porozumienie na temat działań w Syrii bez zapytania Francji o zdanie. Chodzi – jak wiadomo – o kontrowersyjny, ale (co już dziś widać) całkiem zrozumiały układ Erdoğana z Trumpem, w którym ten ostatni pozwolił Turkowi na wypchnięcie Kurdów z pogranicza syryjsko-tureckiego, m.in. po to, by Ankara mogła osiedlić tam część spośród trzech milionów syryjskich uchodźców okupujących dziś tureckie miasta. Jak się dowiadujemy z wywiadu, Macron zadzwonił do Trumpa, zarzucając mu, iż w ten sposób umożliwia ucieczkę siedzących w kurdyjskich więzieniach Europejczyków – dżihadystów z tzw. Państwa Islamskiego, na co usłyszał: „Emmanuel, to twoje sąsiedztwo, nie moje”. Wtedy właśnie pomyślał: „Obudź się! Mózg NATO umarł”. Macron ciągnie dalej opowieść w tonie skargi: „I masz oto zupełnie nieskoordynowaną agresywną akcję tureckiego alianta z NATO w strefie, gdzie w grze są przecież nasze interesy”.

eprasa.pl 1bb409c74f

Rzecz w tym, że turecka akcja była „skoordynowana", tyle że z Waszyngtonem i Moskwą. Ale nie z Paryżem, co tak okropnie poirytowało prezydenta. Można z praktyczną pewnością przypuścić, iż gdyby Erdoğan uzgodnił swoją politykę jedynie z Macronem i z nikim innym, to w Pałacu Elizejskim nie zrodziłaby się myśl o „mózgowej śmierci NATO". Macron dociskany przez dwójkę angielskich dziennikarzy, czy zatem sądzi, iż sławny artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego (ten od reguły: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego") już nie działa, odpowiada z charakterystyczną dla tego wywiadu, stylizowaną na filozofa zadumą: „Nie wiem, ale cóż będzie znaczyć artykuł 5 w przyszłości?". Nic tu w gruncie rzeczy nie ma naprawdę nowego.

To, że polityka Macrona jest nie od dziś na kolizyjnym kursie z Ameryką i Turcją, nie jest najmniejszą niespodzianką. A pogląd, iż Amerykanie zbytnio panoszą się w NATO, niewiele sobie robiąc z atomowej mocarstwowości Francji, jest stałym punktem francuskiej „doktryny państwowej" co najmniej od czasu Charles'a de Gaulle'a, który z tego właśnie powodu zdecydował niegdyś o zerwaniu francuskich zobowiązań wojskowych, mimo rosnącej wtedy w siłę potęgi sowieckiej. Macron jest pod tym względem prostym spadkobiercą tego złego dziedzictwa francuskiej polityki, może tylko bardziej nerwowym i przeczulonym, gdyż pogrążona w kryzysie społecznym Francja znaczy dziś w polityce globalnej zapewne mniej niż pół wieku temu. NATO dla Francji nigdy nie było i nie będzie obiektem zbyt wielkiej lojalności.

STARE UPRZEDZENIA, NOWE FRAZY

Dość podobnie rzecz ma się z opiniami Macrona na temat Europy, które wypełniają większość zarówno wywiadu, jak i dziennikarskiego eseju z „The Economist". „Europa jest nad brzegiem przepaści" – mówi Macron (co redakcja wybija na okładkę tygodnika). „I jeśli się nie obudzimy... to znikniemy geopolitycznie albo przynajmniej utracimy dalszą kontrolę nad naszym przeznaczeniem". Hmm... Macron lubi takie podniosłe frazy, nawet jeśli nie wiadomo, o co w nich może chodzić.

Czym zatem jest ta przepaść, nad którą właśnie zawisła Europa? „Od lat 90. Unia Europejska traci swój cel, skoncentrowana na rynkowej ekspansji i prawnych regulacjach" – mówi prezydent. Wielkie rozszerzenie Unii na Wschód z 2004 r., unijna polityka sąsiedztwa, która skłoniła Ukraińców do proeuropejskiej rewolucji czy polityka spójności pomagająca narodom Europy Środkowej wyrwać się z pętli zapóźnienia – to są wszystko dla francuskiego prezydenta cele nieistniejące. Też w sumie nic nowego, gdy idzie o politykę Paryża. Środek i wschód Europy to dla Macrona (tak jak dla wielu francuskich polityków i ideologów) kraina politycznie niekarolińska, tradycyjnie budząca tylko zainteresowanie i ekspansję ekonomiczną Niemiec. Nie przypadkiem Chirac chciał niemal do końca zablokować albo co najmniej opóźnić przyjęcie Polski do Unii.

> Dziś we Francji niemal otwarcie się przyznaje, że rozszerzenie Unii z 2004 r. było błędem, który z jednej strony wzmocnił Niemcy, a z drugiej utrudnił spokojne dogadywanie się i robienie interesów z Rosją

Dziś we Francji niemal otwarcie się przyznaje, że tamto rozszerzenie było błędem, który z jednej strony wzmocnił Niemcy, a z drugiej utrudnił spokojne dogadywanie się i robienie interesów z Rosją. Dla Macrona cały ów tak kluczowy dla sensu europejskiej integracji tok zdarzeń z początku XXI w.to nic więcej, jak tylko historia „utraty celu przez Unię". Dlatego właśnie, aby pomóc w odzyskaniu owego celu, Macron dopiero co twardo zawetował unijne aspiracje Albanii i Macedonii. A w wielkim 12-stronicowym wywiadzie dla konserwatywnego magazynu „Valeurs Actuelles" (numer z 31 października – 6 listopada) wywodził, iż woli czarnych przybyszów z Gwinei i Wybrzeża Kości Słoniowej niż „bułgarskich i ukraińskich przemytników", czym wywołał kryzysy dyplomatyczne w relacjach z Sofią i Kijowem.

Na domiar złego prezydenta irytuje jeszcze unijna „ekspansja rynkowa", która wymaga konkurencyjnego rynku i dyscypliny finansów publicznych, czyli dwóch rzeczy, których od zawsze protekcjonistyczna Francja wyjątkowo nie lubi. A które sprawdzają się dotąd nieźle w Niemczech, Czechach, na Węgrzech, w Polsce, a nawet w pogardzanej przezeń Bułgarii.

„MYŚLICIEL" I UWODZICIEL

Nie jest łatwo pojąć, dlaczego tym napuszonym, ale płytkim myślowo wyznaniom prezydenta Francji, na dodatek (poza bon motem o „mózgowej śmierci NATO") nieprzynoszącym niczego nowego w stosunku do dziesiątek jego wcześniejszych wystąpień, redakcja poważnego i prestiżowego brytyjskiego tygodnika nadała status „politycznego objawienia". Trzeba przyznać, że miejscami robi to aż wrażenie parodii, np. gdy publicyści „The Economist" przekonują czytelników, iż Macron – w przeciwieństwie do innych światowych przywódców – to „myśliciel", gdyż „każdego dnia godzinę lub dwie próbuje czytać", w rozmowie zaś przechodzi od „psychologicznego portretu Putina do ryzyk związanych z niskimi stopami procentowymi".

Zdaje się, że angielska redakcja tego ważnego dla europejskich inteligentów tygodnika tak bardzo została wytrącona z równowagi wydarzeniami brexitu na Wyspach, iż teraz szuka na kontynencie europejskim jakiegoś punktu odniesienia, w którym mogłaby ulokować nadzieje na lepszy niż dotąd model integracji Europy. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Macron potrafił uwieść swoim osobistym czarem tych inteligentnych i proeuropejsko nastawionych Anglików.

eprasa.pl 1bb409c74f



Fot. OLGA MALTSEVA/AFP/East News

Krwawy historyk

Pijany mężczyzna w rzece. Obok plecak z obciętymi rękoma kobiety. W ten sposób rozpoczęła się jedna z najgłośniejszych spraw kryminalnych w Rosji ostatnich lat. Elektryzuje ona opinię publiczną nie tylko dlatego, że dotyczy ludzi znanych, lecz przede wszystkim z tego powodu, że w niej jak w soczewce skupia się obraz współczesnej Rosji, kraju, gdzie przedstawiciele elity mogą więcej



MAREK BUDZISZ

W sobotni poranek, 9 listopada, przechodnie w Petersburgu rzucili się na pomoc tonącemu mężczyźnie. Uratowanym okazał się znany w Rosji historyk, specjalista od epoki napoleońskiej i twórca ruchu rekonstruktorów Oleg Sokołow. W całej sprawie nie byłoby niczego nadzwyczajnego, nawet że mężczyzna był kompletnie pijany, gdyby nie to, że wraz z nim z Mojki, dopływu Newy, wyciągnięto plecak, w którym obok pistoletu znaleziono dwie kobiece ręce.

Jak się później okazało, Sokołow najprawdopodobniej chciał je utopić, ale feralny plecak nie chciał tonąć, historyk starał się dodatkowo go obciążyć i stracił równowagę, o co w jego stanie nie było zresztą trudno, i wpadł do wody. Policja udała się do znajdującego się nieopodal mieszkania uratowanego i tam znalazła zakrwawioną piłę oraz pozostałe fragmenty ciała młodej kobiety, którą okazała się Anastazja Jeszczenko, 24-letnia kursantka studiów podyplomowych, a prywatnie od czterech lat „partnerka" 64-letniego Sokołowa. Ustalono też, że najprawdopodobniej do zabójstwa doszło dwa dni wcześniej.

Rosyjska opinia publiczna dowiedziała się również o tym, że kiedy ciało młodej kobiety leżało w jednym z pokojów dużego mieszkania historyka, ten przyjmował gości, sporo przy okazji pijąc. Dopiero po tym, jak przyjęcie się skończyło, postanowił „posprzątać", krzepiąc się przy tym dodatkowo sporymi porcjami alkoholu, co zakończyło się znanym finałem w Mojce.

BLISKO WŁADZY

W ten sposób rozpoczęła się jedna z najgłośniejszych spraw kryminalnych w Rosji ostatnich lat. Elektryzuje ona opinię publiczną nie tylko dlatego, że dotyczy ludzi znanych, lecz również, a może przede wszystkim z tego względu, że w niej

eprasa.pl 1bb409c74f

jak w soczewce skupia się obraz Rosji współczesnej, kraju, gdzie przedstawiciele elity mogą więcej.

Oleg Sokołow z pewnością należał do rosyjskiej elity. Był wykładowcą historii na renomowanym petersburskim uniwersytecie (piszę w czasie przeszłym, bo został z niego usunięty), którego rola w kraju jest szczególna, bo na nim studiowała niemała część rosyjskiej elity. Ale nie tylko to świadczyło o jego pozycji. Jest on uznanym nie tylko w Rosji, lecz również na świecie specjalistą epoki napoleońskiej. Wykładał gościnnie na Sorbonie, wchodził w skład kolegium naukowego lyońskiego Instytutu Nauk Społecznych, Politycznych i Ekonomicznych, jest kawalerem francuskiej Legii Honorowej oraz członkiem Rady Naukowej założonego przez Putina Rosyjskiego Towarzystwa Wojenno-Historycznego, którego celem jest propagowanie chwały rosyjskiego oręża. Na jego czele stoi urzędujący minister kultury Władimir Medinski.

Zresztą związki Sokołowa z obecną władzą są bogatsze. Sokołow, wykorzystując swe francuskie kontakty, wespół z deputowanym Leonidem Słuckim, wówczas kierującym komisją spraw zagranicznych rosyjskiej Dumy, doprowadzili w 2015 r. do odwiedzenia zaanektowanego Krymu przez grupę francuskich deputowanych.

Na początku nowego wieku petersburski historyk blisko współpracował z innym pasjonatem epoki napoleońskiej, Wiktorem Baturinem, przedsiębiorcą i starszym bratem najbogatszej Rosjanki Jeleny Baturiny, żony Jurija Łużkowa, byłego mera Moskwy, a przez wiele lat „silnego człowieka" rosyjskiej polityki.

Sokołow jest przy tym niezwykle barwną postacią, historycznym celebrytą współczesnej Rosji. Ten twórca ruchu rekonstrukcyjnego, specjalizujący się w epoce napoleońskiej lubił występować w mundurach francuskich generałów z epoki. Niemała grupa obserwatorów jego działalności sądzi wręcz, że uważał się za reinkarnację Napoleona, na co ma wskazywać to, że kazał do siebie mówić „monsieur". Te ostatnie informacje uzupełniane są przekazami o jego niesłychanej drobiazgowości w doborze munduru, uprzęży końskiej, nawet gestów oraz póz, po to, aby maksymalnie oddać obraz czasów, które rekonstruował. Zdaniem niektórych w gruncie rzeczy Sokołow był człowiekiem, któremu „pomyliły się" epoki, który w XXI w. chciał żyć tak, jak 200 lat wcześniej.

LINIA OBRONY

Te głosy są oczywiście wykorzystywane przez obronę, która najpierw lansowała tezę o działaniu w afekcie historyka zabójcy, a później zaczęła się koncentrować na dowodzeniu, że w chwili zabójstwa był on niepoczytalny. O szaleństwie Sokołowa ma świadczyć choćby to, że planował ponoć, już po ukryciu zwłok swej ofiary (po co miałby zatem to robić?), samobójstwo w mundurze z epoki napoleońskiej na oczach turystów. Obecnie obrona koncentruje się na wpływie faz księżyca na psychikę historyka zabójcy, ich szczególna koniunkcja ma ponoć sprzyjać wyzwoleniu głęboko skrywanych emocji i prowadzić do ujawnienie schizofrenii, dotąd bezobjawowej.

Teza o działaniu w afekcie upadła po tym, jak specjaliści medycyny sądowej odkryli, że ofiara została zastrzelona we śnie. Sokołow mierzył bezpośrednio w jej głowę, oddał cztery strzały, wszystkie celne.

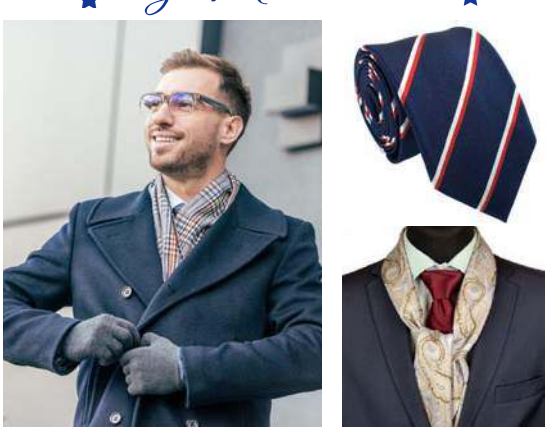
NADUŻYWANIE POZYCJI WYKŁADOWCY

Niemało dyskusji w rosyjskich mass mediach wzbudza też sfera obyczajowa związku 64-letniego historyka i jego studentki, 24-letniej ofiary. Pojawiają się pytania, czy w istocie nie dochodziło do nadużywania pozycji wykładowcy i pracownika wobec młodej kobiety. Pytania te są o tyle uprawnione, że pochodząca ze stanicy kozackiej zamordowana Anastazja Jeszczenko była, jak opowiadają prasie jej koleżanki, dziewczyną spokojną, cichą, typem pilnej uczennicy, wyraźnie zafascynowaną znanym historykiem, a przy tym bardzo biedną, która w drogim Petersburgu z trudem wiązała koniec z końcem. Zdolna, pracowita, młoda dziewczyna z prowincji, która chciała zostać na uczelni. To zresztą trzecia „partnerka" Sokołowa, który był już wcześniej dwukrotnie żonaty. Pierwszą żonę poznał, kiedy ta była jeszcze uczennicą szkoły średniej i miała podobnie jak ostatnia w momencie zawarcia znajomości 19 lat. O drugiej niewiele wiadomo.

Chodzi w tym przypadku nie tylko o możliwe nadużywanie relacji wykładowca–student, ale o toczącą się w Rosji już od kilku lat dyskusję na temat przemocy w rodzinie

REKLAMA

Świąteczne Upominki
Jedwabie Ręcznie Malowane
z Milanówka



Krawaty, Poszetki, Szale Męskie
Ręcznie Malowane Jedwabie:
Apaszki, Gawroszki, Szale Damskie
www.luma-milanowek.pl

Luma Milanówek

5/1119/F

eprasa.pl 1bb409c74f

i pobłażliwości władz wobec niej. To, że mężczyzna ucieka się do przemocy wobec żony, traktowane jest w Rosji jako część jej „kultury", a w związku z tym nie powinno być ścigane, a jedynie łagodnie piętnowane. Podobnie to – jak argumentuje Paweł Krotow, profesor historii Uniwersytetu w Petersburgu, a prywatnie kolega z instytutu Sokołowa – że profesorowie żenili się ze swymi studentkami, było częścią jeszcze XIX-wiecznej rosyjskiej kultury. Dla uzasadnienia tego poglądu powołuje się na własny przykład: „Wszystkie trzy razy żeniłem się ze swoimi studentkami. Za pierwszym razem miałem 30 lat, dziś mam 58 lat, syn ma sześć miesięcy, chcemy więcej, najlepiej trójkę dzieci. Rodzina jest szczęśliwa. Między mną a żoną są 33 lata różnicy, z drugą dzieliło nas 21 lat, z pierwszą 13. Kiedy żeniłem się z pierwszą żoną, miała ona 18 lat, druga 19, a trzecia 24". Ale Krotow mówi coś jeszcze. Jego zdaniem przekonanie, że małżonkowie winni być zbliżeni wiekiem, jest nie tylko pozostałością również XIX-wiecznego myślenia chłopów pańszczyźnianych, lecz przede wszystkim przejawem współczesnej psychologii mas. „Ale jest grupa – dowodzi – wąska warstwa wykształconych ludzi, którzy myślą inaczej niźli masa". Trudno o bardziej przejrzystą ideologię „elity", która kieruje się w codziennym życiu innymi wartościami niźli ciemna masa i której, z racji wykształcenia i pozycji w hierarchii społecznej, wolno więcej.

Julia Bałachonowa, dziennikarka internetowej gazety Snob, która studiowała historię na uniwersytecie w Petersburgu, pisze wprost, że intymne relacje wykładowców ze studentkami były częścią „kultury" wydziału, nie tylko tolerowanej, lecz wręcz aprobowanej przez kadrę. „Już na pierwszym roku – wspomina dziennikarka – od wielu ludzi słyszałam opowieści o tym, jak jeden wykładowca złapał swego kolegę, kiedy ten uprawiał seks ze studentką w auli. Inny, który zresztą nadal pracuje, ma zwyczaj zapraszać studentki do teatru i proponować kontynuację wieczoru w bardziej intymnym otoczeniu. Sama widziałem Sokołowa, który całował się ze studentką w nadjeżdżającym autobusie. Wszystko to było traktowane jako coś całkowicie normalnego, część »roboczej atmosfery«, w której wszyscy funkcjonowali".

BEZKARNY

Sokołowowi przez lata było więcej wolno niźli innym. Jeszcze w latach, kiedy współpracował z Wiktorem Baturinem, miał w swym moskiewskim mieszkaniu związać, pobić i grozić przypaleniem rozgrzanym żelazkiem innej młodej kobiecie, która odrzuciła jego zaloty. Mimo że ta zgłosiła całą sprawę policji, zamieciono ją pod dywan. Podobnie zresztą jak zajście, do którego doszło na wykładzie historyka w 2018 r., kiedy to jeden ze studentów zadał mu niewygodne pytanie. Reakcja Sokołowa była zaskakująca. Kazał dwóm dobrze zbudowanym młodzieńcom wyrzucić studenta z sali i przy okazji „palnąć go w łeb". Kilka lat wcześniej w muzeum Bitwy pod Borodino Sokołow wywołał awanturę rozwścieczony tym, że organizatorzy rocznicowej rekonstrukcji zaprosili amerykańskiego aktora, a nie jego, do odgrywania roli Napoleona. Miał nawet wezwać podporządkowane mu oddziały rekonstruktorów do szturmowania dyrekcji muzeum. Skończyło się na kilkuletniej banicji nerwowego historyka rekonstruktora z rocznicowych obchodów. Wcześniej, jeszcze za czasów ZSRR, miał on, będąc instruktorem w grupie młodych zapaleńców żeglarzy, przy okazji kręcenia filmu doprowadzić do katastrofy, w której zginął jeden z uczestników przedsięwzięcia. Wątek filmowy w życiu historyka zabójcy jest zresztą ciekawy również z innego powodu. Otóż w tym samym czasie, jak argumentuje w rozmowie z Radiem Svoboda Nikołaj Waszczilin, kaskader współpracujący z Lenfilmem, leningradzką wytwórnią filmową, kiedy Sokołow dorabiał sobie, współpracując z nią, często w podobnym charakterze bywała tam grupa młodych chłopców trenujących judo i sambo, wśród nich obecni byli przyszły prezydent Rosji Władimir Putin i jeden z najbogatszych przedsiębiorców Arkadij Rotenberg. Niewykluczone, że ich drogi w pewnym momencie się przecięły.

> Leonid Gozman, wykładowca akademicki, psycholog i jeden z bliskich współpracowników Jegora Gajdara, komentując sprawę Sokołowa, napisał, że „jest ona skrajnym, patologicznym przejawem świata wartości i mentalności naszego kierownictwa"

PONAD 80 TYS. PODPISÓW

Polityka już wkracza i będzie wkraczać w sprawę Sokołowa. Grupa lokalnych radnych, wspieranych przez Nawalnego, rozpoczęła zbieranie podpisów pod petycją domagającą się odwołania Nikołaja Kropaczewa, rektora uniwersytetu w Petersburgu. Zebrano już ponad 80 tys. podpisów. Sprawa jest tym ciekawsza, że wpisuje się w wojnę rosyjskich klanów władzy. Uniwersytet to nie tylko olbrzymie pieniądze, lecz również ważna placówka w rosyjskim systemie politycznym. Kropaczew jest protegowanym premiera Miedwiediewa, walczą z nim inne frakcje, wspierane przez kierującą izbą wyższą rosyjskiego parlamentu Walentinę Matwijenko. Wnioskodawcy zarzucają rektorowi, że ten nie podjął zawczasu niezbędnych kroków, wiedząc o wyskokach Sokołowa.

Leonid Gozman, wykładowca akademicki, psycholog i jeden z bliskich współpracowników Jegora Gajdara, komentując sprawę Sokołowa, napisał, że „jest ona skrajnym, patologicznym, przejawem świata wartości i mentalności naszego kierownictwa".

eprasa.pl 1bb409c74f



Morales: ikona lewicy. Ze skazą

Fot. Grigory Sysoev / Sputnik / EastNews

Evo Morales mógł się zapisać w historii jako pierwszy przywódca Boliwii wywodzący się spośród ludności indiańskiej, który dźwignął najniższe warstwy społeczne z biedy. Jako latynoamerykański Nelson Mandela. Miast tego musiał uciekać 10 listopada z kraju, wypędzony przez obywateli, którzy go przez ostatnie lata lojalnie wspierali. Morales jak wielu innych tamtejszych liderów zbytnio pokochał bowiem władzę



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

W 2016 r. zorganizował referendum, które miało umożliwić mu wieczne rządy. Choć je przegrał, postanowił ponownie wystartować w wyborach prezydenckich w październiku tego roku, łamiąc konstytucję, która ograniczyła liczbę kadencji prezydenta do dwóch. Wybory wygrał, ale natychmiast pojawiły się zarzuty o fałszerstwa. Po tym, jak Organizacja Państw Amerykańskich (OPA) opublikowała raport kwestionujący oficjalne wyniki wyborów, w Boliwii wybuchły gwałtowne protesty. Morales próbował ratować sytuację, proponując ponowne głosowanie, ale było już za późno. Wojsko zwróciło się przeciwko niemu i zmusiło do opuszczenia kraju. Niegdysiejszego bohatera rdzennej ludności Boliwii przygarnął lewicowy rząd Meksyku.

EVONOMICS

Gdy Morales, który nabył politycznego doświadczenia jako działacz związku zawodowego „cocaleros", chłopów uprawiających kokę, został w 2006 r. prezydentem, mówił o niedoli rdzennych mieszkańców Boliwii, gnębionych przez białą elitę wielkomiejską, potomków europejskich kolonizatorów. To rasizm, kolonializm i imperializm hamowały jego zdaniem rozwój Boliwii. „Nigdy nie byliśmy uważani w tym kraju za ludzi, choć to my jesteśmy prawowitymi właścicielami tej ziemi i jej zasobów

eprasa.pl 1bb409c74f


Nicolás Maduro

naturalnych" – mówił w przemówieniu z okazji swojej inauguracji. Chodziło mu o andyjskie ludy, m.in. Ajmara i Keczua, które stanowią większość mieszkańców Boliwii. Sam się z nich wywodzi, jest słabo wykształcony (szkoły wyższej o profilu rolniczym nie ukończył) i, podobnie jak jego wyborcza baza, długo utrzymywał się z uprawy koki.

Konsekwentnie stylizował się na przywódcę ludowego, ubierając się w swetry z wełny alpaki, grał w piłkę nożną oraz na trąbce, ale przede wszystkim walczył z amerykańskimi wpływami, szczególnie staraniami administracji w Waszyngtonie, by ograniczyć uprawę koki w Boliwii. W 2008 r. wyrzucił ambasadora USA z kraju, a rok później amerykańską agencję do zwalczania przestępczości narkotykowej (Drug Enforcement Administration). Amerykańskie media okrzyknęły go więc „narkoprezydentem" rządzącym Boliwią niczym „tyran" („Wall Street Journal") i zalewającym Amerykę kokainą. Faktem jest, że uprawa koki to ważny element boliwijskiej gospodarki, dający wyżywienie tysiącom chłopów. A ci stanowili rdzeń władzy Moralesa. Według niego i jego zwolenników stanowią zwyczajnie element kultury Boliwii.

Nie da się też ukryć, że prezydent stojący na czele Ruchu na rzecz Socjalizmu (Movimiento al Socialismo – MAS) głośno krytykował neoliberalizm, kapitalizm, hegemonię Ameryki i usiłował zmniejszyć zależność Boliwii od Banku Światowego i Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW). Boliwia dołączyła za jego rządów do lewicowego Boliwariańskiego Sojuszu Narodów Naszej Ameryki (ALBA) i znacznie zbliżyła się z Rosją, stając się ważnym elementem prorosyjskiej osi państw latynoamerykańskich, obok Kuby, Nikaragui i Wenezueli. Morales okazał się jednak w kwestiach gospodarczych o wiele bardziej pragmatyczny niż przywódca Wenezueli Hugo Chávez, który po dojściu do władzy znacjonalizował gospodarkę, a przede wszystkim sektor naftowy. Boliwijski prezydent postawił na własną wersję „gospodarki mieszanej", zwanej evonomics. Nie odebrał zagranicznym koncernom naftowym i gazowym majątku, tylko wymusił na nich wysokie opłaty za eksploatację złóż naturalnych (82 proc. zysków szło w konsekwencji do państwa, a 18 proc. do firm). Uzyskane w ten sposób środki poszły na szeroko zakrojone programy socjalne, jak walkę z analfabetyzmem i ubóstwem oraz rozbudowę infrastruktury, w tym dróg, i elektryfikację wsi.

W ciągu pierwszych ośmiu lat rządów Moralesa poziom ubóstwa zmniejszył się w Boliwii o 25 proc., a skrajnego ubóstwa o 43 proc. Jednocześnie płaca minimalna wzrosła o 87,7 proc. Rdzenna ludność została uznana formalnie w konstytucji i zyskała szeroką autonomię. Boliwia stała się państwem „wielonarodowym". Socjalizm Moralesa wydawał się skuteczny. Na tyle, że lewicowy brytyjski dziennik „The Guardian" polecił brytyjskiemu rządowi w 2014 r. , by „wziął przykład z Boliwii".

CHOROBA HOLENDERSKA

Inaczej niż bratnią Wenezuelę, którą „socjalizm XXI w." Cháveza w połączeniu z tzw. chorobą holenderską, czyli oparciem gospodarki na jednym sektorze – surowcach, zaprowadził na skraj przepaści. Chávez upaństwowił spółki produkujące ropę, oporne związki zawodowe zastąpił nowymi kooperatywami robotników. Tysiące doświadczonych pracowników sektora naftowego poszło na bruk i zostało zastąpionych zwolennikami Cháveza. Zagraniczne koncerny, o ile nie godziły się zostać „mniejszościowymi udziałowcami", zostały wywłaszczone, często bez rekompensat. Upaństwowione zostały również sektory energetyczny i telekomunikacyjny. Państwo rozrosło się, a wraz z nim wydatki budżetowe. Mimo iż ceny ropy utrzymywały się do 2008 r. na wysokim poziomie, wydatki państwa zaczęły przerastać zyski ze sprzedaży surowca. Gdy zabrakło pieniędzy, Chávez zaczął je dodrukowywać, powodując inflację. Infrastruktura zaczęła się sypać z powodu lat zaniedbań, pojawiły się przerwy w dostawach prądu, zabrakło żywności w sklepach, bo nie było czym zapłacić za import. Nigdy niewyleczona choroba holenderska w połączeniu z chorobą latynoamerykańską, czyli rozdmuchanym, skorumpowanym państwem, położyła kres marzeniom o dobrobycie.

Chávezowi udało się wywołać kryzys w samym środku boomu na ropę. Z tego kryzysu Wenezuela nie wyszła do dziś. W 2012 r. Chávez zmarł, zastąpił go Nicolás Maduro, a Wenezuela zamiast cieszyć się suwerennością, musi żebrać o pieniądze u Chińczyków, którzy w zamian żądają darmowych dostaw ropy. Kraj, który marzył o własnej drodze i zwrócił się przeciwko międzynarodowemu systemowi finansowemu, jest dziś w zasadzie państwem upadłym. Maduro utrzymuje się przy władzy tylko dlatego, że ma armię po swojej stronie.

ZŁA PASSA

Tyle że evonomics, jak pisze „Financial Times", w ostatnich latach rządów Moralesa także dotarło do swoich granic. Poziom skrajnego ubóstwa znów zaczął w Boliwii rosnąć, nie rozwiązano problemu zatrudniania dzieci, wręcz przeciwnie, zalegalizowano pracę dla 10-latków, a ponad milion Boliwijczyków wciąż ma do dyspozycji zaledwie kilka złotych dziennie. Poziom zagranicznego zadłu-

Fot. AFP / EastNews

eprasa.pl 1bb409c74f

żenia Boliwii od 2007 r. zwiększył się o 30 proc. Gospodarka kraju jest wprawdzie o wiele bardziej zdywersyfikowana i stabilna niż w Wenezueli, ale również bazuje głównie na eksploatacji i eksporcie surowców – ropy, gazu czy cyny. Kraje opierające swoją gospodarkę na eksporcie surowców bądź zewnętrznych źródłach finansowania zawsze są wrażliwe na wahnięcia na światowych rynkach.

W ostatnich latach rządów Moralesa rosła więc opozycja wobec niego, przede wszystkim w bogatej wschodniej prowincji Santa Cruz, gdzie skupia się prawicowa opozycja. Zarzucano mu korupcję, szczególnie po tym, jak jedna z jego byłych partnerek, z którą ma dziecko, Gabriela Zapata Montano, usiłowała załatwić chińskiej spółce kontrakt wart setki milionów dolarów, korzystając z uprzywilejowanego dostępu do prezydenta. Styl rządzenia Moralesa stawał się także coraz bardziej autorytarny. Jego przeciwnicy wskazywali na obsadzenie sądownictwa jego ludźmi i rosnącą presję na media.

– To nie jest tak, że Morales wtrącał opozycjonistów do więzień, kazał ich bić i torturować. On po prostu w pewnym momencie przestał słuchać społeczeństwa, które go wybrało – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" dr Joanna Gocłowska-Bolek z Ośrodka Analiz Politologicznych UW.

Odkrył zalety kultu jednostki. Oblicza Moralesa zaczęły zdobić osiedla mieszkaniowe, bilbordy, a nawet autobusy w stolicy, La Paz.

Gdy po przegranym referendum ws. zniesienia kadencyjności funkcji prezydenckiej Trybunał Konstytucyjny, obsadzony ludźmi Moralesa, uznał jego wynik za „niewiążący", dobra passa boliwijskiego przywódcy dobiegła końca. Niezadowolenie społeczne zaczęło rosnąć, spotęgowane planami prezydenta, by zrobić z Boliwii czołowego eksportera produktów rolnych w Ameryce Łacińskiej, kosztem środowiska i rdzennej ludności. Ustawa zachęcająca farmerów do osiedlania się na terenach zalesionych, budowa autostrady przez las amazoński oraz rozwinięcie sektora górniczego spowodowały, że część Ajmarów uformowała ruch opozycyjny wobec prezydenta i zadeklarowała, że „nie jest już jednym z nich". Sfałszowane wybory, wydaje się, były kroplą, która przelała czarę goryczy. – Ludzie uznali, że tego już za wiele, że musi odejść – podkreśla dr Gocłowska-Bolek.

CO DALEJ?

Wypędzenie Moralesa przebiegło dość bezkrwawo, szczególnie na tle innych krajów regionu, w tym Wenezueli. W starciach protestujących z policją zginęło zaledwie kilkadziesiąt osób. Gdy Morales uciekł do Meksyku, wielu ludzi wyszło na ulice świętować. Kraje członkowskie ALBA, w tym Kuba, Nikaragua i Wenezuela, oskarżyły USA o „zorganizowanie zamachu stanu w Boliwii" przy pomocy CIA i w celu uzyskania kontroli nad zasobami litu, kluczowego komponentu baterii i akumulatorów wykorzystywanych w telefonach komórkowych, laptopach czy samochodach elektrycznych. Dowodów na to nie ma, ale wielu lewicowych celebrytów, w tym kandydat w prawyborach demokratów na prezydenta USA Bernie Sanders, dołączyło do chóru. „Jeśli wojsko zmusza kogoś do rezygnacji z władzy, to nazywamy to przewrotem" – zadeklarował Sanders.

> Styl rządzenia Moralesa stawał się coraz bardziej autorytarny. Jego przeciwnicy wskazywali na obsadzenie sądownictwa jego ludźmi i rosnącą presję na media. Sfałszowane wybory przelały czarę goryczy. Nawet rdzenni mieszkańcy Boliwii uznali, że „nie jest już jednym z nich"

Moralesa bronił także lider brytyjskich laburzystów Jeremy Corbyn, który wcześniej znajdywał także pozytywne strony u Fidela Castro i Hugona Cháveza. Pisarz Paulo Coelho, popularny mistrz płytkich bon motów, uznał wręcz, że po odejściu boliwijskiego prezydenta kraj wpadł w ręce „pozbawionej skrupułów elity". Lewicowym mediom na Zachodzie, które tak wychwalały Moralesa, także jest ciężko pogodzić się z takim obrotem sytuacji. Niemiecki „Spiegel" konstatuje wręcz, że bez Moralesa „Boliwia się rozpadnie".

Jednak tymczasowa prezydent Boliwii, była wiceprzewodnicząca Senatu i prawicowa polityk z Partii Demokratycznej Jedności Jeanine Áñez, radykalnie zmienia kurs kraju. Ogłosiła zerwanie stosunków dyplomatycznych z wenezuelskim rządem Nicolása Maduro, oskarżając Wenezuelczyków związanych z ambasadą w La Paz o działania zagrażające wewnętrznemu bezpieczeństwu Boliwii. Nowy rząd podjął też decyzję o wystąpieniu Boliwii z lewicowego Boliwariańskiego Sojuszu Narodów Naszej Ameryki i zastanawia się nad wycofaniem się z Unii Narodów Ameryki Południowej (UNASUR). Wciąż dochodzi do starć zwolenników Moralesa z policją, którzy w proteście przeciwko jego usunięciu blokują ulice.

Krytycy Áñez zarzucają jej, że podejmuje decyzje, do których nie ma prawa jako tymczasowy przywódca, że najpierw powinny odbyć się wybory, tym razem niesfałszowane, by wyłonić nową głowę państwa. Ale do przeprowadzenia wyborów Áñez potrzebuje wsparcia parlamentu, gdzie większość ma partia Moralesa – MAS. A na ich zorganizowanie ma niewiele czasu: zaledwie 90 dni. Ich wynik jest równie niepewny. Po stronie opozycji nie ma jednoznacznego kandydata, Carlos Mesa, który miał pokonać Moralesa w październikowym głosowaniu, nie jest bowiem wspierany przez wszystkich przeciwników upadłego prezydenta Boliwii. Ten zresztą już marzy o powrocie do ojczyzny i domaga się interwencji ONZ oraz papieża Franciszka. „Wciąż jestem prawowitym prezydentem Boliwii" – zadeklarował. Mało kto jednak wierzy, że zaryzykuje powrót. Musiałby wówczas odpowiadać przed sądem za wyborcze fałszerstwa.

eprasa.pl 1bb409c74f

PKO BP, czyli bank przyszłości



Największy bank w Polsce w ciągu trzech lat chce się stać „firmą technologiczną z licencją bankową" – deklaruje prezes PKO Banku Polskiego Zbigniew Jagiełło. Droga do celu będzie prowadzić przez dalszą cyfryzację usług, personalizację obsługi klientów, a jednocześnie konsekwentną realizację niezwykle ambitnych celów finansowych, jakie bank stawia sobie w strategii do 2022 r.

Prezentacja strategii banku w Warszawie na specjalnej konferencji dla mediów i ekspertów była wydarzeniem w świecie krajowych finansów. Nic dziwnego, to właśnie PKO BP od lat nadaje ton polskiej bankowości jako instytucja o największych aktywach, liczbie klientów i realizowanych operacji, która przekracza już miliardy rocznie. Jeśli zatem PKO Bank Polski aktualizuje swoją dotychczasową strategię – wiedzcie, że dzieje się coś ważnego na rynku bankowym, w technologii i polskiej gospodarce.

BANK PRZYSZŁOŚCI

Lider polskiego sektora bankowego w kolejnych latach, w jeszcze większym niż dotąd stopniu, będzie wykorzystywał innowacje i nowoczesne technologie, zwinnie przekształcając się, jak to nazwano w czasie prezentacji strategii, w PKO Bank Przyszłości. Będzie także pogłębiał relacje z klientami przez dalszy intensywny rozwój kanałów zdalnych, wykorzystanie zaawansowanej analityki danych oraz precyzyjną personalizację oferty. Potężna sieć oddziałów banku będzie natomiast ewoluowała stopniowo w centra doradztwa i edukacji finansowej.

– Decyzje, które podjęliśmy kilka lat temu, stawiając na cyfryzację, innowacje i rozwój nowoczesnych technologii, procentują w naszych dobrych i powtarzalnych wynikach, udziałach rynkowych oraz satysfakcji klientów, która jest dla nas kluczowa. Osiągnięte dotychczas efekty potwierdzają, że wybraliśmy optymalny kierunek rozwoju – powiedział podczas prezentacji strategii Zbigniew Jagiełło, prezes PKO BP.

Prezes Jagiełło przekonywał: – Jesteśmy dobrze przygotowani na wyzwania, które stawia przed nami otoczenie oraz uzasadnione, wysokie oczekiwania, jakie mają wobec banku zarówno nasi klienci, akcjonariusze, jak i pracownicy.

SOLIDNE PODSTAWY

Już dziś obecna skala działania PKO Banku Polskiego dystansuje krajowych rywali w kluczowych kategoriach. Bank dysponuje bazą 10,9 mln klientów indywidualnych, obsługuje blisko 500 tys. firm i przedsiębiorstw oraz 15,7 tys. klientów korporacyjnych, samorządowych i instytucjonalnych. Do końca trzeciego kwartału br. udzielił im łącznie 253,3 mld zł finansowania, dbając jednocześnie o bezpieczeństwo powierzonych mu 303,5 mld zł oszczędności.

W ramach silnej Grupy Kapitałowej PKO BP działają liderzy w swoich segmentach rynku finansowego, m.in. PKO Leasing – z 13-procentowym udziałem w rynku oraz PKO TFI, który jest liderem na rynku funduszy inwestycyjnych dla osób fizycznych, mając w nim 21,3 proc. udziału.

Od momentu przyjęcia strategii w 2016 r. PKO Bank Polski poprawił swój zwrot z kapitału z 9,1 proc. na koniec 2016 r. do 10,9 proc. po trzecim kwartale 2019 r. W tym samym czasie systematycznie zwiększał efektywność działania, obniżając wskaźnik kosztów do dochodów z 47,4 proc. na koniec 2016 r. do 42 proc. na koniec września 2019 r.

eprasa.pl 1bb409c74f

CZTERY FILARY STRATEGII

– PKO Bank Polski zrealizował z dwuletnim wyprzedzeniem określone w listopadzie 2016 r. strategiczne cele finansowe na 2020 r. w zakresie zwrotu z kapitału, efektywności, apetytu na ryzyko i adekwatności kapitałowej, zachowując jednocześnie zdolność do wypłaty dywidendy. Był to jeden z kluczowych powodów do aktualizacji strategii i wyznaczenia organizacji nowych zadań – zauważył Zbigniew Jagiełło.

Zaprezentowana właśnie w Warszawie strategia banku do 2022 r. koncentruje się na czterech filarach. Przez najbliższe trzy lata będą one służyć rozwojowi i wzmocnieniu PKO BP.

Bank przyszłości, którym PKO BP będzie w 2022 r., stanie się instytucją w pełni dostępną, mobilną i osobistą. Temu ma służyć cyfrowy model bankowania, zakładający rosnące wykorzystanie kanałów zdalnych oraz dalszą digitalizację procesów sprzedażowych i posprzedażowych. Podczas prezentacji zaprezentowano efekt prac nad głosowym komunikowaniem się z „kontem", narzędzie wspierane przez sztuczną inteligencję, pozwalające w możliwie najprostszy sposób zarządzać własnymi finansami, dosłownie „rozmawiając z bankiem".

PKO BP będzie bankiem otwartym i innowacyjnym. Co to oznacza? Bank będzie oferował klientom usługi wykraczające poza tradycyjną bankowość. Chmura Krajowa, której bank jest inicjatorem i udziałowcem, będzie kanałem sprzedaży pionierskich usług dla firm. Chmura Krajowa ma wspierać procesy transformacji i dostarczać innowacyjne rozwiązania technologiczne.

Poza tym będzie też konsekwentnie realizować strategię ekspansji międzynarodowej poprzez rozwój sieci oddziałów zagranicznych oraz narzędzi wspierających działalność polskich przedsiębiorstw poza granicami kraju.

PKO BP będzie zmierzać ku pełnej digitalizacji i sprawności technologicznej. Oznacza to, że będzie kontynuować dotychczasowy kurs na digitalizację procesów, wykorzystując m.in. robotyzację, sztuczną inteligencję i zaawansowaną analitykę danych. Aby zwiększyć cyberbezpieczeństwo, PKO BP będzie intensywnie wykorzystywać nowe technologie w zakresie wykrywania i reagowania na zagrożenia.

PKO BP będzie doskonalić kompetencje przyszłości. Oznacza to rozwijanie przyjaznego i nowoczesnego środowiska pracy. Aby zrealizować ten cel, bank zapowiada budowanie autonomicznych zespołów pracowników, stawiając na rosnącą współpracę wewnątrz organizacji. Będzie także rozwijać kompetencje technologiczne i przywódcze pracowników.

PKO Bank Przyszłości. Strategia na lata 2020-2022.
Zaktualizowane cele finansowe Grupy Kapitałowej PKO Banku Polskiego

Nowy cel strategiczny
zysk netto w 2022 roku powyżej 5 mld zł

	2016	3 kw. 2019	Cel w Strategii 2016-2020	Cel w Strategii 2020-2022
Rentowność (ROE)	9,1%	10,9%	>10%	12%
Efektywność kosztowa (C/I)	47,4%	42,0%	<45%	~41%
Koszt ryzyka	0,75%	0,51%	0,75%-0,85%	0,60%-0,75%

NOWE CELE FINANSOWE

Działania w przedstawionych czterech obszarach mają bankowi zapewnić sukces finansowy. Jakie są cele banku w tym zakresie?

W perspektywie 2022 r. PKO Bank Polski zamierza osiągnąć rentowność kapitału własnego na poziomie 12 proc., a jednocześnie obniżyć wskaźnik kosztów do dochodów do 41 proc. oraz utrzymać koszty ryzyka w przedziale 0,60–0,75 proc. Poza tym bank zamierza osiągnąć roczny zysk netto powyżej 5 mld zł. Celem jest także efektywne zarządzanie adekwatnością kapitałową, tak aby współczynniki kapitałowe TCR i CET1 umożliwiały regularną wypłatę dywidendy.

LIDER Z ASPIRACJAMI

PKO jest bankiem dostępnym wszędzie tam, gdzie potrzebują tego klienci, którzy coraz chętniej wybierają zdalne kanały bankowania. Liczba rachunków bieżących klientów indywidualnych wzrosła przez ostatnie trzy lata o 23,4 proc. mimo spadku liczby placówek z ponad 2,1 tys. do niespełna 1,7 tys.

Mało tego, liczba aktywnych aplikacji IKO wzrosła z 1 do ponad 4 mln, a liczba wykonywanych za pośrednictwem IKO transakcji zwiększy się z 11,6 mln zł na koniec 2016 r. do – jak szacuje bank na podstawie dotychczasowej dynamiki – ponad 170 mln na koniec 2019 r. Warto przypomnieć, że to właśnie IKO już dwukrotnie została uznana – w opinii klientów – za najlepszą bankową aplikację mobilną na świecie.

Dziś każdego dnia klienci banku wykonują 4 mln logowań do bankowości elektronicznej i 6 mln transakcji. Zespół 1,5 tys. inżynierów zatrudnionych w banku jest wspierany przez największych dostawców IT i ma do dyspozycji najnowocześniejszy ośrodek przetwarzania danych w Polsce. Dzięki temu bank jest w stanie codziennie wykonywać ok. 45 wdrożeń informatycznych.

Rok temu, jako jedyny polski podmiot, został zaliczony do grupy dużych spółek indeksu rynków rozwiniętych globalnej agencji indeksowej FTSE Russell – dlatego warto się przyglądać nie tylko działaniom podejmowanym w PKO BP, ale też uważnie przysłuchiwać się planom lidera polskiego rynku finansowego.

Dariusz Styczek

eprasa.pl 1bb409c74f



Fundusz Trójmorza

– nowa szansa dla inwestycji w regionie

Powołana w 2015 r. inicjatywa Trójmorza jednocząca kraje znad Bałtyku, Adriatyku i Morza Czarnego ma zacieśnić więzy gospodarcze w obszarze infrastruktury, energetyki i cyfryzacji państw regionu. Aby to osiągnąć, potrzebne są duże nakłady wspierające projekty transgraniczne i makroregionalne. Odpowiedzią na potrzeby inwestycyjne regionu jest Fundusz Trójmorza, który ma zmobilizować kapitał na realizację kluczowych projektów

eprasa.pl 1bb409c74f



Fot. Shutterstock | 87/1019/F

Transgraniczne inwestycje infrastrukturalne zmieniające oblicze regionu – finansowanie takich projektów to cel powołanego w tym roku Funduszu Trójmorza. Jego inicjatorem i współzałożycielem jest Bank Gospodarstwa Krajowego. Akt założycielski podpisali w maju przedstawiciele polskiego banku rozwoju i rumuńskiego Exim Banku. W radzie nadzorczej, oprócz Polaków i Rumunów, zasiadają także przedstawiciele Czech i Łotwy.

Fundusz będzie działał na zasadach rynkowych. Realizowane projekty transportowe, cyfrowe i energetyczne mają przynosić zwrot z inwestycji. Warto dodać także, że pieniądze pochodzące z Funduszu mają być uzupełnieniem finansowania z Unii Europejskiej, a także z budżetów poszczególnych krajów regionu.

PROGNOZA DLA TRÓJMORZA

Trójmorze to region na pograniczu – i geograficznym, i ekonomicznym – położony pomiędzy Wschodem a Zachodem, między rynkami wschodzącymi a krajami rozwiniętymi. To zróżnicowanie czyni go obszarem atrakcyjnym inwestycyjnie – są tu kraje, które łącznie notują wyższy wzrost gospodarczy niż rynki rozwinięte (co jest cechą rynków wschodzących), ale także te znacznie bardziej stabilne pod względem instytucjonalnym niż typowe rynki wschodzące. Dla inwestorów takie połączenie oznacza perspektywę uzyskania wysokich i jednocześnie bezpiecznych zwrotów z inwestycji.

Ścieżka PKB regionu Trójmorza przypomina tę, którą podążają Japonia, Korea Południowa, Singapur, Tajwan czy Hongkong. Kraje te w ciągu kilku powojennych dekad weszły do grupy najbardziej rozwiniętych. Ostatnie dwie–trzy dekady rozwoju krajów Trójmorza, szczególnie tych bliżej Bałtyku, są podobne do osiągnięć azjatyckich tygrysów, co stanowi dobrą prognozę na przyszłość.

Z raportu przygotowanego przez ośrodek analityczny SpotData we współpracy z Bankiem Gospodarstwa Krajowego wynika, że w dekadzie do 2030 r. inwestycje w infrastrukturę w krajach Trójmorza mogą wynieść 1,1 bln euro, z czego prawie połowa tej kwoty ma być przeznaczona na infrastrukturę sieciową, czyli głównie drogi, tory, lotniska, sieci elektryczne i gazowe.

Finansowanie inwestycji będzie wymagało nowego podejścia. W krajach Trójmorza będzie rosło zapotrzebowanie na projekty finansowe, które będą angażowały kapitał prywatny do inwestycji infrastrukturalnych, ponieważ udział finansowania z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej zostanie po 2020 r. obniżony. Rozpocznie się poszukiwanie nowych, prywatnych źródeł finansowania inwestycji – co jest trendem zauważalnym w całej globalnej gospodarce. „Musimy tworzyć mechanizmy, które pozwolą nam przyciągnąć inwestorów prywatnych do ważnych dla regionu inwestycji. Jeżeli rozbudujemy infrastrukturę, ułatwimy komunikację i współpracę między krajami, to będą one w stanie zwiększać wymianę gospodarczą i tempo swojego rozwoju z korzyścią dla inwestorów" – mówi Mateusz Walewski, główny ekonomista BGK.

INWESTYCJE TRANSPORTOWE

W ostatniej dekadzie niektóre kraje Trójmorza, takie jak Polska, Rumunia czy Bułgaria, dokonały znacznego postępu pod względem jakości infrastruktury transportowej, ale luka wciąż jest duża.

Ze strategicznego punktu widzenia jednym z najważniejszych celów inicjatywy Trójmorza jest wzmocnienie sieci transportowych na linii północ–południe. To konieczne do osiągnięcia pełnej integracji jednolitego rynku w Unii Europejskiej oraz zapewnienia Europie bezpieczeństwa energetycznego. Waga tej inwestycji była podkreślana przez ekspertów, jeszcze zanim powstała koncepcja sformalizowanej współpracy krajów Trójmorza.

W obszarze transportu trzeba również położyć nacisk na zwiększenie roli inwestycji kolejowych, zwracając uwagę na połączenia międzynarodowe. W porównaniu z Europą Zachodnią infrastruktura kolejowa w regionie jest bardzo wyraźnie niedoinwestowana.

Duży i niewykorzystany potencjał tkwi w transporcie śródlądowym, czyli drogach rzecznych. Dotyczy to szczególnie korytarza transportu multimodalnego między portami na Bałtyku a krajami Europy Środkowej i Południowej. Wykorzystanie dróg rzecznych w dużym stopniu udrożniłoby sieci transportowe poprzez zmniejszenie ruchu na drogach samochodowych, a także sprzyjałoby środowisku poprzez obniżenie emisji gazów cieplarnianych.

INWESTYCJE ENERGETYCZNE

Presja na wprowadzanie technologii niskoemisyjnych jest duża, a to wymaga nowych inwestycji – również

eprasa.pl 1bb409c74f



Fot. Shutterstock

w infrastrukturę sieciową, w tym przede wszystkim w linie przesyłowe. Infrastruktura energetyczna jest obszarem szczególnego zainteresowania krajów Unii Europejskiej nie tylko z powodu chęci spełnienia wyśrubowanych celów klimatycznych. Dziś już powszechnie wiadomo, że sprawna infrastruktura energetyczna jest jednym z filarów bezpieczeństwa nie tylko energetycznego, lecz i politycznego.

Jednolity rynek energii elektrycznej wymaga większej liczby połączeń. Kilka krajów Trójmorza ma wciąż niskie wskaźniki integracji energetycznej z rynkiem ogólnoeuropejskim, co wskazuje na duże zapotrzebowanie na inwestycje w łączniki energetyczne między krajami. To szczególnie ważne w państwach bałtyckich, Polsce, Rumunii i Bułgarii. Kraje te będą miały również duże zapotrzebowanie na rozbudowę i unowocześnienie sieci energetycznych wewnątrzkrajowych – bez nich nie mogą funkcjonować rynki regionalne.

Rynek gazowy powinien być płynny i oparty na mechanizmach rynkowych. Ponad 75 proc. gazu zużywanego w Europie pochodzi z importu, głównie z Rosji, Norwegii i Algierii. Potrzebna jest budowa jednolitego rynku gazowego, opartego na zakupach w tzw. hubach, gdzie ceny będą wyznaczane rynkowo. To zastąpi dominujące do niedawna długookresowe kontrakty z kluczowymi dostawcami, indeksowane do cen ropy. Aby to było możliwe, potrzebne jest utworzenie połączeń gazowych między krajami, pozwalających na szybki przesył surowca. Niektóre kraje, jak Polska, Czechy czy Austria, dokonały znacznego postępu w dywersyfikacji dostaw i zwiększeniu płynności rynku, ale nawet te kraje wciąż opierają się głównie na długoterminowych kontraktach indeksowanych, a wiele innych państw regionu znajduje się dopiero na początku drogi do integracji rynków gazowych z resztą Europy.

INWESTYCJE ICT

Cyfryzacja to przyszłość. Jedną z kluczowych ról w inwestycjach cyfrowych będzie odgrywała budowa sieci 5G, czyli nowej generacji sieci komórkowej. To oznacza, że w najbliższej dekadzie zapotrzebowanie na inwestycje w sieci telekomunikacyjne o znaczeniu europejskim sięgnie ok. 800 mld euro. Bardzo dużą rolę będą też odgrywały inwestycje w digitalizację podstawowych operacji w branżach infrastrukturalnych, czyli w transporcie i energetyce. Szczególnie w Europie Wschodniej, gdzie cyfryzacja przemysłu i usług jest na znacznie niższym poziomie niż w Europie Zachodniej.

Inwestycje cyfrowe charakteryzują się innymi właściwościami niż inwestycje w infrastrukturę transportową czy energetyczną. Wymagają one najbardziej innowacyjnego podejścia do finansowania. W przeciwieństwie do transportu czy energetyki nie mają przetartych szlaków i w znacznie większym stopniu opierają się na aktywności sektora prywatnego.

Usługi to obszar, w którym Trójmorze ma szczególne przewagi komparatywne – ze względu na atrakcyjne koszty pracy i wysokie kompetencje pracowników. To sprawiło, że kraje regionu od dawna były adwokatem liberalizacji rynków usług w Unii Europejskiej. Ucyfrowienie usług może być zatem jednym z najważniejszych celów polityki wspierania inwestycji cyfrowych. Przykładem, w jaki sposób należy połączyć przewagi komparatywne i wzmocnione aktywa cyfrowe, jest branża logistyczna. Jest to branża, która w ostatniej dekadzie rozwijała się w Trójmorzu w bardzo szybkim tempie. Stąd też na liście priorytetowych inwestycji infrastrukturalnych, przyjętej na szczycie w Bukareszcie, pierwsze miejsce zajmuje budowa platformy transakcyjnej dla branży transportowej i logistycznej.

Anna Raciniewska

51/0819/F

eprasa.pl 1bb409c74f

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

zaprasza przedstawicieli małych i średnich firm do Centrów Obsługi Przedsiębiorców we Wrocławiu, Katowicach, Poznaniu i Gdyni

W OFERCIE:

- pożyczki dla małych i średnich firm: inwestycyjne, obrotowe, restrukturyzacyjne, split payment oraz na finansowanie realizacji kontraktów
- leasing specjalistycznego wyposażenia, maszyn i urządzeń
- instrumenty wspierające eksport, dostępne w ramach Grupy Polskiego Funduszu Rozwoju.



Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Gdyni
+48 885 600 156
al. Zwycięstwa 96/98
81-451 Gdynia

Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Katowicach
+48 510 075 249
ul. Lompy 14 – III piętro, pok. 302
40-040 Katowice

Centrum Obsługi Przedsiębiorców w Poznaniu
+48 734 214 12
ul. Bukowska 12 – budynek WTC
60-810 Poznań

Centrum Obsługi Przedsiębiorców we Wrocławiu
+48 604 798 175
ul. Fabryczna 10
53-609 Wrocław

Agencja Rozwoju Przemysłu S.A. Biuro Usług Finansowych
+48 22 695 36 31
ul. Nowy Świat 6/12
00-400 Warszawa



www.arp.pl/uslugi-finansowe



Zmienia się energetyczny krajobraz Polski

Nowoczesne, innowacyjne technologie coraz bardziej zmieniają krajobraz naszej energetyki. Farmy wiatrowe off-shore, fotowoltaika, elektromobilność i wszelkie inne rozwiązania wpisujące się w pojęcie odnawialnych źródeł energii (OZE) mogą znacząco zmienić to, w jaki sposób zasilamy nasze domy i jak poruszamy się po kraju – polskie spółki zaś mają pomysły na to, jak te innowacje skutecznie wdrażać

W 2018 r. Ministerstwo Energii ogłosiło „Politykę energetyczną Polski do 2040 r.", w której sformułowano wizję zmian, jakie mają zajść w naszej energetyce właśnie do tej, wcale nie tak odległej, daty. Bezpieczeństwo energetyczne, konkurencyjność, efektywność energetyczna, wreszcie ograniczenie wpływu energetyki na środowisko naturalne to główne cele zawarte w tym dokumencie. By je zrealizować, przyjmuje się, iż konieczne jest ograniczenie wytwarzania energii ze źródeł węglowych (do 60 proc.), z kolei 21 proc. energii ma pochodzić ze źródeł odnawialnych. Co więcej, do 2033 r. założono wdrożenie w Polsce energetyki jądrowej. Kolejnym, ważnym punktem ma być ograniczenie emisji CO_2 o 30 proc. do 2030 r. (w stosunku do parametrów z 1990 r.), a także wzrost efektywności energetycznej o 23 proc. do 2030 r.

W dokumencie tym istotny jest też wątek dotyczący optymalnego wykorzystania własnych zasobów, ale też tworzenie nowej infrastruktury energetycznej. Obok takich projektów jak farmy wiatrowe off-shore kluczowym elementem układanki ma być stworzenie systemu elektrowni fotowoltaicznych oraz zmiany w transporcie – w tym kontekście należy oczywiście rozumieć stopniowe wdrażanie elektromobilności i wzrost liczby samochodów elektrycznych na polskich drogach.

Z kolei „Krajowy plan na rzecz energii i klimatu na lata 2021–2030" wskazuje priorytety działań w pięciu wymiarach tzw. unii energetycznej, w tym cele na 2030 r. stanowiące polski wkład do realizacji unijnych celów klimatyczno-energetycznych w zakresie emisji gazów cieplarnianych, rozwoju OZE czy poprawy efektywności energetycznej.

Perspektywy rozwoju i zmian w polskiej energetyce przyciągają uwagę największych graczy – norweski koncern Equinor czy portugalski EDP Renewables chętnie wezmą udział w formowaniu nowego energetycznego krajobrazu naszego kraju. Nasze rodzime koncerny także są przygotowane na nową rzeczywistość – chcą ją twórczo kształtować.

NOWA ENERGIA DLA ROLNICTWA

Po trzech kwartałach tego roku Grupa Enea odnotowała istotny wzrost produkcji ze źródeł odnawialnych. Działania Grupy w zakresie rozwoju projektów OZE skupiają się m.in. na inwestycjach w wielkoobszarowe farmy fotowoltaiczne. Już wkrótce nowe, niskoemisyjne źródło ciepła współpracujące z instalacją OZE może powstać w Pile. Z kolei w Enei Połaniec pracuje Zielony Blok energetyczny o mocy 225 MW, produkujący energię

Fot. Shutterstock | 72/1019/F

eprasa.pl 1bb409c74f

z biomasy (leśnej i agro). Enea produkuje również energię elektryczną z wody i wiatru. Ogłoszenie wyników finansowych po trzecim kwartale 2019 r. wiązało się z ujawnieniem informacji o aktualizacji Strategii Rozwoju Grupy. Jak zaznaczył Mirosław Kowalik, prezes Enei, realizacja planu inwestycyjnego wzmacnia potencjał Grupy, jej pozycję rynkową, a także gotowość do podjęcia nowych wyzwań.

– Duży nacisk kładziemy na ekonomicznie racjonalne zaprojektowanie transformacji naszych mocy wytwórczych w kierunku zmniejszenia emisyjności i zwiększenia inwestycji w nowe, odnawialne źródła energii. Transformacja sektora to nie tylko zmiana miksu energetycznego, to także dostosowanie modelu biznesowego firmy do zmieniającego się otoczenia oraz właściwa jakość obsługi klienta przy wykorzystaniu najnowszych technologii w tym zakresie – podkreślił Mirosław Kowalik.

Enea ma plan wejścia w segment energii odnawialnej oraz elektromobilności – plan śmiały, ale też racjonalnie ugruntowany w polskich realiach prawnych i wykorzystujący potencjał dotychczas ignorowany.

Chodzi o współpracę, którą spółka nawiązała z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa (KOWR). List intencyjny, który niedawno podpisały oba podmioty, zakłada wykorzystanie terenów popegeerowskich do rozwoju fotowoltaiki na terenach wiejskich. Taka inicjatywa miałaby na celu nie tylko wprowadzenie zmian w polskim miksie energetycznym, lecz także dostarczenie czystej i bezpiecznej energii dla rolnictwa.

– Porozumienie z KOWR ma znaczenie strategiczne z punktu widzenia rozwoju projektów fotowoltaicznych w Grupie Enea, jest też równie ważne z perspektywy realizacji polityki energetycznej państwa – mówił w październiku tego roku Jarosław Ołowski, wiceprezes Enei ds. finansowych.

Nawiązanie współpracy z KOWR stwarza szansę na rozwój wielkoobszarowych farm fotowoltaicznych – KOWR dysponuje zasobem 1,5 mln ha gruntów, z których pewna część nie nadaje się do efektywnej produkcji rolnej, jednak może być wykorzystana do stworzenia takich farm. Co więcej, współpraca między Eneą a KOWR wpisuje się w założenia wspomnianej już „Polityki energetycznej Polski do 2040 r.", która zakłada rozwój odnawialnych źródeł energii w celu dywersyfikacji wytwarzania i obniżenia emisyjności sektora energetycznego.

Enea planuje zresztą wykorzystanie nie tylko terenów rolnych. Farmy fotowoltaiczne powstaną również na terenach kopalni Bogdanka. Tam planowane są inwestycje o łącznej mocy 30 MW, co w efekcie znacznie obniży koszty energii dla odbiorcy końcowego, którym ma być właśnie kopalnia. Te inicjatywy idą w parze z wielkimi modernizacjami infrastruktury sieciowej, m.in. niedawno ukończoną, a rozpoczętą sześć lat temu przebudową linii 110 kV Morzyczyn–Drawski Młyn, przebiegającej przez trzy województwa północno-zachodniej Polski. Odpowiedzialna za dystrybucję energii Enea Operator zwiększa potencjał swojej sieci, m.in. w celu wzmożonego odbioru energii z OZE oraz kreowania nowych możliwości podłączenia źródeł rozproszonych. Na ten cel spółka przeznacza rocznie 1 mld zł, czyniąc swój program modernizacyjny jednym z największych w Polsce. Spółka realizuje projekty inwestycyjne ukierunkowane na wzrost potencjału przyłączania do sieci źródeł OZE także w województwie kujawsko-pomorskim (projekt wart 34,3 mln zł) oraz w Wielkopolsce (za 23 mln zł).

– Zrównoważony rozwój to w naszym rozumieniu także zwiększanie możliwości przyłączania nowych odbiorców i wytwórców OZE. Jednocześnie z determinacją realizujemy budowę inteligentnej sieci energetycznej, którą nasycamy innowacyjnymi rozwiązaniami, co pozwala nam zarządzać jej pracą w coraz bardziej zautomatyzowany sposób z korzyścią dla klientów – powiedział Andrzej Kojro, prezes Enei Operator.

ELEKTRYCZNA JAZDA

Jednym ze składników rozwoju gospodarki niskoemisyjnej jest czysty transport. Elektromobilność to coraz częściej pojawiające się na polskich drogach samochody elektryczne i rozwój infrastruktury umożliwiającej ich funkcjonowanie. Sieci energetyczne oraz podłączone do nich stacje ładowania pojazdów elektrycznych to kluczowe elementy wdrażania elektromobilności. Grupa Enea aktywnie włączyła się w budowę i rozwój infrastruktury e-mobility w Polsce. Właśnie realizacja tego założenia przyświecała podpisaniu listu intencyjnego o współpracy między Pocztą Polską a Grupą Enea, a także Kolejowymi Zakładami Łączności. Celem współpracy ma być wymiana doświadczeń związanych z eksploatacją ładowarek i pojazdów elektrycznych. Poczta Polska, jako największa firma logistyczna działająca w naszym regionie Europy, szykuje się do wprowadzenia Stref Czystego Transportu, które mają ograniczyć emisje zanieczyszczeń komunikacyjnych. W strefach tych będą funkcjonowały stacje ładowania pojazdów, a te zapewni Enea Serwis, doświadczona w kompleksowym montażu i serwisie polskich ładowarek ecoMoto.

– Współpraca z Pocztą Polską jest zgodna ze strategicznymi planami rozwojowymi Enei w tym obszarze. Liczymy na wymianę doświadczeń, a także budowanie współpracy, co pozwoli nam na wykorzystanie szans biznesowych na dynamicznie rozwijającym się rynku e-mobility – podkreślał Mirosław Kowalik, prezes Enei.

Zmiany są konieczne, bo w myśl ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych, która weszła w życie 11 stycznia 2018 r. i określa bardzo wyraźnie cele i warunki rozwoju elektromobilności w naszym kraju, działania podejmowane w tym zakresie przez Eneę sprawiają, że wizja rozwiniętej, nowoczesnej sieci stacji ładowania aut elektrycznych wydaje się nie tylko realna, lecz i możliwa do realizacji.

Polska energetyka musi ulec licznym zmianom, co wyraził też w swoim expose z dnia 19 listopada premier Mateusz Morawiecki, zapowiadając powołanie pełnomocnika ds. OZE, a także wskazując na potrzebę zwiększenia mocy uzyskiwanej z energii słonecznej poprzez rozwój fotowoltaiki i większe „zazielenienie" naszej energetyki. Polskie spółki chcą odpowiedzieć na to zapotrzebowanie i zapewniają, iż innowacje energetyczne w naszym kraju będą wdrażane nie tylko skutecznie, lecz także przy wykorzystaniu polskich zasobów.

Arkady Saulski

eprasa.pl 1bb409c74f



PZU bije rekordy

Sprzedaż ubezpieczeń po trzech kwartałach tego roku była najwyższa w historii

Rekordowa sprzedaż i rentowność, dynamiczny rozwój na rynku zdrowia, innowacyjne projekty – Grupa PZU ma się czym pochwalić. – Pobiliśmy najwyższe oczekiwania analityków – mówił prezes PZU Paweł Surówka, prezentując wyniki spółki po trzech kwartałach tego roku.

Ambitnie prezentują się również plany Grupy. Pacjenci mają wkrótce zyskać łatwiejszy dostęp do badań profilaktycznych dzięki 35 nowym przychodniom diagnostycznym, które przejmuje PZU Zdrowie. Pracownicy – możliwość uzyskania tanich i bezpiecznych pożyczek za pośrednictwem internetowej platformy Cash. Kierowcy – szerszy dostęp do wprowadzanego dotąd pilotażowo systemu PZU GO, automatycznie wzywającego pomoc w razie wypadku.

Jak zaznacza Paweł Surówka, wiele projektów wpisuje się przy tym w ogłoszoną latem tego roku społeczną strategię Grupy PZU, a więc program #10latdluzej, łączący wiele inicjatyw na rzecz zdrowia i bezpieczeństwa. – Chcemy realizować cele nie tylko biznesowe, ale i społeczne, budując dodatkową wartość Grupy PZU – podkreśla.

HISTORYCZNE WYNIKI

Wyniki za trzy kwartały tego roku spółka zaprezentowała w połowie listopada. – Przejdą do historii PZU jako rekordowe pod względem sprzedaży. Jeszcze nigdy nie mogliśmy się pochwalić sprzedażą, której wartość w takim okresie przekroczyła 17 mld zł – mówił prezes Surówka.

Z rentownością na kapitale na poziomie 23,7 proc. spółka osiągnęła jeden z najlepszych kwartalnych wyników w swojej historii. Sukces jest imponujący, bo taki zwrot na kapitale jest niemal dwukrotnie wyższy niż średnia dla europejskich spółek ubezpieczeniowych. Z kolei wynik netto z działalności ubezpieczeniowej, osiągając po trzech kwartałach 1,99 mld zł, był najlepszy od pięciu lat.

– Wyniki za trzeci kwartał br. są dowodem znakomitej kondycji finansowej Grupy PZU i dynamicznego rozwoju w najważniejszych strategicznie obsza-

eprasa.pl 1bb409c74f



fot. PZU | 14/1119/F

rach. Osiągamy to, co założyliśmy, i to mimo trudnego rynku, presji cenowej czy obciążeń regulacyjnych – komentuje Paweł Surówka.

W TROSCE O ZDROWIE

Chlubą PZU są rozwijające się z olbrzymią dynamiką ubezpieczenia zdrowotne. Korzysta z nich już ponad 2,5 mln klientów. – Już w pierwszym półroczu prawie trzy czwarte wzrostu rynku prywatnych ubezpieczeń zdrowotnych w Polsce było zasługą PZU – zwraca uwagę prezes PZU Życie Roman Pałac. – Stawiamy na szybkość i dostępność usług medycznych. Dzięki temu taki gigant jak Grupa PZU rośnie w imponującym tempie niewielkich start-upów, co jest wyjątkowym osiągnięciem – mówi.

PZU Zdrowie ma już dziś sieć liczącą ok. 100 własnych i 2,2 tys. partnerskich placówek w niemal 600 miastach w Polsce. Dzięki planowanemu przejęciu spółki Tomma sieć własnych placówek powiększy się o ponad jedną trzecią. – Po przejęciu spółki Falck to kolejny sukces PZU Zdrowie. Daje naszym klientom szeroki dostęp do nowoczesnych badań diagnostycznych, co doskonale wpisuje się w strategię #10latdluzej – podkreśla prezes Pałac. – Chcemy w ten sposób przyczyniać się do wcześniejszego wykrywania chorób, wyznaczając najwyższe standardy opieki zdrowotnej w Polsce – dodaje Paweł Surówka. Nowe placówki mają świadczyć usługi zarówno prywatnie, jak i w ramach NFZ.

OPASKA ŻYCIA

Na zdrowie i bezpieczeństwo PZU kładzie nacisk, podejmując także innowacyjne projekty. – Myślimy perspektywicznie. Po wprowadzeniu takich innowacyjnych rozwiązań, jak inwestycyjna platforma internetowa inPZU czy usługa PZU GO, pozwalająca na automatyczne wzywanie pomocy w razie wypadku, uruchomiliśmy kolejny zaawansowanych technologicznie projekt „Opaska życia" – wyjaśnia prezes PZU.

Opaska życia to zakładane na rękę elektroniczne urządzenie, które monitoruje podstawowe parametry życiowe pacjentów i alarmuje personel medyczny o sytuacjach zagrożenia. Od października skorzystało z niej już blisko 300 pacjentów Szpitala Wojewódzkiego w Siedlcach. Urządzenie zbiera pozytywne opinie. – Realizowany pilotażowo, we współpracy z Ministerstwem Zdrowia, projekt może w przyszłości zrewolucjonizować ratownictwo medyczne i być realnym wsparciem także w publicznej służbie zdrowia – przewiduje Paweł Surówka.

TANIE POŻYCZKI DLA PRACOWNIKÓW

Innowacyjny charakter ma również platforma pożyczkowa Cash, którą PZU uruchamia z Alior Bankiem. Dzięki niej pracownicy będą mieli szybki dostęp do tanich i bezpiecznych pożyczek. Nie potrzeba zaświadczeń o zarobkach, ponieważ wnioski są przekazywane za pośrednictwem pracodawcy.

– Platforma Cash ma szansę stać się wyjątkowym i korzystnym rozwiązaniem zarówno dla pracowników, jak i pracodawców – mówi prezes PZU Życie Roman Pałac. Jak tłumaczy, dzięki niej pracodawcy będą mogli oferować pracownikom dodatkowe korzyści, zyskując atrakcyjność na rynku pracy. – Chcemy oferować naszym klientom zarówno korporacyjnym, jak i indywidualnym produkty oraz usługi dopasowane do ich potrzeb i oczekiwań – dodaje członek zarządu PZU Małgorzata Sadurska.

Zaletą platformy jest ograniczenie formalności. – Wnioski o pożyczkę są składane internetowo, a raty automatycznie potrącane z wynagrodzenia. Podpisanie umowy pożyczkowej następuje poprzez wpisanie w internecie kodu otrzymanego esemesem – wyjaśnia prezes Alior Banku Krzysztof Bachta.

SUKCESY NA SOLIDNYCH PODSTAWACH

Według Małgorzaty Sadurskiej współpraca z bankami w ramach Grupy PZU jest jednym z priorytetów strategii Grupy. Zwraca na to uwagę także prezes Surówka. Wskazuje na rosnące znaczenie działalności bankowej jako jednego z filarów, na którym Grupa opiera swój rozwój. – Sukcesem jest imponujący, dwuipółkrotny wzrost sprzedaży ubezpieczeń na życie w kanale bankowym. To potwierdzenie słuszności przyjętej strategii i zapowiedź kolejnych wzrostów, które będzie przynosiła umiejętna synergia usług bankowych i ubezpieczeniowych – uważa prezes.

Według niego wyniki Grupy PZU świadczą o tym, że jej sukcesy są oparte na solidnych i trwałych fundamentach, pozwalających na utrzymanie wzrostów. – Potwierdzeniem atrakcyjności i potencjału PZU jest podtrzymanie w październiku przez agencję S&P Global Ratings pozytywnej perspektywy ratingowej PZU przy zachowaniu ratingu siły finansowej na najwyższym wśród polskich spółek poziomie A– podsumowuje prezes Surówka.

Piotr Grochowski

eprasa.pl 1bb409c74f



Czy sieć 5G oznacza nowe zagrożenia?

Sieci 5G niosą z sobą obietnicę otwarcia na nowe zastosowania, dotychczas niemożliwe do realizacji przy użyciu wcześniejszych generacji mobilnych technologii komunikacyjnych. Jest wysoce prawdopodobne, że liczba różnych zastosowań sieci 5G będzie znacząco większa niż dla sieci 3G i 4G – oznacza to, że liczba i zróżnicowanie urządzeń korzystających z sieci również znacząco się zwiększą

Te dwa czynniki skutkują zwiększonymi konsekwencjami udanego ataku na sieci 5G. Dodatkowo, ze względu na rosnące zapotrzebowanie na wyższą prędkość internetu i sieci 5G podnoszony jest aż 40-krotnie limit norm promieniowania elektromagnetycznego, co powoduje dodatkowe obawy społeczne. Czy rzeczywiście jest się czego bać?

Według wyliczeń Instytutu Łączności średnie miesięczne użycie danych w mobilnym internecie w Rzeczypospolitej Polskiej wzrośnie do 2025 r. prawie 25-krotnie. Już teraz pojawiają się opinie, że promieniowanie generowane przez nowe sieci będzie skutkował wzrostem zachorowań na przeróżne choroby. Ministerstwo Zdrowia podkreśla, że obecnie nie ma naukowych podstaw do występowania ostrych, przewlekłych lub skumulowanych niekorzystnych zagrożeń dla zdrowia wynikających z ekspozycji w polu elektromagnetycznym o częstotliwościach radiowych na poziomach poniżej dopuszczalnych planowanych poziomów. Efektywnie całkowita ilość energii emitowanej do środowiska przez cały system spadnie, tym samym spadnie ekspozycja ludzi na pole elektromagnetyczne. Pomimo tych zapewnień obawy w społeczeństwie wciąż rosną. Eksperci dowodzą, że korzyści płynące z nowych sieci znacznie przewyższają ryzyko, a w tym momencie jest to przyszłość, której i tak nie unikniemy. Sieć 5G funkcjonuje już w wielu krajach, m.in. Korei Południowej, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i Hiszpanii. Niedługo do tych krajów dołączy Japonia, Australia, Niemcy, Francja, Szwecja, Norwegia, Estonia, Finlandia, a nawet Rosja. Komu więc mogłoby zależeć na wprowadzaniu opinii publicznej w błąd i na opóźnianiu wprowadzenia 5G w Polsce? Tylko Rosja planuje wydanie na rozwój infrastruktury mobilnej 39 mld dol., głównie na sieci 5G, i już teraz korzysta z najnowszych rozwiązań, wyprzedzając Polskę pod tym względem co najmniej o kilka lat. Biorąc pod uwagę dzisiejszy układ sił na świecie, obecny status 5G w Polsce może być na rękę nie tylko naszym wschodnim sąsiadom i nie tylko oni mogą budować atmosferę strachu w polskim społeczeństwie, kupując sobie czas na budowanie przewagi technologicznej. Eksperci ostrzegają, że opóźnienia we wprowadzeniu 5G w Polsce będą generować miliardowe straty dla gospodarki.

5G niesie z sobą wielkie korzyści – opierać się ma na niej gospodarka 4.0, czyli gospodarka polegająca na szybkim przepływie informacji i zwiększonej mocy obliczeniowej zawartej w zdalnej chmurze. Krajowa Izba Gospodarcza Elektroniki i Telekomunikacji już w lipcu zwracała uwagę na to, że zachowanie konkurencyjności polskiej gospodarki wymaga jak najszybszego włączania się polskich firm w światowe cyfrowe sieci produkcyjno-usługowe. Dostęp do najnowszych technologii, w tym 5G, to warunek konieczny do unowocześnienia służby zdrowia, rozwoju przemysłu, szkolnictwa, opieki socjalnej, rolnictwa,

eprasa.pl 1bb409c74f



Fot. Shutterstock | 37/1119/F

ochrony środowiska i wielu innych sektorów życia społecznego i gospodarczego. Korzyści dla gospodarki są więc ogromne, co jednak z tym bezpieczeństwem?

Jeśli chodzi o aspekty techniczne, to bezpieczeństwo każdej sieci telekomunikacyjnej, także sieci 5G, wymaga skutecznej współpracy operatorów, dostawców rozwiązań i regulatorów rynku, a także identyfikacji ryzyka pojawiającego się podczas całego cyklu życia sieci telekomunikacyjnej. Rola operatora w zapewnieniu bezpieczeństwa sieci 5G jest kluczowa – operator telekomunikacyjny odpowiada za bezpieczeństwo sieci i świadczonych usług, a w szczególności za określenie wymagań bezpieczeństwa dla dostawców rozwiązań 5G, zaprojektowanie mechanizmów kontrolnych sieci, w oparciu zarówno o rozwiązania dostawców rozwiązań 5G, jak i własne procesy i rozwiązania firm trzecich i kontrolę nad dostępem do urządzeń sieciowych oraz danych przesyłanych w sieci 5G.

Normy techniczne bezpieczeństwa dla sieci 5G zawierają znaczące ulepszenia względem sieci 4G, adresując niektóre kluczowe ryzyka już we wczesnej fazie projektowania. Dodatkowo, dzięki współpracy pomiędzy operatorami, dostawcami rozwiązań i niezależnymi usługodawcami, stosunkowo wcześnie pojawiają się rozwiązania rynkowe uzupełniające mechanizmy, takie jak lepsza ochrona prywatności użytkownika sieci – dzięki szyfrowaniu jego numeru identyfikacyjnego zapewniającego wyższy poziom bezpieczeństwa niż w poprzedniej generacji.

Te udoskonalenia powodują, że standard piątej generacji zapewnia najwyższy poziom bezpieczeństwa spośród dotychczasowych publicznych systemów komunikacji mobilnej. Oczywiście same mechanizmy bezpieczeństwa nie są wystarczającą odpowiedzią na zagrożenia, które mogą wystąpić w sieciach 5G – dlatego zarówno operatorzy, jak i dostawcy stosują rozwiązania wykraczające poza zabezpieczenia przewidziane standardami.

Podstawowym założeniem przyjętym podczas projektowania mechanizmów bezpieczeństwa 5G był podział elementów sieci na stopnie zagrożenia – im dalej od rdzenia sieci, tym zagrożenie jest mniejsze. Warto w tym miejscu podkreślić, że elementy sieci rdzeniowej piątej generacji nie pojawią się w naszym kraju wcześniej niż za kilka lat – w pierwszej fazie budowy 5G operatorzy rozszerzą po prostu istniejące sieci 4G o nowe nadajniki zgodne ze standardem 5G.

Główne zagrożenia technologiczne dla bezpieczeństwa sieci piątej generacji nie różnią się od zagrożeń już obecnych w sieci 4G i od zagrożeń znanych z innych zastosowań kluczowych dla realizacji 5G technologii. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że wraz z pojawieniem się w Polsce sieci 5G nie pojawią się u nas żadne nowe, nieznane dotychczas rodzaje zagrożeń dla cyberbezpieczeństwa. Co więcej, wbrew pojawiającym się w przestrzeni publicznej informacjom nawet technologie specyficzne dla sieci rdzeniowej (Core) piątej generacji są aktualnie wykorzystywane przez polskich operatorów w sieciach 4G.

Schematy bezpieczeństwa dla 5G adresują zagrożenia zewnętrzne lepiej niż w sieciach 4G – co powoduje, że poziom związanego z nimi ryzyka jest mniejszy. Główne zagrożenia dla użytkownika pochodzą z aplikacji, które sam instaluje u siebie na komputerze lub telefonie , oraz z korzystania z niezaufanych portali czy otwierania załączników i linków w mailach z podejrzanych źródeł. W przypadku podsłuchów czy ataków na urządzenia internetu rzeczy mechanizmy bezpieczeństwa 5G lepiej chronią prywatność i dane użytkownika przesyłane w interfejsie radiowym – podsłuch i pozyskanie metadanych (np. informacji o lokalizacji) jest znacząco utrudniony.

Warto zwrócić uwagę, że 5G wprowadzając w szerszym stopniu do świata telekomunikacji mobilnej zagrożenia typowe dla internetu i środowisk informatycznych w przedsiębiorstwach, umożliwia też zastosowanie najlepszych praktyk i sprawdzonych zabezpieczeń organizacyjno-technicznych wypracowanych w branży IT.

Standardy bezpieczeństwa sieci obowiązujące w Polsce powinny zapewniać, że sieci 5G będą zaprojektowane, zbudowane i utrzymywane w sposób w maksymalnym stopniu uniezależniający poziom ich bezpieczeństwa od wyboru konkretnego dostawcy elementów sieci 5G, a weryfikacja i certyfikacja bezpieczeństwa sprzętu sieciowego jest kluczowym narzędziem do zapewnienia, że rozwiązania spełniają określone normy w zakresie cyberbezpieczeństwa. Weryfikacja i certyfikacja powinny być realizowane przez niezależne laboratoria.

Sieci 5G są więc kolejnym etapem rozwoju cyfrowego świata, a dzięki dotychczas wypracowanym rozwiązaniom są w stanie zapewnić użytkownikom odpowiednie zabezpieczenie. Każda nowa technologia niesie z sobą nieznane dotychczas zastosowania, które mogą ewoluować i kreować zagrożenia, jednak w przypadku sieci 5G większość z nich jest już znana, gotowe są więc schematy postępowania zabezpieczające dane i użytkowników przed niechcianymi działaniami. Warto więc skoncentrować się na korzyściach, które pojawią się razem z sieciami 5G – na nowej technologii opierać się ma gospodarka 4.0, czyli gospodarka bazująca na szybkim przepływie informacji i zwiększonej mocy obliczeniowej zawartej w zdalnej chmurze. Sieci 5G to również szansa dla przedsiębiorstw, a także przełom w rozrywce, medycynie i edukacji. Biorąc pod uwagę wszystkie zgromadzone dane techniczne i medyczne na ich temat, założenie, że nie mamy czego się czego bać, wydaje się jak najbardziej słuszne.

Kajetan Kutnowski

eprasa.pl 1bb409c74f

DAGMARA BĄK AKTORKA

Z Bieszczad w świat

O Bieszczadach wiele dobrego, i to nieraz, słyszałam od rodziców, którzy uwielbiali tam wyjeżdżać w czasach studenckich. Nic dziwnego, że i ja chciałam te góry zobaczyć, ale nigdy nie było czasu. I nagle okazało się, że dostałam do zagrania jedną z głównych postaci w serialu „Wataha".

Znalazłam się w Bieszczadach. Najpierw u schyłku lata, potem zimą, wreszcie wczesną wiosną, kiedy na własnej skórze doświadczyłam, co znaczą prawdziwe roztopy i błoto. Bynajmniej nie wędrowaliśmy po wytyczonych szlakach. Docieraliśmy w miejsca często niedostępne dla zwykłego człowieka. I to było fantastyczne. Świat filmowy otwiera bardzo wiele dróg. I wiele drzwi.

Zawód aktora jest niesamowity. Grając różne role, możesz podróżować w czasie i przestrzeni do woli. Za sprawą serialu „Korona królów", jako dwórka Helena, cofnęłam się do średniowiecza i trafiłam na ówczesny Wawel. „Wataha" pozwoliła mi poznać życie pogranicznika i razem z Agą Małek przemierzać Bieszczady.

Dzięki temu, że nakręciliśmy już trzy sezony (premiera najnowszego już 6 grudnia w HBO), udawało się nam wjeżdżać na teren parku narodowego i odkrywać miejsca niezwykłe, ale była też szansa na przejście paru turystycznych szlaków.

Chodziliśmy po nich z Maćkiem Mikołajczykiem, moim partnerem serialowym, wykorzystując dni wolne od zdjęć, kiedy nie opłacało się wyjeżdżać, a szkoda było siedzieć w hotelu. Dotarliśmy m.in. na Wielką i Małą Rawkę (w wyższych partiach jeszcze leżały resztki śniegu) i na przepiękną Połoninę Caryńską.

Bieszczady mogą zauroczyć, ale nie można zapominać, że rządzi w nich natura. Któregoś popołudnia, gdy chciałam się przejść, urocza pani na recepcji powiedziała, że powinnam wziąć kogoś do towarzystwa albo... głośno śpiewać. Okazało się, że znajomy niedźwiedź obudził się i buszował w bliskim sąsiedztwie hotelu.

Rzeczywiście, przy bieszczadzkich szlakach wszędzie widać tabliczki „Uwaga, niedźwiedzie!", tyle że my, mieszczuchy, często nie bierzemy poważnie takich ostrzeżeń. Nie traktujemy poważnie gór. A to błąd. Wtedy, można powiedzieć, zagrożenie dosłownie podeszło pod hotel. Na spacer nie poszłam, ale jak wilka ciągnie do lasu, tak mnie pociągają coraz to nowsze miejsca. Również te odległe.

Dużo podróżuję. Staram się poznawać świat, bo to otwiera głowę. Nie każdy zakątek, oczywiście, podoba mi się tak samo, nie wszędzie odpowiada mi energia ludzi lub zwyczaje. Ale mimo wszystko jest to zawsze niezwykła przygoda. Podróże sprawiają, że wychodzimy ze swojej strefy komfortu, przyzwyczajeń... Stajemy się gośćmi i musimy być bardziej uważni, musimy obserwować, dostosować się do wyznaczonych w danym miejscu reguł. To otwiera serce na innych ludzi.

Najdalszymi rejonami świata, do jakich dotarłam, były: Tajwan i Australia. Trafiłam do nich w dzieciństwie, razem z zespołem Gawęda, który fantastycznie dopełnił mi czasy szkolne. Za to już jako aktorka z dyplomem wrocławskiej PWST zobaczyłam w 2014 r. Nowy Orlean. Pojechałam tam razem z ekipą sześciominutowych „Złych zabaw". Wyjazd był nagrodą w konkursie 48 Hour Film Project (robiłam przy tym filmie scenografię i zajmowałam się stroną produkcyjną). Nasłuchaliśmy się wtedy wielu poruszających opowieści o huraganie, który parę lat wstecz spustoszył całkowicie te tereny.

W tym roku, poza Bieszczadami, na moim szlaku pojawiły się Włochy. Trzy razy. Energia tego kraju i ludzi jest nie do przebicia. I jak piękny, śpiewny mają tam język. Na Sardynii, gdzie trafiliśmy na początku, wciągnął nas dodatkowo wyspiarski klimat.

A skoro mowa o wyspach, byłam też na Azorach, które są miejscem magicznym, pięknym i niesamowitym. Wyspy wyrosłe z wulkanów, a wokół nich delfiny, walenie... Po prostu raj na ziemi. Na szczęście wcale nie tak łatwo tam się dociera, więc jest to obszar nie do końca odkryty dla turystów i dlatego nadal dziewiczy.

W przyszłym roku planuję wybranie się nieco bliżej i pozwiedzanie Polski. Jest jeszcze tyle pięknych, nieodkrytych przeze mnie miejsc, które chcę zobaczyć, przejść, przepłynąć i przejechać rowerem. Oby do wiosny! A tymczasem czekam z niecierpliwością na premierę najnowszego sezonu „Watahy".

Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Krzysztof Wiktor



SŁODKO-SŁONY

Na lepszy humor

ANNA MONICKA

Latem goście cię nie zaskoczą. Nawet jeśli wpadną znienacka, zawsze są pod ręką jakieś owoce, które możesz polać bitą śmietaną lub zapiec pod kruszonką. Jesienią czy zimą, w sezonie dyniowo-ziemniaczanym, pozostają na placu boju tylko jabłka. Pieczone są pyszne, ale coraz trudniej znaleźć odmiany, które w piekarniku nie zamienią się natychmiast w watę. Do szarych renet czy antonówek trzeba mieć dojścia albo jakiegoś sadownika w rodzinie, który zna się na przechowywaniu owoców.

Można jednak sięgnąć po mrożonki. Wiśnie czy śliwki znoszą niskie temperatury bardzo dobrze, a w deserze, który rozgrzewa moje serce jesienią, liczy się nie jędrne „ciałko", ale soczysty smak, któremu hibernacja akurat nie przeszkadza. Danie pochodzi z Francji i jest robione z tego, co w każdej chałupie było zawsze pod ręką, a więc ze świeżych jajek, mleka prosto od krowy, śmietany, masła i zerwanych z drzewa owoców. W wersji farmerskiej nikt się nawet nie przejmował pestkami i do clafoutis, bo o nim mowa, wrzucano wiśnie nie drylowane. Ponoć słodki omlet nabierał od nich bardziej migdałowego smaku. Dziś większość składników też każdy ma pod ręką, choć nie pochodzą prosto od kury czy krowy, ale na przykład prosto od żabki czy od biedronki. Nie zmienia to faktu, że zalane jajkami i zapiekane owoce wychodzą pyszne. Mogą być śniadaniem prosto do łóżka, mogą deserem lub podwieczorkiem. Generalnie to taki mało pracochłonny uprzyjemniacz życia, o który w listopadzie człowiek wyje do księżyca. No to do dzieła.

Bierzemy kubek wiśni albo 10 śliwek, świeżych lub rozmrożonych. Mnie szkoda jednak zębów, więc pestki wyciągam. Wkładamy owoce (śliwki przekrojone na połówki) na posmarowaną masłem formę do pieczenia. Szklankę mleka mieszamy z połówką szklanki cynamonowego cukru pudru (ale może być też zwykły plus cynamon), dwiema kopiastymi łyżkami śmietanki kremówki, niepełną szklanką mąki i trzema–czterema jajkami. Miksujemy ze dwie–trzy minuty, a potem wylewamy na owoce i pieczemy w nagrzanym do 180 stopni piekarniku, żeby masa jajeczna się ścięła. Zwykle jest gotowa w pół godziny, więc można ten smakołyk robić spokojnie przy gościach.

Nie przejmuj się, że najpierw pięknie będzie rósł, a potem opadnie. Taka jego uroda. To nie biszkopt czy baba drożdżowa, ale szybki plackonaleśnikoomlet. Podawaj go od razu, na ciepło, z lodami, bitą śmietaną, posypany cukrem pudrem lub polany likierem wiśniowym. Zależy od pory dnia oraz tego, ile wiosen sobie liczy osobnik, któremu poprawiasz humor. Smacznego.

WILCZYM OKIEM

Perkoz i bushcrafting



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jednym z modnych ostatnio zajęć jest bushcrafting, obejmujący ogół umiejętności potrzebnych do przeżycia w dziczy, wykorzystywanych podczas wędrówek po lasach, górach i bagnach, samodzielnego zdobywania pożywienia, budowania schronień, rozpalania i podtrzymywania ognia, zgłębiania tajemnic przyrody. Bushcrafting przyszedł mi na myśl, kiedy ostatnio wybrałem się nad stawy.

Stawy te są dość rozległe. To podmiejskie zbiorniki wodociągów – a także miejsce bytowania rozmaitych wodnych ptaków. Zbliżał się wieczór. Było pogodnie, a staw, nad którym stałem, robił się od zachodzącego słońca pomarańczowy, czerwony, a potem coraz bardziej różowy. Gdzieś dalej pasła się sarna, a wokół było zupełnie cicho.

Po powierzchni stawu pływał samotny perkoz dwuczuby, co jakiś czas dając nurka pod powierzchnię. Kiedy już zastanawiałem się nad skutecznością jego łowów w zapadającym zmierzchu, wynurzył się całkiem blisko mojego stanowiska obserwacyjnego. W dziobie trzymał rybę, a konkretnie pasiastego okonka. Sprawnie go obrócił i, chociaż okoń wydawał się zbyt duży na wąską szyję ptaka i stroszył kolczaste płetwy, bez trudu połknął.

Taki perkoz znajduje się w sytuacji wymagającej umiejętności przeżycia w dziczy cały czas. Wypatrzyć i schwytać coś do jedzenia, nurkując w zimnej i pozornie pustej wodzie. Nie raz i nie dwa, lecz wielokrotnie w ciągu dnia. Tyle, żeby wystarczyło energii na przetrwanie nocy – a pogodny wieczór zapowiadał noc co najmniej chłodną. Przetrwać te długie zimne godziny w miejscu, w którym jego z kolei nie schwyta żaden drapieżnik, przetrwać w dobrej kondycji, aż ponownie zacznie robić się jasno i znowu będzie mógł nurkować za rybami.

Nasz gatunek również przez długi czas funkcjonował w warunkach, w których samodzielne zdobycie pożywienia i przetrwanie było koniecznością. Wpojone nawyki i potrzeby zdobywania pożywienia znalazły ujście w pasji zakupów, w zamiłowaniu do gotowania lub powróciły w postaci aktywności, takich jak bushcrafting, będący nie tyle modą, ile wyrazem potrzeby spędzania czasu w ten sposób, jak czyniły to niezliczone pokolenia naszych odległych przodków.

eprasa.pl 1bb409c74f

Cosmodziewczyny w Klechostanie



Burze polityczne przetaczają się nad głową, a ja czytam grudniowy numer miesięcznika „Cosmopolitan". Dla pań chyba głównie, ale niekoniecznie, bo mnie na przykład zafascynował. Temat okładkowy: „Sologamia. Nadchodzi nowa generacja". Nie wiecie, co to jest? Ja też nie wiedziałem i bardzo byłem ciekawy, jaka generacja nadchodzi. Teraz już wiem. Idzie o światową modę na śluby z samym sobą. Jak? Normalnie. Zaprasza się druhny, mistrza ceremonii, tłum gości, zakłada się suknię ślubną, zamawia jedną obrączkę. Po czym składa się przysięgę miłości samemu sobie. A potem wesołe wesele. „Zaletą sologamii jest to, że człowiek może dzięki niej zwracać uwagę wyłącznie na siebie i troszczyć się o siebie tak, jak nikt nigdy się o niego nie troszczył. Sologamia pozwala na wyznaczanie granic innym – skoro człowiek przysiągł dbać o własne potrzeby i interesy, a w dodatku dostał taką obietnicę na piśmie, teraz może ją egzekwować" – wyjaśnia psycholog i psychoterapeuta Katarzyna Kucewicz.

Pierwsza sologamistka – Linda Baker z Los Angeles – zawarła „ślub z samą sobą" już w roku 1993. Niemka Nadine Schweigert, zawierając ślub, tak oto przysięgała „Ja, Nadine, obiecuję cieszyć się własnym życiem i rozkoszować dożywotnią miłością z moim pięknym ja". Jennifer Hoes z Holandii poślubiła siebie, ponieważ nie chciała „spędzić reszty życia podporządkowana tradycjom i presjom społecznym". Natomiast Angielka Sophie Tanner, po zawartym w 2015 r. ślubie z sobą samą, oznajmiła, że jej miłość do siebie samej jest jeszcze większa.

Zamyśliłem się głęboko. Ale idę dalej. A tam – rewelacja. Artykuł o nowej filozofii życia, która – jak pisze „Cosmo" na okładce – gwarantuje sukces i szczęście. Chcę sukcesu i szczęścia, więc szybko czytam. Filozofia owa nazywa się nunchi, a przyszła do nas z Korei. „Zachwycamy się wszystkim, co proponują nam Koreanki – pisze „Cosmo" – teraz na tapecie jest nunchi". Ta metoda każe być autentycznym, ciekawym świata oraz uważnie słuchać innych. Wsłuchiwać się w ich głosy, dostrzegać gesty, spojrzenia. „To koreańska supermoc, w której liczy się zdolność obserwacji. Nunchi nakazuje starać się zrozumieć postępowanie drugiego człowieka" – pisze najwyraźniej olśnione i bardzo tym podniecone „Cosmo". I dookreśla nunchi słowami: optymizm, obiektywizm, wyciszenie, kierowanie się sercem, intuicją lub zmysłami. „Dla nas w Europie nunchi jest teraz modną nowością", ale okazuje się, że Koreańczycy wierzą w nunchi od tysięcy lat. Niesamowite, prawda? Rewelacja.

Uf. Idę dalej. A tam artykuł „Roślina. Najlepszy przyjaciel". Naprawdę? Idę dalej. A tam Singielka AA ujawnia, że jedna z „cosmogirls" zwierzyła jej się, że faceci dzisiaj nie chcą się żenić. Singielka więc zaprosiła koleżanki ekspertki, z którymi po wielogodzinnej naradzie przy wielu kieliszkach wina uradziły, że nie da się w tej sprawie zrobić nic.

Idę dalej, a tam artykuł „Kobiety & Kościół" z leadem na tle „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci (gdzie, jak wiadomo, ucztuje 13 facetów): „Komu zależy na tym, aby kobiety były podporządkowane mężczyznom". Wypowiada się ekspert Jarosław Makowski: „Kobietom pozwoli się współdecydować o Kościele, kiedy celibat i kapłaństwo przestaną mieć wartość". I dodaje, że – by równouprawnić kobiety – „należałoby zredefiniować wszystko, o czym do tej pory nauczał Kościół". Artykuł ilustruje zdjęcie z manifestacji z transparentem „Kolejny dzień w Klechostanie".

Idę dalej. A tam artykuł o dziewicach powyżej 25. roku życia. Autorka z pewnym zdumieniem dowiaduje się, że takie kobiety istnieją i że jest ich niemało. A wniosek „Cosmo" taki: „Doświadczamy zjawiska korelacji dwóch sprzecznych trendów. Z jednej strony huczne łamanie tabu seksu – kobiety rozpoczynają współżycie wcześniej, konserwatywna skorupa pęka... Z drugiej jednak strony coraz częściej prowadzimy życie w wersji solo... coraz trudniej znaleźć partnera". Autorka nie widzi żadnego związku między oboma zjawiskami, ocenia, że przyczyną tego drugiego jest „pogoń za ideałami, skupienie na karierze oraz nierówności społeczne".

Hm. Czuję trochę, że byłem w kosmosie. Ale długo nie pofruwam. Szwajcarskie wydawnictwo właśnie ogłosiło, że miesięcznik „Cosmopolitan. Najlepiej sprzedający się magazyn dla młodych kobiet na świecie" właśnie zakończył swój żywot w Polsce, numer grudniowy jest ostatni. Okropne. Bez tak głębokiego duchowego, intelektualnego, psychologicznego i społecznego przewodnictwa – jak żyć?

Maciej Pawlicki

eprasa.pl 1bb409c74f

Z Warszawą w tle



Alina Czerniakowska

Jerzy Kasprzycki w swoich pięciu tomach cyklu książek „Korzenie miasta" opisuje m.in. tzw. szemraną Warszawę, czyli ludzi z pogranicza prawa, różnych kombinatorów, złodziejaszków, cwaniaków, ale zawsze podkreśla, że przed wojną ci ludzie mieli poczucie swoistego honoru, patriotyzmu, a po wojnie przyszli nowi i wszystko się zmieniło. W książkach Kasprzyckiego możemy znaleźć opisy kolejnych ulic Warszawy, ocalałych kamienic przedwojennej Marszałkowskiej, Mokotowskiej, ścisłego centrum i innych ekskluzywnych dzielnic: Mokotowa, Żoliborza, Saskiej Kępy. Ale na koniec pada jedno krótkie określenie: „Po wojnie zamieszkali tu funki i półfunki". I właśnie ci „funki i półfunki" z czasem przejęli całą starą najpiękniejszą Warszawę.

Dzisiaj mieszkają tam już kolejne ich pokolenia, nazywają się „demokratami, światowcami", stali się właścicielami, pozakładali księgi wieczyste i tworzą nową elitę stolicy! Obecni oligarchowie, postkomunistyczni deweloperzy działający pod kuratelą ratusza za poprzedniej pani prezydent i obecnie za jej następcy Rafała Trzaskowskiego. To oni podzielili się resztą najatrakcyjniejszych miejsc, przejęli odbudowane przedwojenne kamienice, place na zasadzie złodziejskiej prywatyzacji okrągłostołowej. W imię prawa nastąpiło bezprawie. I mamy dzisiaj taki właśnie obraz Warszawy. A przecież miasto to ludzie, to mieszkańcy świadczą o jego obliczu, charakterze, dokonywanych wyborach, zachowaniach, sposobie myślenia i działania.

Warto byłoby przejść się po najbardziej elitarnych ulicach, dzielnicach, zajrzeć do kolejnych najpiękniejszych rezydencji, domów i pytać, kto tam mieszka, kim są ci ludzie, jakie mają rodowody, pochodzenie, profesje i wreszcie – jak stali się właścicielami tych mieszkań, placów, ogrodów? To dawałoby jasność i najlepsze wyjaśnienie tła obecnej sytuacji w Warszawie. I nie tylko w Warszawie. Ktoś zadał słuszne pytanie – dlaczego nie rzucili się na gomułkowskie i gierkowskie mieszkania, tylko rozdzielili między siebie tę „burżuazyjną, kapitalistyczną Warszawę", której byli ideologicznymi, zapiekłymi wrogami przez całe dziesięciolecia, począwszy od zakończenia wojny.

Mój dziadek Stanisław Czerniakowski, który przed wojną po wczesnej śmierci rodziców musiał opuścić ukochaną Warszawę i przenieść się na wieś do swojego rodzinnego dużego gospodarstwa, bo – jak mówił – służba niepilnowana rozkradała wszystko, do końca życia tęsknił jednak i opowiadał o swoich miejscach, które były jak z powieści Prusa. Najbardziej nie mógł się pogodzić z tym, co działo się po wojnie, ze skutkami tzw. awansu społecznego. Często powtarzał „Dworaki górą, to wszystko przyszło ze wschodu, kłamstwo, złodziejstwo, pijaństwo, niszczenie prawowitych właścicieli, to musi kiedyś upaść, prawda zwycięży, bo Polska zwycięży". Podobnie mówił mój ojciec, kawalerzysta września '39, a mama 15 lat młodsza, nerwowo reagowała na taką ironię, nie rozumiała rodziny mojego ojca, której wszystko zabierali, którą wiecznie nachodzili, aresztowali jako tzw. kułaków.

Bardzo kochałam opowieści babci z czasów okupacji o partyzantach przechowywanych w ich domu z drewnianego bala z białym murowanym gankiem, z grubymi wnękami, pięknym spichlerzem, o obławach niemieckich i cudownych ocaleniach. Zapamiętałam jej motto na życie, które ciągle mi powtarzała „Tyle jesteś warta, ile innym pomożesz". Tak wychowała swoich synów, żołnierzy walczących na różnych frontach: Feliks ranny pod Lenino, przeżył piekło, wywieziony do Rosji, nie załapał się z Andersem i widział naocznie zdradę Berlinga. Wacław, mój ojciec, z 11 pułkiem ułanów przeszedł cały szlak aż pod Hrubieszów i tam był świadkiem zdradzieckiej napaści Rosji 17 września. Córka Józia Czerniakowska w czasie okupacji przewoziła broń, zachorowała na gruźlicę i zmarła w wieku 30 lat. Często obcy ludzie, wspominając moją babcię, mówili: „To była prawdziwa bohaterka i nasza dobrodziejka". Nie mogłam zrozumieć jako dziecko, że przed śmiercią ta dumna odważna kobieta płakała, siedziała skulona, zamknięta w sobie, zabiedzona i smutna. Były to późne lata 60., wydawałoby się, że komuna już wówczas zelżała, ale to tylko złudzenie.

Dziadek czasami pełen rozpaczy, brał swoją srebrną laseczkę i mówił, że idzie w świat, wtedy ja mała dziewczynka płakałam, chwytałam dziadka za buty i wołałam: „Nie chodź w świat". Pamiętam, jak opowiadał mi przed snem baśnie, historie królów polskich, był mądrym prawym człowiekiem, przedwojennym ławnikiem, cenionym w rodzinie i wśród obcych, licznych warszawiaków, znajdujących schronienie i opiekę w ich domu w czasie wojny i powstania warszawskiego. To nie są tylko moje sentymenty z dzieciństwa, ale powrót do ludzi, którzy naprawdę kochali Polskę i Warszawę.

Gdy opowiadałam ojcu o swoim pierwszym filmie dokumentalnym, który zrobiłam dla TVP w 1988 r. „1 sierpnia" i ogromnych kłopotach, jakie miałam, powiedział mi: „Pamiętaj, nie proś ich o nic, prawda kiedyś zwycięży". Miał rację, bo ten film, razem z innymi moimi filmami, został teraz wybrany komisyjnie, przetłumaczony na angielski i wydany...

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 1bb409c74f

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Zastanów się pan...



Nie da się budować trwałego, bezpiecznego i dostatniego społeczeństwa w warunkach permanentnego konfliktu, potęgowanego ingerencją obcych

Jarosław Marek Rymkiewicz, pisząc w kwietniu 2010 r., tuż po tragedii smoleńskiej, wiersz „Do Jarosława Kaczyńskiego" – a w nim znamienne słowa: „To, co nas podzieliło, to się już nie sklei, nie można oddać Polski w ręce złodziei", miał profetyczny dar widzenia. Ale trzeba było czekać jeszcze pięć lat, aby dokonała się zmiana władzy i zwyciężyło PiS Jarosława Kaczyńskiego. A potem cztery lata rządów Beaty Szydło i Matusza Morawieckiego w słusznym interesie Polski i Polaków. I choć pojawiło się tyle niespotykanego dotąd w Polsce dobra, gdyż po raz pierwszy władza, realizując swoje obietnice, pamiętała o wyborcach, o zwykłych polskich rodzinach, kolejne zwycięstwo parlamentarne nie dało większości konstytucyjnej. Pozwoliło jedynie utrzymać przewagę 237 posłów, gotowych wbrew pozostałym 214 posłom (rezultat głosowania), kontynuować przemianę Polski w zasobne, nowoczesne państwo o mocno ugruntowanych, tradycyjnych wartościach. Bo to ma być „najlepsze miejsce do życia w Europie", jak powiedział romantycznie premier Morawiecki w swoim exposé.

Po półtoragodzinnym mądrym, rzeczowym, wiarygodnym wystąpieniu premiera szef totalnej opozycji Grzegorz Schetyna dokonał bandyckiego wręcz słownego aktu wandalizmu i zniszczenia. Potwierdził słowa poety „to się nie sklei". Faktycznie nic się nie sklei z ludźmi, których cechują: nienawiść, przewrotność braku argumentów, słabe umiejętności, brak podstawowej wiedzy oraz wątpliwa kondycja etyczno-moralna. To traktowanie Polski jak własnego wychodka, w bezkarności, wszak osiem lat rządów PO-PSL nie zostało do dziś rozliczonych. Dlatego szydził, kpił, naigrywał się, łajał i ośmieszał przedmówcę. Wykrzyczane słowa drwiny kierował wprost do premiera, który akurat usiadł w ławie naprzeciwko mównicy, oraz do przemawiającego tuż po nim Jarosława Kaczyńskiego. To najwidoczniej skłaniało Schetynę do jeszcze większego natężenia agresji i wręcz wściekłości. Wystąpienie Schetyny potwierdziło kurs totalnej opozycji na jeszcze większą niż poprzednio konfrontację z władzą, konfrontację tak mocną, że choćby się miała skończyć narodową tragedią. Na nic wyciągnięta ręka prezesa PiS. Odrzucając, trzeba ją było jeszcze opluć.

Tymczasem nie da się budować trwałego, bezpiecznego i dostatniego społeczeństwa w warunkach permanentnego konfliktu, potęgowanego ingerencją obcych. Bez zaufania do władzy trudno gwarantować wolności obywatelskie. Trudno też walczyć o rodzinę w warunkach rozkręcającej się neobolszewickiej rewolucji kulturowej.

Wystąpienie Jarosława Kaczyńskiego było także rzeczowe i więcej niż koncyliacyjne, bo wręcz ugodowe. Przypomniał historię rozdartej wojną domową Irlandii, która pokonała swoje trudności, jest dziś stabilnym i bogatym europejskim społeczeństwem. Ale do tego potrzebny jest po dwóch stronach konfliktu patriotyzm, który nie pozwala kraść, kłamać i równocześnie oskarżać o to samo innych. Schetyna wie, że to, co mówi, jest adresowane do ludzi, dzięki którym udaje się opozycji powstrzymywać patriotyzm, zakładający ze swej natury altruizm słów, postaw i czynów. Zwraca się wciąż do tych samych otumanionych kłamliwymi mediami, zatrutych od 30 lat irracjonalną nienawiścią do Kaczora.

Ilekroć piszę o tych dla mnie niepojętych, trudnych do zrozumienia zachowaniach, przychodzą mi na myśl Fiodor Dostojewski i jego „Bracia Karamazow". Fiodor Pawłowicz, ojciec tytułowych braci, wyjątkowy łajdak, wspominał, jak to kiedyś go pytano, dlaczego nienawidzi tego, który mu niczego złego nie uczynił. „Tak, to prawda, niczego złego mi nie uczynił, bo to ja zrobiłem mu ohydne świństwo. A jak już je zrobiłem, natychmiast go znienawidziłem". To za rządów PO-PSL co roku Polacy składali się na dodatkowy miliard złotych dla rosyjskiego Gazpromu z tytułu złodziejsko wynegocjowanego kontrakt jamalskiego. Jak pisał śp. Witold Michałowski, 100 mln dol. łapówki rozeszło się po obu wspólnikach złodziejskiej umowy. Ale to Mateusz Morawiecki jest winien tego, że okłamał Polaków w sprawie elektrycznych samochodów, których nie ma do dziś, no i tanich mieszkań. A przecież coraz więcej ludzi jeździ elektrycznymi autami, a tanich mieszkań byłoby więcej, gdyby nie samorządy rządzone przez PO, utrudniające pozyskanie gruntów.

Jeszcze lepiej rozumiał to Józef Piłsudski. „Dziś wyraźniej niż kiedykolwiek widzę, że jest pewien rodzaj człowieka, który, gdy mu powiedzieć: – Panie, zastanów się pan. To, co pan robi, jest szkodliwe dla Polski, dla państwa, jest niemoralne – on wzruszy lekceważąco ramionami i będzie pana uważał za moralizującego deklamatora. Dopiero, kiedy dostanie w pysk, to drapie się za ucho i dochodzi do przekonania, że musiał zrobić coś złego".

eprasa.pl 1bb409c74f

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Nowa poprawność polityczna



Witold Gadowski

„Wie pan, on tak naprawdę jest bałwanem i ma lepkie rączki, ale mówię to tylko na stronie, bo, pan wie, to może zaszkodzić naszym" – takie poufne oświadczenia wysłuchuję co chwilę, dotyczą prominentnych czynowników dobrej zmiany, oczywiście konkretnych i na razie nielicznych. Nie wolno mówić! Dla dobra sprawy trzeba milczeć, gęba na kłódkę, bo zaszkodzimy naszym. Zaraz, zaraz! Jakim „naszym"?! To promowaliśmy do władzy karierowiczów i zadufków? Mamy tolerować draństwo w imię wyższych celów? Czy samo przyzwolenie na przymykanie oczu wobec dziadostwa po stronie tych, którzy uwiedli nasze poparcie, jest postępowaniem patriotycznym i koniecznym? Mamy tolerować nieudacznictwo, niejasne powiązania i układy w imię wyższych zasad?

Tak przemawiali onegdaj „miękkogłowi" w PZPR, robili do nas oko: „Bo wiecie, przyjdą tamci, Grabscy, »twardogłowi«, oni nie mają skrupułów. My – towarzysze – wiemy, że nie jest dobrze, ale przecież jak nas nie będzie, to będzie znacznie gorzej". Tak to trwało – siłą gnilnego rozpędu – w PRL od lat 70. Zawsze byli jacyś „nasi". Oczywiście porównanie do PRL jest wyolbrzymione i w istocie niesprawiedliwe, ale dobrze znam ten mechanizm. Przepuszczamy małe grzeszki w imię większych, acz mitycznych i w praktyce nieosiągalnych „dóbr". Gonimy za marchewką dobrej Polski. Ona będzie jeszcze nie teraz, ale przecież ci, którzy to wiedzą lepiej, poprowadzą nas do niej.

Otóż oświadczam: to brednia, najgorsze z możliwych kłamstwo, bo zatruwające nasze myślenie powoli. Potem każdy, kto będzie kwestionował warunki naszego „partnerstwa" z USA automatycznie, na zasadzie odruchu psa Pawłowa, będzie sytuowany po stronie „ruskich", „agentury" etc. To zamknie całkowicie naszą zdolność realnej oceny sytuacji. Nie mam ochoty być króliczkiem, któremu macha się przed nosem marchewką. To podgrzeje się Smoleńskiem, to znów targowicą i spokojnie można slalomem kluczyć – wybierać Czarzastego na wicemarszałka Sejmu, po cichu układać się z każdym. Bo przecież władza „naszych" jest najważniejszym celem. Oni prowadzą w dobrym kierunku, tylko chwilowo okoliczności nie sprzyjają. Taka zabawa może trwać w nieskończoność, a PiS w butach poprzednich ekip będzie się czuło coraz lepiej. Zmieniamy dekoracje, rzeczywistość pozostaje.

Nie mam zamiaru kwiczeć w kagańcu. Polityka może mieć szlachetniejsze oblicze, choćby teraz kosztowało to sporo kłopotów.

Nauka czy wróżenie z fusów?



Lech Makowiecki

Jak będzie wyglądał nasz świat za lat kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt? Starsi mogą skonfrontować swe młodzieńcze marzenia z obecnymi realiami. Jeśli wyciągną właściwe wnioski, nie popełnią już tych samych błędów. Nazywamy to doświadczeniem. Młodzież – gdyby zechciała – mogłaby wesprzeć się wiedzą nabytą, w trafnym przewidywaniu przyszłości bardzo pomaga znajomość historii i analityczny umysł. Dlatego wielce sobie cenię opinie naukowych autorytetów, zwłaszcza prof. Andrzeja Nowaka. Mało kto potrafi tak dobrze objaśnić Polakom, kim byliśmy na przestrzeni dziejów. I dokąd tak naprawdę zmierzamy. Wystarczyłoby nieco popytać, poczytać, poszukać w internecie. Zwykle nastolatkowi u progu życia szkoda na to czasu. Świadomy sędziwy emeryt pociesza się, że nic co złe nie zdąży go już dopaść. Ale los wciąż nas zaskakuje.

Żyjąc pod butem „niezwyciężonego Kraju Rad", byłem pewien, że umrę w komunie. A tu nagle Czerwony Brat się posypał i urwaliśmy się z łańcucha! Po Sejmie kontraktowym (35 proc. wolności) liczyłem na stopniowe odzyskiwanie pełnej niezawisłości Rzeczypospolitej. I znowu pudło! „Nasi" komuniści przebojem wchodzą do europarlamentu, a zachodnie lewactwo brutalnym szantażem (finansowym, edukacyjnym, medialnym, sądowniczym etc.) chce nas wynarodowić, zasiedlić muzułmanami i skolonizować. I temu ma służyć demoralizacja naszych dzieci i młodzieży wytycznymi WHO. Czy w latach 70. XX w., tęskniąc za zachodnią „wolnością", mogliśmy przewidzieć inwazję gender, afirmację dewiacji i najazd pedofilii na polskie szkoły? Albo opozycję sejmową zaciekle zwalczającą „polskość jako nienormalność" i wściekle prącą do rozmontowania kraju?

PS Gdyby Dmowski był „totalną opozycją" dla Piłsudskiego, bylibyśmy dzisiaj w czarnej dziurze. Tuski, Schetyny, Budki et consortes – jak wam nie wstyd?!

eprasa.pl 1bb409c74f

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Elektryczne samochody



Aleksander Nalaskowski

Wysłuchałem exposé premiera w Sejmie. Jakże różne od nadętego, konfrontacyjnego i infantylnego „orędzia" marszałka Grodzkiego. (Swoją drogą do Grodzkich szczęścia nasz parlament nie ma.) Było takie, jak być mogło. Siłą rzeczy skrótowe, chociaż nieziemsko długie. Było takie, jak się spodziewałem. Pewne wątki wybrzmiały dobrze, inne mniej dobrze. Normalka. Jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził. I tym razem porzekadło zadziałało. Bez wątpienia Morawiecki zdaje sobie sprawę z realiów i doskonale wie, co się udało, a co jest wciąż do zrobienia. Ale też dobrze sobie zdaje sprawę z tego, że nie ma czarodziejskiej różdżki, że niemal każda dziedzina polskiego życia jest niedoskonała.

Osobiście za kilka miesięcy powiem: „Sprawdzam", i zobaczę, co zrobiono z agresywną doktryną lgbt i towarzyszącymi jej okolicznościami. Jak już kiedyś napisałem, idzie o powstrzymanie tarana, który ma wyważyć wrota do polskiej twierdzy. Bo po ich wyważeniu nie będzie ani twierdzy, ani tym bardziej polskiej. Bo „twierdzą nam będzie każdy próg", próg domu rodzinnego, rodzina. I nie inaczej. Centralny Port Komunikacyjny czy przekop Mierzei Wiślanej są mi mniej bliskie, bo już rzadko gdziekolwiek się wybieram, a nawet służbowy wyjazd do Warszawy (brrr!) to dla mnie wyprawa wręcz afrykańska. Nie lubię wychodzić z domu. Jak mawia znajomy sztygar: „Nie po to człowiek ma dom, żeby się po plachandrach szwendać", i wszystko jasne.

Już tu kiedyś napisałem, że nowy skład Sejmu to będzie małpiarnia. I jest małpiarnia. Widać to po wystąpieniach szefów klubów. Wszyscy oni udowadniali premierowi, że zupełnie nic przez te cztery lata nie zrobił, że właściwie Polska jest tak zaniedbana jak Czad czy Erytrea. Oczywiście wszystko się wali, wszędzie chwasty i złodziejstwo, rząd nieudolny i perspektyw brak. Pomijam to, że takie opinie wymagają pilnego skierowania na badanie wzroku i nakazują mocno się zastanawiać nad poczytalnością liderów opozycji. Ale z drugiej strony może ich świat taki właśnie jest, jak go przedstawiają? Od dawna podejrzewałem bowiem, że pochodzą z kartoflanych ziemianek i tam też odebrali swoje „gruntowne" wykształcenie. Co widać, słychać i czuć.

Ale po kolei. Grzegorz Schetyna przemawiał tak, jakby jego partia nigdy nie była u władzy albo pozostawiła Polskę nie tylko murowaną, lecz i pozłacaną. Jakby nie wprowadził starych komuchów do Parlamentu Europejskiego. Przemawiał tak, jakby jego partia przegrała zaledwie o włos z PiS, no o jeden góra dwa procent. Jakby kiedykolwiek miał Polsce cokolwiek do zaoferowania. Ma puste ręce. A w polityce puste ręce biorą się zawsze z pustej głowy.

Schetyna przemawiał tak, jakby kiedykolwiek miał Polsce cokolwiek do zaoferowania. Ma puste ręce

Po nim wystąpił Zandberg Adrian. Ilekroć przemawia, to się zastanawiam, czy już się zaczęło rykowisko. Teraz będzie rykowisko przez cztery lata. Łanie oszaleją. Niektórzy sądzą, że wypunktował premiera. No cóż, ten kandydat na nowego Trockiego, ideolo lewactwa, zapomniał, że od 1989 r. zmagamy się ze spuścizną jego antenatów ideowych. Przypomnę: Nowotko, Gomółka, Ochab, Zawadzki, Gierek, Kania, Jaruzelski... Mów im wuju, Zandberg! Chciał być rzeczowy i po socjalistycznemu krytyczny, a był kanciasty i prymitywny. Ale zdaje się, że Zandberg ma ambicje daleko większe. Jak stwierdził bowiem Mark Twain, niektórzy mają rozum, a pozostali ambicje.

Kosiniak-Kamysz był mydlany jak mydłek. Niestety, kolejne lata będzie się publicznie wymydlał. Ale może tym razem już do końca. Chociaż nie wiem, czy to byłoby dobre dla Polaków. Bo jakby się już wymydlił, to wróci do zawodu lekarza, a wieloletnia i polityczna przerwa w praktykowaniu medycyny w dużej mierze ogranicza jego kompetencje. A to zawód, w którym trzeba być na bieżąco. Kosiniak-Kamysz też ma ambicje. Dlatego zapewne chce uchodzić za męża stanu i chrześcijańskiego orędownika zmian. Jest w tym zabawny i żenujący. Tutaj też ma zastosowanie cytowane powiedzonko Twaina.

Wystąpienie Grzegorza Brauna było nie tylko kuriozalne, lecz i kompromitujące jego formację. Na miejscu Bosaka wyskoczyłbym na trybunę i ogłosił wotum separatum. Skoro jednak tak się nie stało, to już wiem, co myśleć o Konfederacji.

Wszystkim adwersarzom premiera pragnę jednak przypomnieć, że odrabiamy w różnych konfiguracjach politycznych różnie straty poniesione w II wojnie i monstrualne spustoszenie gospodarcze i umysłowe o nazwie PRL. A tutaj nic nie jest łatwe ani bezbolesne. To pierwsza tak głęboka próba naprawy państwa, od samych fundamentów. A do naprawienia było i nadal jest niemal wszystko – od infrastruktury, przez szkolnictwo, po obronność. Czeka nas jeszcze wiele, wiele lat pracy. Nie próbowały tego skutecznie zrobić ekipy z SLD, PO czy PSL. Zatem niechaj siedzą cicho. I jeszcze jedno – upominanie się w tej sytuacji o spełnienie obietnic o elektrycznych autach jest po prostu idiotyczne.

Mówiłem – małpiarnia.

eprasa.pl 1bb409c74f

PRZEZ ŚWIETLIK

Podręcznik nienawiści



Wiktor Świetlik

W tym roku mikołaj, kiedyś nazywany świętym, ma dobrą wiadomość. Część z nas zacznie myśleć, i dotyczy to zarówno obchodzących tzw. święta, jak i tych nieobchodzących. Oto bowiem, jak zapowiada wydawnictwo Znak, już za chwileczkę, już za momencik, dostaniemy do rąk książkę, która „da nam do myślenia".

Książka „Dobra zmiana" Michała Rusinka i Katarzyny Kłosińskiej będzie opisywać „język rządzących" w latach 2015–2019. Jak dowiadujemy się z zapowiedzi wydawcy, układ będzie hasłowy: „A jak antypolski, E jak element animalny, D jak demon postępu, M jak mordy zdradzieckie – brzmi niepokojąco? A może już przywykliśmy?". Tak czy siak, poczytać powinniśmy, bo jak informuje dalej opis: „język rządzących nie tylko przenika do naszej mowy codziennej, ale również kreuje naszą rzeczywistość. Może być źródłem żartu, ale też źródłem przemocy".

Oczywiście wszystko to nie natrętna propaganda i dyskontowanie nienawiści części ludzi, a poważna praca napisana przez pana językoznawcę, byłego sekretarza Wisławy Szymborskiej, i panią doktor „językoznawczynię".

Dlatego właśnie – zgodnie z zasadami najściślej pojętego naukowego warsztatu – kilku haseł zapewne nie poznamy. Część z nich się nie łapie przecież, bo są sprzed 2015 r. Choćby dowcipny „zimny Lech" (na cześć tragicznie zmarłego prezydenta) albo „hunwejbini" lub „historycy z IPN" na temat zbyt dociekliwych naukowców. Nie zapoznamy się też z „falą nienawiści i agresji" na określenie zwycięskiej konkurencji politycznej. Co prawda łapie się ona i na 2015 r., i na „rządzących", bo padła z ust ustępującego właśnie prezydenta, ale naukowa metoda tego akurat prezydenta najwyraźniej wyklucza. Podobnie jak ówczesną premier chwalącą się, że „zatrudniła hejterów".

Inne metodologiczne przyczyny wykluczają takie pojęcia, jak „najazd Hunów" (o rodzinach, które dzięki 500+ stać na wczasy nad Bałtykiem), „troglodyci" (słowo, którego nauczył się, więc używa regularnie Tomasz Lis). Oczywiście nie będzie też tam takich określeń obecnej głowy państwa, jak choćby „długopis". Opisuje ono rzekomą skłonność Andrzeja Dudy do podpisywania wszystkich ustaw (faktycznie zawetował ich więcej niż Komorowski). Nie będzie „Hitlera" (dowcipnego pseudonimu, którym jeden z członków naszej palestry określał w memach Jarosława Kaczyńskiego). Nie będzie „agentów Kremla" (rosyjskiej agentury wedle urojeń Tomasza Piątka), „zamachu na media" (czyli tego, że spółki skarbu państwa nie reklamują się w mediach, które te spółki obsmarowują) i nie będzie każdej zmiany w sądownictwie przedstawianej jako „zamach na sądy".

To wszystko źródłem przemocy nie może być, a źródłem żartu nie powinno, więc autorzy w swojej pracy uwzględnili tylko jedną stronę. Zgodnie ze wszelką metodologią, a nie po to, by zarobić, nakręcając spiralę nienawiści. Miłego poznania.

REKLAMA



49/0819/F

eprasa.pl 1bb409c74f

Interes klienta



Jerzy Jachowicz

Przed gabinetem lekarskim czekałem na przyjście pani doktor. Na krótkiej ławeczce siedziałem sam. Obok leżała mała ozdobna torebka. Zajrzałem do środka. Na małej kartce był liścik.

Szanowna Pani Doktor, mam jeszcze świeżo w pamięci Pani pomoc, która pozwoliła mojemu niedawnemu klientowi wyjść z nie lada opresji. Tym razem sprawa jest bardziej skomplikowana, a mój obecny klient zacniejszą osobą niż poprzedni. Jest nim poseł, który znalazł się w pułapce zagrażającej jego dorobkowi politycznemu i zarazem szczęściu rodzinnemu. Z jednej strony grozi mu polityczna anatema, co równałoby się wykluczeniu z partii i skazaniu go na grząskie peryferie polityki, z drugiej zaś katastrofa w życiu osobistym – nieuchronny rozwód z kobietą, matką jego dwójki małoletnich, szczęśliwych jak dotychczas latorośli. Każdy z nas wie, na jakie manowce stacza się życie dzieci z rozbitych rodzin. Ich los jest w rękach Pani Doktor.

Pod koniec tego tygodnia na posiedzeniu plenarnym Sejmu będzie głosowana uchwała zwana w skrócie „antyfuterkową". Mojego klienta obowiązuje dyscyplina partyjna do głosowania za tą ustawą. Jednocześnie poseł ten obiecał żonie na gwiazdkę futro z norek. Można tylko sobie wyobrazić, jak zostanie zmiażdżony przez media, kiedy ustalą, jak głosował i jaki prezent ofiarował żonie.

Jedynym wyjściem z tej pułapki jest usprawiedliwiona nieobecność mojego klienta na najbliższym posiedzeniu parlamentu. Chodzi więc o skromne L-4 na okres siedmiu dni. Intensywna działalność polityczna musiała nadkruszyć jego zdrowie. Ustalenie jednostki chorobowej nie powinno Pani Doktor nastręczać trudności. Sugerowałbym – skrajne wyczerpanie.

PS Wymagane dane klienta jeszcze dziś dostarczy Pani Doktor mój aplikant (wraz z odpowiednim wyrazem wdzięczności).

Adwokat
Zenon Żytko

Z toalety wyszedł młody człowiek. Wziął torebkę i zapytał: „Czy zaglądał pan do środka?" – „Ależ skąd!" – odparłem.

Z CZEGO JESTEM BARDZO DUMNA

Nasze spotkania



Katarzyna Łaniewska

Od wielu lat spotykamy się my, firmanci. Tak żeśmy się nazywali z firmy wydawniczej CDN – prasy i kaset drugiego obiegu.

Pierwsze nasze radosne spotkanie odbyło się na rynku Starego Miasta, w Krokodylu. Poznawaliśmy swoje imiona i nazwiska, a nie tylko pseudonimy. Mówiliśmy, że knuliśmy, co było również moją osobistą wojną polsko-jaruzelską. Stanęliśmy wszyscy po właściwej stronie. Było nas bardzo dużo. Spotkania odbywały się w różnych miejscach, z różną liczbą uczestników.

W tym roku postanowiłam, że stawię się pomimo trudności chorobowych. Chciałam jeszcze raz spojrzeć ludziom w oczy i podziękować, że razem mogliśmy robić coś pożytecznego, a nasza działalność przyczyniła się Polsce, w której teraz żyjemy. Wydaliśmy około stu pozycji książkowych, kaset i nagrań. Popatrzyłam na osoby, których z początku nie mogłam poznać przez słaby wzrok. Przypominały mi się one z różnych miejsc. Podczas knucia dużo się przemieszczałam, miałam miano „Przybocznej". Jeździłam starą ładą. Poznałam wtedy, jak ciężki jest papier, który woziłam. Jak nam się nie udał nakład, trzeba go było gdzieś wyrzucić. Na przykład zostawiałam na cmentarnym śmietniku. Nieboszczyków trudno przesłuchiwać. Moje aktorskie umiejętności pomogły mi wyjść z opresji, gdy zatrzymywała mnie milicja z żądaniem, bym otworzyła bagażnik. Kiedyś po wymówkach milicjant mnie prawie w rękę chciał całować. Gdy wsiadałam do samochodu, byłam sztywna. Mnóstwo wspomnień mam z różnymi ludźmi, bo pochodziliśmy z różnych warstw społecznych i pracowaliśmy w różnych dziedzinach. Najważniejsza była redakcja, potem drukarze. Inni kupowali papier, kolejni rozwozili. Każdy miał swoje zadanie. Na początku pracowało nas 200 osób.

W tym roku roniłam łzy wzruszenia, kiedy nasz szef z CDN Sławek był odznaczany przez prezydenta Orderem Orła Białego. Kiedy mu gratulowałam, powiedział, że to odznaczenie dla nas wszystkich, bo gdyby nas nie było, to nie udałoby się.

Myślę, że to, czego dokonaliśmy i co po nas zostało, jest powodem do dumy. Ja po tym spotkaniu byłam dumna. Dziękuję Sławkowi, że potrafił stworzyć tak wspaniałe wydawnictwo. Wręczyłam mu na znak wdzięczności piękną czerwoną różę, bez złośliwości, że w odróżnieniu od białej.

eprasa.pl 1bb409c74f

Coraz nowocześniejsze pociągi na polskich torach

Polacy podróżują coraz chętniej. Powodów, dla których wyruszają, jest wiele, ale niezmienne jest jedno – chęć odbycia przyjemnej i komfortowej podróży. Bardzo dużo na tym polu robi PKP Intercity, które intensywnie unowocześniają swoją flotę, aby zapewnić swoim pasażerom jak najwygodniejsze podróżowanie

W ostatnich dniach PKP Intercity odebrały z H. Cegielskiego – Fabryki Pojazdów Szynowych kolejne zmodernizowane wagony w ramach kontraktu podpisanego w 2017 r. i rozszerzonego w ubiegłym roku. Łącznie już 80 z 90 unowocześnionych wagonów, czyli wszystkie z podstawowego kontraktu i większość z opcji, jest do dyspozycji pasażerów.

Z pierwszych wagonów pasażerowie mogli korzystać już w grudniu zeszłego roku, co oznacza, że w ciągu niespełna roku na tory wyjechało 80 unowocześnionych pojazdów, z których na co dzień korzystają pasażerowie pociągów PKP Intercity. Po wykonaniu całego, wartego blisko 410 mln zł brutto, zamówienia będą obsługiwać połączenia na trasach w całej Polsce. PKP Intercity podpisały umowę na realizację tego projektu z Centrum Unijnych Projektów Transportowych (CUPT) wiosną 2018 r. Przewoźnik uzyskał dofinasowanie łącznie w kwocie 653,8 mln zł.

Unowocześnione wagony to pojazdy przedziałowe klasy 2., wyposażone w wygodne fotele, z klimatyzacją, gniazdkami, elektronicznym systemem informacji pasażerskiej oraz z toaletami z zamkniętym obiegiem. Ponadto w wagonach zainstalowane zostały wzmacniacze sygnału komórkowego oraz urządzenia do bezprzewodowego internetu. Komfort jazdy oraz ciszę wewnątrz wagonu zapewnia zabudowa nowoczesnych wózków.

TO DOPIERO POCZĄTEK ZMIAN NA KOLEI

Pasażerowie mogą już korzystać z pierwszych efektów taborowych zakupów PKP Intercity. To jednak nie koniec, pierwsze trzy kwartały 2019 r. przyniosły bowiem kolejne podpisane lub rozszerzone umowy w ramach największego, bo wartego aż 7 mld zł, programu inwestycyjnego w historii spółki. Preferencje i potrzeby podróżnych są bardzo zróżnicowane, dlatego taki jest także tabor, który pozyskuje przewoźnik. Powiększy się flota elektrycznych zespołów trakcyjnych. Stadler Polska wyprodukuje dla PKP Intercity 12 takich nowoczesnych składów zespolonych. Po gruntownej



fot. PKP | 11/0519/F

modernizacji na tory wróci także 14 elektrycznych zespołów trakcyjnych ED74.

Przewoźnik inwestuje również w wagony. W tym roku zamówił dodatkowe 26 pojazdów z H. Cegielskiego – Fabryki Pojazdów Szynowych w Poznaniu. Poprawi się także oferta gastronomiczna, ponieważ poznański producent zmodernizuje 10 wagonów, przekształcając je z pasażerskich w restauracyjne. Wiele pociągów PKP Intercity będzie prowadzonych przez najnowocześniejsze lokomotywy elektryczne w Polsce, spółka rozszerzyła bowiem umowę z firmą Newag na zakup nowych lokomotyw elektrycznych. Do największego operatora kolejowego w naszym kraju trafi łącznie 30 nowoczesnych pojazdów.

Po zakończeniu programu inwestycyjnego w 2023 r. tabor PKP Intercity będzie w 80 proc. nowy lub zmodernizowany. Dodatkowo w 94 proc. pociągów pasażerowie skorzystają z klimatyzacji, a w co najmniej 77 proc. z nich także z bezprzewodowego internetu. W każdym pociągu przewidziana będzie również przestrzeń przystosowana dla osób poruszających się na wózkach oraz wydzielone miejsce na rowery, co dodatkowo ułatwi podróż pasażerom mającym specjalne potrzeby.

eprasa.pl 1bb409c74f

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Nagonka w ruch

Mamy niezwykle zatrute środowisko. Akademickie.

W dniu przypieczętowania zwycięstwa opozycji w Senacie, wyborem marszałka tej izby głosami antypisu, w sieci pojawił się wpis: „Masakra. Pan prof. Grodzki kandydatem na Marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopisma medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę". Autorką dramatycznego przekazu jest profesor Uniwersytetu Szczecińskiego. Trudno przypuszczać, by kierowało nią coś innego niż emocje związane z traumatycznymi wspomnieniami. Ta informacja oczywiście rzuciła cień na piękną fetę najwyraźniej owładniętego manią wielkości prof. Grodzkiego. Pan profesor oświadczył, że nie zna tej pani, a o sprawie nie ma pojęcia. Klasyka, to nie moja ręka.



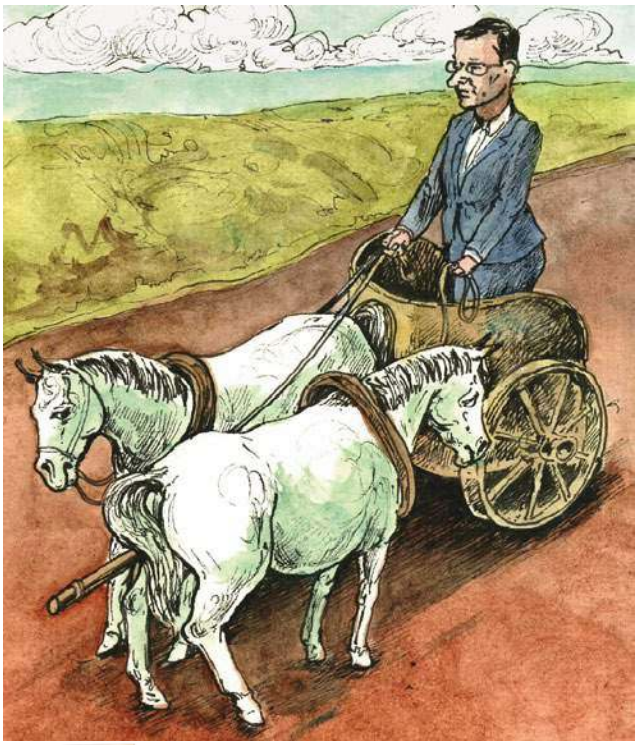
Ryszard Makowski

I jak reagują na to władze rodzimej uczelni autorki wpisu? Rektor głosem pani p.o. rzecznika uczelni: „W związku z wypowiedziami prof. Agnieszki Popieli, o których w ostatnich dniach informują media, Rektor oświadcza, że nie wyrażają one poglądów społeczności akademickiej Uniwersytetu Szczecińskiego". No pewnie, że nie. Ta pani napisała wyłącznie w swoim imieniu. Rektor skierował sprawę do rzecznika dyscyplinarnego ds. nauczycieli akademickich.

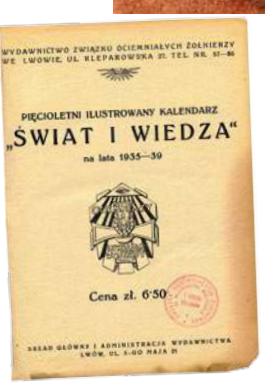
Normalny szef staje po stronie pracowników. Jednak widać, że chęć przypochlebienia się totalnej górze jest stanem nadrzędnym. Posłusznie melduję, nagonka poszła w ruch. Na uczelniach powinno się poszukiwać prawdy, ale najwyraźniej rektor Uniwersytetu Szczecińskiego woli hołdować standardom lat 50. z PRL.

eprasa.pl 1bb409c74f

***Zawistowski prezentuje:* Exposé**



Wycinki z przeszłości



„Pięcioletni Ilustrowany Kalendarz Świat i Wiedza na lata 1935–1939" wydany we Lwowie polecał dobrze i dzisiaj znany seler:

„Każdemu człowiekowi można zalecić spożywanie seleru, gdyż roślina ta obfituje w fosforany, a więc jest dobrą odżywką dla mózgu. Poza tym podobnie jak pietruszka i plantowany u nas dawniej obficie pasternak odznacza się seler właściwościami moczopędnymi, co zalicza go do środków przeciwdziałających artretyzmowi i reumatyzmowi, a poza tym usuwających wiatry. Przypisuje mu się nawet własności rozpuszczania kamieni nerkowych.

Już u starożytnych seler znany był jako skuteczny w cierpieniach nerwowych. Najbardziej właściwości selera występują wtedy, gdy je się go na surowo w sałatce, jednakże należy spożywać go bardzo ostrożnie, gdyż na surowo nie jest on łatwo strawny, to też zaleca się bardzo staranne żucie.

Młode liście selerowe mogą służyć na lekarstwo w reumatyzmie, a gotowane w mleku polecane są chorym na bronchit i wilgotną astmę. Seler wszelkim potrawom udziela on swego wybitnego smaku i woni. Z tego też względu kuchnia jarska używa go często do tych jarzyn, które mają zły posmak jak np. rzepa, brukiew, dynia. Seler pod względem posilności ustępuje kartoflom, ale równą ma wartość, jak burak i marchew.

Kuchnia jarska wyznacza selerom wielką rolę w pożywieniu, to też w dobrych podręcznikach można znaleźć wiele wskazówek na ich przyrządzanie". ***(mk)***

Z przypomnienia...



Na Roraty **Leszek *Długosz***

Najkrótsze dni, najdłuższe noce
– Grudniowy czas...
Coraz to mniej, niewiele już
Tych wszystkich kiedyś bliskich
Dawnych nas...

Przy stołach, w poczekalniach
Nad wodą, w parku między szpalerami
I w zamyśleniu zaokiennym (tym w pociągu)
Coraz to więcej duchów się przysiada
Podróżuje z nami...
I wymieniamy znowu wszystkie „z kiedyś"
Opowieści
Zdradzamy plany
Konfrontujemy ten i tamten świat.

O Boże, jak dalekie już to światy
Uliczka tamta i miasteczko
Grudniowa ni to noc, ni świt
I idzie chłopiec mały z Babką na Roraty
Dymią kominy pierwsze
Żółtawe okna zapalają domy
I babka – widmom więcej, czy znajomym
Co trochę odpowiada: O, dzień dobry!
Pochwalony, pochwalony!
A w moją stronę: ukłoń się i ty!

Najkrótsze dni, najdłuższe noce
Grudniowy, adwentowy czas
W mieście dziś, wtedy nawet nam nie śnionym
I na rubieżach czasu niewyobrażalnych
Prowadzisz Babciu znów tamtego chłopca
Czuję w mej dłoni kostki, Twojej wtedy
Tamtej Twojej dłoni
Idziemy znowu na roraty
– Przez który bardziej świat?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 1bb409c74f

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Konserwatyzm = ostrożność?

A właśnie tak. Konserwatyzm to ostrożność. Ostrożność w obliczu zmian, które jawią się jako zbyt drastyczne. Za szybkie, trudne do zrozumienia, za głębokie, bo naruszające fundamenty kultury i zrywające ciągłość, zbyt rozległe, gdy jednocześnie przebiegają na wielu polach naszego życia.

DEFENSYWNIE

Taki defensywny (można go także nazwać minimalnym) konserwatyzm jest nie tylko potrzebny, ale wręcz niezbędny – zwłaszcza w obliczu rewolucji cyfrowej przynoszącej lub prowokującej zmiany bardzo radykalne. (O tym nieraz już tutaj pisaliśmy).

Ale jak wskazał wybitny myśliciel, noblista – ktoś znacznie więcej niż „zwykły" ekonomista – Friedrich von Hayek (1899–1992), tak rozumiany konserwatyzm stara się jedynie spowalniać, nieco przyhamowywać rozwój. Konserwatyzm defensywny występuje w funkcji ideologii włączającej hamulec, gdy procesy rozwojowe mogą wprowadzić ludzkość w wiraż, z którego trudno będzie wyjść bez ofiar. Poza tym jednak jest bierny, nie próbuje wpływać na kierunek zmian zachodzących na świecie. Dzisiaj sama ostrożność to jednak za mało.

OFENSYWNIE

Konserwatyzm może mieć także oblicze ofensywne. Na przykład głosić, że w swojej historii ludzkość już znalazła, jeśli nie idealne, to nie najgorsze rozwiązania pewnych fundamentalnych ludzkich problemów. Na przykład rodzina – pojmowana tradycyjnie: żona + mąż + dzieci – jest dobrym rozwiązaniem problemu ludzkiej samotności, jak i zadania tzw. socjalizacji pierwotnej jednostki do społeczeństwa jako wspólnoty. Że religia – w naszym kręgu kulturowym jest to chrześcijaństwo – jest skuteczną, a dla wielu osób nadzwyczajnie dobrą odpowiedzią na pytanie o sens życia.



Galopująca rewolucja cyfrowa niesie z sobą tak wiele różnorodnych zmian, że nie wystarczą nam dwa rodzaje konserwatyzmu: defensywny i ofensywny

Tak pojmowany konserwatyzm nie tylko ostrzega, ale aktywnie promuje te wynalezione w przeszłości rozwiązania, instytucje, struktury, regulacje, które się wielokrotnie sprawdziły. Na przykład konserwatysta ofensywny choć zgodzi się, że w rodzinach tradycyjnych nierzadko występowała przemoc domowa (głównie ze strony ojców), to uzna, że po zdiagnozowaniu takiego problemu możemy mu zaradzić i nadal będzie aktywnie rodziny bronił, nie pozwalając uznać jej za instytucję przestarzałą i jakoby nieuchronnie opresyjną.

KREATYWNIE

Jednak galopująca rewolucja cyfrowa niesie z sobą tak wiele różnorodnych zmian, że nie wystarczą nam dwa wyżej scharakteryzowane rodzaje konserwatyzmu: defensywny i ofensywny – pierwszy powstrzymujący drastyczne zmiany, drugi pilnujący, by „postęp" nie prowadził do zagubienia uzyskanych wcześniej zdobyczy ludzkości.

Jeśli na rewolucję cyfrową spojrzymy jako na napędzany potężnymi silnikami pojazd, który wiezie ludzkość w bliżej nieznaną przyszłość, to zauważymy, że hamować trudno, a z drogi wypaść łatwo. Rozwój nie może gnać na oślep, potrzebuje jakiegoś systemu korygującego kierunek.

Bardzo potrzebne jest – zwłaszcza w naszym kraju – by środowiska przywiązane do tradycji, religii i narodu, twórczo nawiązując do dziedzictwa polskości, próbowały dziedzictwo to rekonfigurować tak, by nie czekając na innych, samemu inicjować nowe rozwiązania ciągle wyłaniających się wyzwań.

KLIMAT

Jednym z takich najpoważniejszych wyzwań jest problem zmian klimatu. Jak spokojniej się temu przyjrzeć, to konserwatyści nie tylko powinni przeciwstawiać się różnym projektom rewolucyjnej inżynierii społecznej (np. ideologiom genderowym), ale także zbyt głębokim ingerencjom w równowagę ekosystemu naszej planety.

Nie widzimy żadnego logicznego powodu, by narrację klimatyczną oddawać w ręce środowisk, które często (nie zawsze) robią z niej oręż ideologiczny.

DEMOGRAFIA

Wreszcie na koniec: ponieważ polscy konserwatyści są przekonani, że co jak co, ale polskość należy do tych osiągnięć rodzaju ludzkiego, które zdecydowanie zasługują na dalsze trwanie, potrzebujemy kreatywnego podejścia do wyzwania demograficznego. A dobra zmiana jak na razie do tego problemu się jedynie przymierzyła.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 31/0919/F

eprasa.pl 1bb409c74f

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI



VII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz siódmy wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2018
Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego **prof. Piotr Gliński**



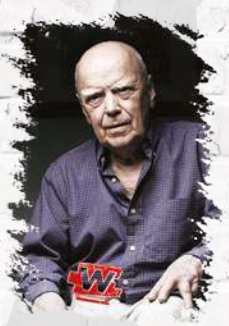
2017
Prezes Trybunału Konstytucyjnego **Julia Przyłębska**



2016
Prezes PiS **Jarosław Kaczyński**



2015
Prezydent RP **Andrzej Duda**



2014
Poeta i pisarz **Jarosław Marek Rymkiewicz**



2013
Historyk z IPN **prof. Krzysztof Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2019**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 29 listopada 2019 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2019 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

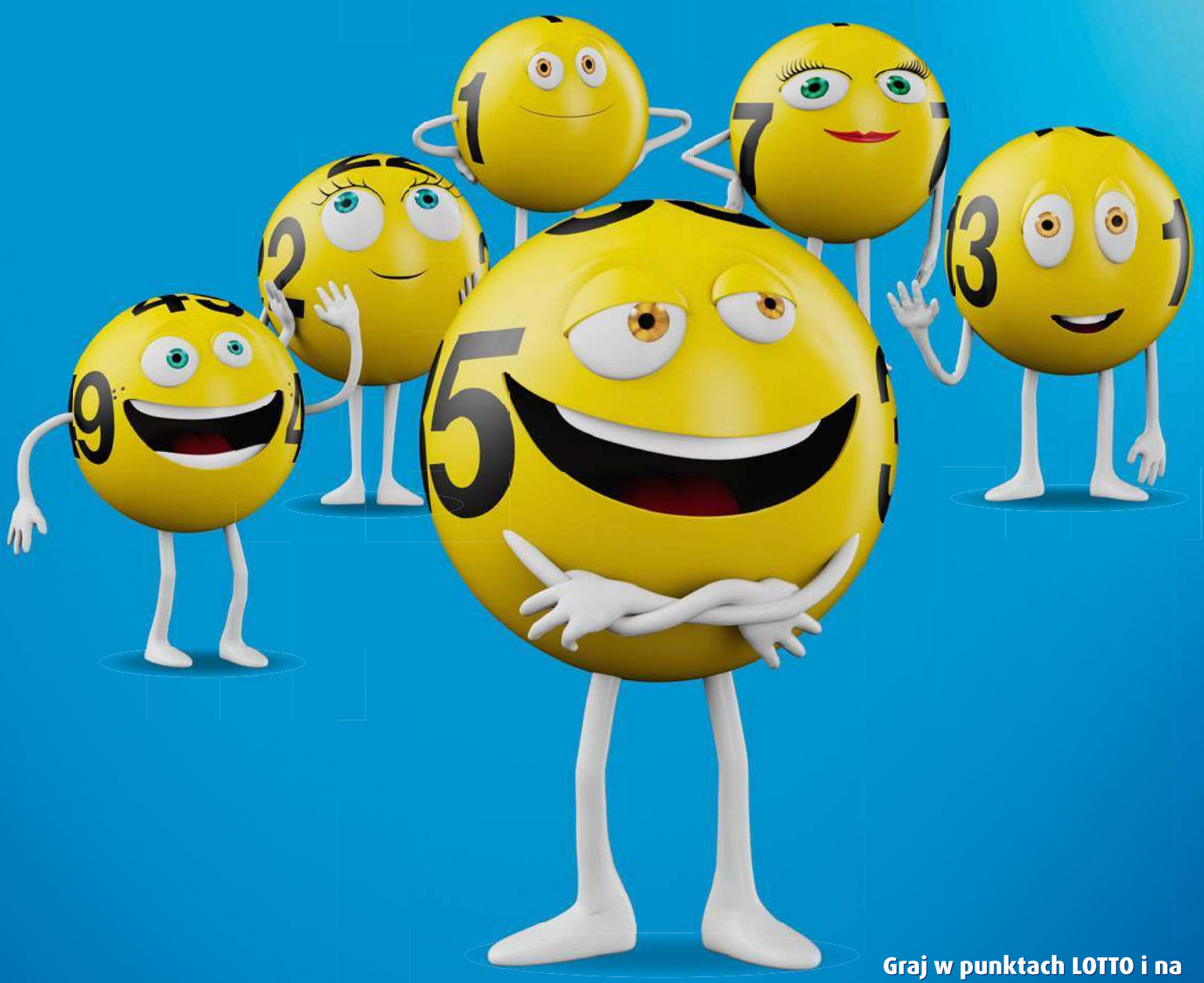
data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu

eprasa.pl 1bb409c74f

Lotto

MILIONY KRĘCĄ KAŻDEGO



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl 1bb409c74f